





A. Puschel

Альбом
Кобякесе

Варшава
1903

ALBUM KOBIECE

WARSZAWA ❁ 1903

BY DZIAŁY WYDZIAŁU

M. Słupska
1902.



Album Kobiece

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

<http://rcin.org.pl>



Дозволено Цензурою.
Варшава, 23 Января 1903 г.

24.299

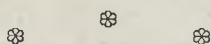
DOCHÓD PRZEZNACZONY NA POMNO-
ŻENIE FUNDUSZÓW RESTAURACYI KO-
ŚCIOŁA NAJŚWIĘT. MARYI ŁASKAWEJ
(PO-PIJARSKIEGO) W WARSZAWIE. ==



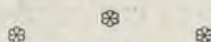
Prof. dr hab. Stanisław Stupski



iał oczy płowe, duże, przysłonione długą, jedwabną rzęsą, w głębi źrenic jaśniały promienie niewysłowionej słodyczy i miłości bezbrzeżnej. Czoło matowe, okolone jasnemi, delikatnemi, jak smuga słoneczna, włosami, usta znaczyły się lekkim odcieniem goryczy i bólu nad cierpiącymi.



Kiedy był małym dzieckiem, lubił długie chwile leżeć w łóżeczku bez ruchu, z oczami utkwionymi w światło, płynące złotą lawą od okna. Kiedy tak leżał, pomału oczy zasnuwała mgła coraz cięższa, aż w końcu po jedwabnych rzęsach cicho poczynały spływać wielkie, jak ziarno różańca, łzy! Różowa twarzyczka tonęła zwolna w gorącej łez kąpeli, białe rączęta wznosił nad główkę, okoloną aureolą jasných kędziorów.



Rósł nie pochłaniając sobą nikogo... Cichy i wiotki, jak biała lilia wyglądał na ławie szkolnej, między puciołowatymi po większej części, głupowato uśmiechniętymi koleżkami. Wacek zjadał zwykle jego śniadanie a Mietek wyłudzał grosze, dawane mu przez rodziców na cukierki.

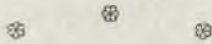
Ile razy chłopcy się o coś w szkole pobili, albo posprzecziali — zawsze proszono go o osądzenie, kto winien? On wtedy wyciągał przed siebie białe delikatne dłonie, źrenice gorzały dziwną jasnością, mówił cicho, ale tak jakoś dobitnie, że nawet w ostatniej ławce każde słowo można było usłyszeć. Mówił nie potępiając i nie oskarżając nikogo, ale tak umiał zapaśników zawstydzić, tak drobnych przestępców doprowadzić do skruchy, iż zdarzało się często, że i niewinny i winowajca prosili go, aby im przebaczył „bo oni już się teraz tylko jego wstydzą.“



Podpierał myślące czoło ręką, piersi opasywały mu węże cierpienia ciasnym pierścieniem i wpijały żarłoczne języki w ciało, czuł prawie fizyczny ból, gdy widział wykrzywione dziecięce usta kłamstwem, zgięte karki upokorzeniem. Wtedy czuł nieprzebytą przestrzeń pomiędzy swoją duszą, a tymi, w których gronie się znajdował. Widział ich w oddali maleńkich, skarłałych duchowo a cały ocean oburzenia huczał mu w sercu na małość ludzką, piętrzące się fale goryczy z dzikim szumem zalewały w nim nieledwo świadomość, czuł się bezsilnym, a pragnął siły dla siebie i ludzi! Zimny pot występował na czoło i rosił je perłami.

Z wysiłkiem wstał raz pewnego z ławki, chwiejnym krokiem doszedł do katedry profesora i prosił, aby go uwolniono ze szkoły. Wydostał się na ulicę. Świeże powietrze ocuciło go trochę, czuł jednak jakieś niewidzialne kleszcze, ściskające mu skronie. Ból silny pozbawił go władzy nad sobą, szedł prosto bez celu... Gorące promienie słońca z wolna wracały mu siły. Spojrzał na tłum pędzący gorączkowo w różne strony, na śmiałe spojrzenia mężczyzn rzucające w oczy kobietom, które je z wdziękiem przyjmowały, na malowane usta i sztucznie różowe policzki, na tych ledwie dorosłych młodzieńców rozrzuconych niedbale z miną sztucznego znużenia w eleganckich dorożkach. Pustka i pustka, fałsz i obłuda! Wrażenia te kłębiły się po jego wątej piersi, szarpały jego całym jestestwem. Pomimo gorących promieni słońca uczuł zimno w sobie... Przetarł ręką czoło, czuł się wyczerpany, zapragnął spocząć. Był jednak w tej chwili daleko od domu, na jakiejś prawie pustej ulicy, siły zaczynało braknąć pośród tej burzy wewnętrznej, która nurtowała w nim, trzęsąc, jak liśćmi drzewa, każdym fibrem jego duchowej istoty.

Nie mógł odszukać swojej duszy, swego własnego ja... Aż gdzieś na samym dnie zamętu, jak tęcza jasna zamajaczyło, jak pierwszy ptak po burzy zatrzepotało na dnie serca słowo: Bóg, Bóg! I wielkie jasne słońce zeszło po nad mrokami burzy, prześwieclając jasnym promieniem najgłębsze tajniki jego duszy. I ujrzał w tej chwili światło prawdy żywota.



W celi sklepionej seminarjum duchownego, siedział młodzieniec z głową na rękach opartą i pochyloną nad grubym staroświeckim foljalem, pochłonięty całą swoją istotą w tajnikach świętej wiedzy. Przewracał żółte od starości karty, nie czując i nie licząc w zapale upłynionych godzin.

Przez długie weneckie okno zaczynały już wpadać do celi smugi, najpierw blade różowe, później krwawo-czerwone, zaczynały znaczyć ogniste gzygzaki na grubych grzbietach starych ksiąg biblioteki, w końcu blaski poczęły tracić swoją siłę a szary zmrok owijał z wolna wszystkie kontury przedmiotów, zasnuwając je niby siecią pajęczą.

Młodzieniec przetarł znużone długim czytaniem oczy, powstał, podszedł do okna, wznosił wzrok do góry i usta drgnęły mu z lekka... Modlił się... Zmrok zapadł i owijał coraz gęstszym całunem wysmukłą postać odzianą w sutannę ucznia kościelnego. Ciemność zupełna wreszcie zaległa celę, i tylko sierp księżyca osrebrzył jasny, prawie przejrzysty profil jego twarzy, opartej o framugę weneckiego okna.

Rozmawiał z Bogiem...



W skromnym poklasztorzym kościele jarzyło się kilka świec u wielkiego ołtarza, kościół był szczelnie wypełniony nabożnymi. Co chwila podnosiły się ku skromnej dębowej ambonie oczy pełne to zaciekawienia, to głębokiej wiary, a nawet czasem lekkiego sceptycyzmu... Wreszcie skrzypnęły wązkie schodki wiodące na ambonę... Zaszumiało między ludźmi jak wśród łanu dojrzałego zboża za podmuchem wiatru.

I stanął on, oczekiwany...

Miał wielkie popielate oczy, przyćmione łzą rezygnacyi: czoło blade, wyniosłe zdobiło się bruzdami wielkiego rozumu, usta miały grymas bólu i goryczy. Wyciągnął białe, przejrzyste dłonie, jak skrzydła anielskie, do obecnych, wysunął do nich ramiona, jakby pragnął dopomóc im w niesieniu krzyża. Mówił cicho, pomału a dobitnie... Prosił imieniem słów Chrystusowych. Dusza jego zebrała, pokorna, schylona, starta na proch, skurczona, maleńka: pragnęła wniknąć do najbiedniejszego serca, najbardziej zarażonego trądem grzechu, pragnęła wniknąć i wnieść do grobowej ciemnicy promienie nieśmiertelnego światła. A rozświecilszy pomrok rosła w olbrzymia... Białe delikatne ręce chwytwały

konwulsyjnie brzegi ambony i brzmiał z niej, huczał głos silny, groźny, jak tętno dzwonu, wzywającego na ratunek. Krew mu się kłębiła w piersiach, piekła, jak suchy piasek pustyni... Padały słowa, jak lawa, rozpalone łały się piekielnym deszczem na schylone głowy, raziły jak kamienie potępienia nikczemne, bezwstydnego, wystygłe serca!

Tłumione głucho łkanie odpowiadało z dołu błagalną prośbą skruchy.

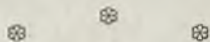
Wtedy pomaku burza cichła w jego duszy, wydobywało się z za chmur jasne olbrzymie słońce miłości, zalewając swoim światłem czarną ohydę grzechów ludzkich. Zakwitł w sercu najcudniejszy kwiat, co wszystkie chwasty gęszy, kwiat miłosierdzia, pociechy i przebaczenia.

On krzyżował marmurowe ręce na piersiach, jakby tym ruchem pragnął utulić wszystkie zale, jakby chciał cały ból swego biednego społeczeństwa wchłonąć do serca, jakby całą oziębłość dusz ludzkich chciał rozgrzać u swego łona...

Ścisnął białe dłonie coraz silniej, jakby pragnął zgnieść różnicę nędzarza z bogaczem, by zlać ten lud cały w jedną masę, ożywić go jedną duszą i zapalić w nim jedno ogniste serce prawdy i miłości. Oczy pały jasnością, zapalając w sercach pochodnie światła...

Skrzypnęły wązkie schodki i zniknął ze skromnej dębowej ambony człowiek — duch... Na ołtarzu jarzyły się świece, dym kadzideł osłonił szarą mgłą jasną jego postać, białe ręce, jak lilie, opłoty wielką Monstrancję. — Cisza zaległa, cisza tak wielka, że słyszeć było szelest tkaniny jedwabnej ornatu. Rozległ się wreszcie głos, ten cichy szept prawie a tak wnikały do najtajniejszych głębin duszy: „*Tantum Ergo Sacramentum.*“

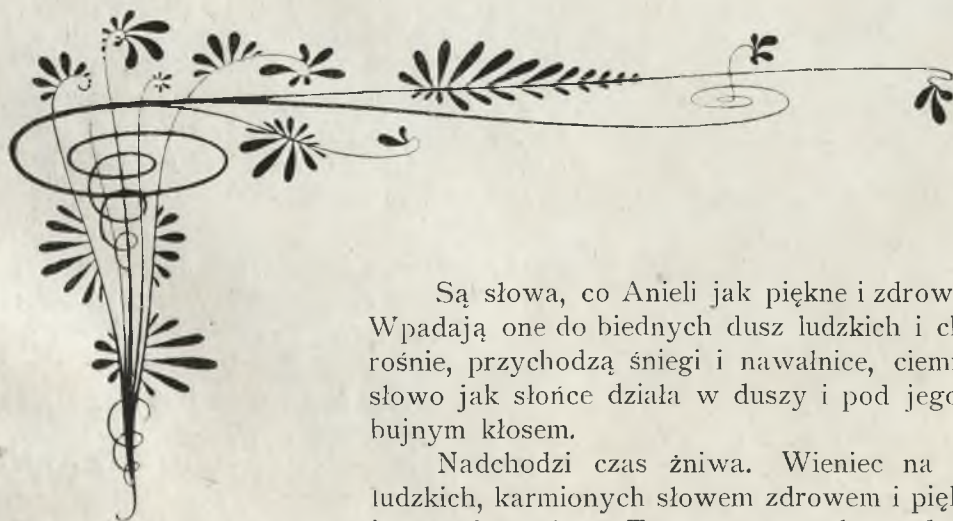
Zabrzmiały organy, błysnęły złote promienie Monstrancji po nad pochylonemi głowami błogosławieństwem. I powstały rosą ożywczą wiary wskrzeszone istnienia, ożywiły się zwiędłe bólem, skamieniałe obojętnością serca, wyprostowały się skrzywione upodleniem nędzy duchy... Wracąca rzesza pokrzepiona, jasna, silna... W każdym sercu świeciła różowa jutrzienka nadziei!



W zakrystyi przed krucyfiksem klęczy pochylona jasnowłosa postać, przykuta zda się całym swoim jestestwem, przymarła gorącą modlitwą do stóp krzyża. Na splecionych kurczowo rękach zwiśla znużona głowa, z pod przymkniętych powiek cieką zwolna grube, wielkie łzy. Krople zimnego potu świecą na bladej skroni, wątlęciem ciałem wstrząsa dreszcz tłumionego łkania...

I długo jeszcze modli się ksiądz Jan, za tych, którzy poszli przez niego silni i pocieszeni...

Darwid
(Helena Zawadzka).



Są słowa, co Anieli jak piękne i zdrowe ziarna roznoszą po ziemi. Wpadają one do biednych dusz ludzkich i chociaż, nim ruń z nich wyrośnie, przychodzą śniegi i nawałnice, ciemne długo snujące się noce, słowo jak słońce działa w duszy i pod jego wpływem łan okrywa się bujnym kłosem.

Nadchodzi czas żniwa. Wieniec na dożynek splota się z dusz ludzkich, karmionych słowem zdrowem i pięknem, wieniec pełen chwały i zasługi na skroń Tego, co ten pokarm duchowy ludziom rozdaje.

EWELINA JANOWA HR. LUBIENIECKA.



Z LISTÓW ŚWIĘTEJ KATARZYNY*)

„Miłość i śmierć”.
(Dewiza świętej).

...Po jutrzni zaraz i od stóp Baranka,
Poszłam nawiedzić onego, co wiecie...
A za mną modra świetlistość szła ranka,
Której już nie miał oglądać na świecie.
I tak, ze smugą błękitu a złota,
Mur my więzienny przebyły i wrota.

Więc iż są pilno ostatnie te sprawy,
Z wielkiem kwapieniem śpieszylam do celi,
A był mi Chrystus tak bardzo laskawy,
I tak mi zbliska służyli anieli,
Iż ona smuga przez próg przeszła ze mną,
I u drzwi stojąc świeciła w to ciemno.

Lecz on, tak sobą trwożył, tak miał duszę
Upadłą, iż mnie nie rozumiał zrazu...
Aż mu umknęłam z przed oczu katuszę,
Do czerwonego podobną obrazu,
A wtedy pierś mu przewiała nadzieja
Wieczna. Co sprawił Chrystus, Pan nasz, — nie ja.

Zaczem wziął w siebie tyle pokrępcienia,
Tyle światłości i tyle pociechy,
Iż z śmiertelnego otrząsłszy się cienia,
W którym go rozpacz trzymiała i grzechy,
Zbierał się, w ono wielkie przedsięwzięcie,
Rozwiązany z winy swej i całkiem świećcie.

A iż jak dziecko drżał, i mojej poly
Obu rękami trzymał się co siły,
Sama go wiodłam pomiędzy anioly
Przed oltarz, gdzie się gromnice jarzyły,
I tam wijatyk wziął, i hostję białą,
Na którą ranne słońce się rzucało.

Zaś rzekł: — „Przez miłość Boga zostań przy mnie!
Stój przy mnie blisko, a umrę spokojny...” —
Co mówiąc trząsł się, jakoby na zimnie,
A pot na czoło wystąpił mu znojny...
Jam głowę jego na piersiach tuliła,
I czułam zapach krwi, co w żyłach biła.

— Zmocnij się! — rzekłam — zmocnij, miły bracie,
Gdyż prędko pójdziesz na gody wieczyste...

Ja w miejscu kaźni czekać będę na cie,
A ty powtarzaj pilno: Chryste! Chryste!
A niech to imię w ostatniej godzinie
Z ust ci nie schodzi i z serca nie ginie. —

Tedy czekałam go na miejscu kaźni,
W nieustającej, strzelistej modlitwie,
Iż jest przestraszów wiele i bojaźni
W onej pośledniej potyczce a bitwie...
I takem trwała, pod czerwienią kata
Płomieniejąca, i prawie skrzydłata.

Aż przyszedł. Przyszedł drżący nieprzytomnie,
Jako to jagnię, co pod nóż się zbliża,
I zaraz począł uśmiechać się do mnie...
A zaś rzekł: — „Uczyń nade mną znak krzyża”, —
A gdym czyniła, schylił się, i usty
Dotknął tej mojej zastony i chusty.

Rzekłam: — Jak prędko wejdiesz do żywota,
Kędy już niema śmierci, bracie miły!
Oto ci rajy otwarte są wrota... —
— Lecz on tem silniej drżał, iż go mogiły
Chłód obwiał zbliska. I zaraz też głowę
Dał na pień, szepcząc imię Chrystusowe.

A tak nadeszła ostatnia godzina.

Pomagalam mu, stojąc pochylona,
A gdy powtarzał — „Jezus... Katarzyna...” —
Lecząc głowę przyjąłam w ramiona,
Która mówiła: — Chcę... — i zgasała w męce,
A zaś jej oczy zawarły me ręce.

I tak, zmoczona będąc krwią pokutną,
I ozdobiona w królewskie purpury,
Oną to głowę uciętą i smutną
Ucałowałam.

...A teraz, niech chóry
Anielskie wieją cichemi piórami
Nad nim, nade mną, nad ziemią, nad wami!

MARYA KONOPNICKA.

*) Św. Katarzyna nawiedza i cieszy skazanego na śmierć.

ZOFIA
STANKIEWICZÓWNA



MOGILKI

PRZED OŁTARZEM

(Z POEMATU: „SOBIESKI POD WIEDNIEM“)

Nazajutrz po zwycięstwie, dnia 13 Września 1683 roku, Jan Sobieski wjechawszy do Wiednia, udał się do kościoła S-go Szczepana, gdzie Proboszcz Katedralny Jan Meyer powitał go przemową, którą zaczął od słów: „Fuit homo missus a Deo, cui nomen erat Johannes.“

*Gdy to rzekł, wszyscy głową się zwrócili
Ku głębi. Tłumy patrzyły, — ciekawe,
Jaką też w owej nieśmiertelnej chwili,
Król Jan zachowa postawę?*

*Król się nie ruszył, ani podniósł głowy,
Tylko, jak nurek skaczący w odmęty,
Roztworzył ręce, i na marmurowej
Posadzce runął, krzyżem rozciągnięty.
Dobrze, mój Królu! Wielka to pokora,
Największy tryumf u tryumfatora,*

*Gdy się nie wstydzi, przed mędrków obliczem,
Pod wejrzeniami ciężby ciekawemi,
Jak marny robak przypelznąć do ziemi,
I wyznać: — „I jam jest niczem.“*

*Zamknął się w sobie. Nie widzi, nie słucha.
Zmrużone oczy przyłoczył do głazów.
Ale przed okiem niezmrzużonem ducha
Smuje się szereg malownych obrazów.
Jakich? Czy chwata przed nim rozwinęła
Księgi, gdzie czyta wielkość swego dzieła?
Nie, — on nie myśli o wczorajszej bitwie,
Ni o zapalach, które dzisiaj nieci,
Ni o jutrzejszem uznaniu stuleci —
On dzieckiem stał się w modlitwie.*

*Wraca w swą młodość, — zmęczony wędrowiec!
Widzi znów Żółkiew. Kaplicę, gdzie sławni
Śpią praojcowie. Wszystko tak jak dawniej!
Wiersz Wirgilego, — i czarny grobowiec.*

Ach, nawet w głębi, — nieśmiertelna warta —
O brzeg nagrobka w zadumie oparta,
Matka znów stoi pod welonem wdowy,
Twarz jej bieleje zakonną opaską,
Lecz wyraz twarzy, niegdyś tak surowy,
Dzisiaj rozjaśnił się łaską.

Nad głową syna wyciągnęła ręce.
— „Wracam,“ — powiada — „aż z tamtego świata,
„Bo pamiętałeś na twe pacholece
„Słowo przysięgi. Pomścisz krew brata,
„(Która aż dotąd kapłała mi z kiru) —
„I rany stryja co umarł z jassyru —
„I siwe włosy dziada, co już prawie
„Był świętym Pańskim, gdy legł pod Cccora.
„Zwalczasz mię chwałą, rozbrajasz pokorą.
„Ja, matka, ci błogosławie.“

Na ten głos, niegdyś brzmiący niezbłaganie,
Dziś zagrobowy i niebem rozmiękły,
Jan ledwo wierzy. Porwało go łkanie,
Od rozrzewnienia piersi mu zajękły,
Głowa uderza o kamienne płyty.
Spostrzegli ludzie ten płacz źle ukryty,
Okiem go sobie wskazując, mówili:
— „Co mu się stało? Placze, zwyciężywszy?
„Nad czemże może płakać, w takiej chwili,
„Największy i najszczęśliwszy?“

Król ciągle patrzył przez te łyzy rozkoszy.
Patrzył i truchlał, czy drogiego cienia,

Śmierć mu na nowo z przed oczu nie spłoszy?
Matka wciąż stoi, lecz twarz jej się zmienia,
Jako twarz słońca gdy przebija chmurę.
Krwawe jej kiry przechodzą w purpurę,
Na odmłodzonej głowie, nie siwizna,
Lecz dyadem błyszczący. Jakaż ona wielka!
To już nie pierwsza jego rodzicielka,
To większa matka: Ojczyzna.

— „Wstań synu!“ — Rzeczce — „Niechże usta zbliżę
„Do skroni, godnych więcej niż korony.
„Wieki chodziłam w macierzyńskim kirze,
„Po tych dziewicach, których już miliony
„Podeptał harem, — po tych bohaterach,
„Co ślepli w lochach, i schli na galerach.
„Od dziś, inaczej! Ty, mistrzu wyzwoleni,
„Zamknąłeś paszczę Molochowi Wschodu.
„Wcz-że, o synu! od przyszłych pokoleń,
„Błogosławieństwo narodu!“

Rzekła, i usta ku niemu pokłania.
Jan uczył płomień, lecz jakiś daleki...
Ach tak, mój Królu, bo zejść muszą wieki,
Na to, byś w pełni doczekał uznania.
Są gwiazdy, którym potrzeba stuleci,
Zanim ich promień ócz ludzkich doleci.
I twoja gwiazda, na dziejowym niebie,
Swem wyniesieniem opóźni rachunek.
Lecz kiedyś, kiedyś, doleci do ciebie
Ojczyzny twej pocałunek.

DEOTYMA.



Nie można być szczęśliwym, nie będąc z gruntu dobrym.
Im natura grzesniejsza i słabsza, tem szczęście nietrwalwsze,
gdyż nie tak nie truje, jak jad własnych ułomności.

O jakże łatwo kochającej i kochanej kobiecie być dobrą
żoną! Ale gdy w sercu twem chłód obojętności i ból mar-
twoty i żal zawiedzionych uczuć i krzyk zmarnowanego życia
i tęsknota, żrąca miłości tęsknota, a jednak krok za krokiem
idziesz w męce i rozterce kamienną drogą obowiązku, toś naj-
szczytniejsza z żon i choć świat ciebie nie oceni, czasem na-
wet potępi — cześć tobie!

Gdy kobieta chce być szczęśliwą w małżeństwie, musi
sięgnąć choć o jeden szczebel wyżej; mężczyzna zaś powinien
zejść o jeden, ale tylko o jeden szczebel niżej.

SARJUSZ.
(Zofia Cieszkowska.)



MATKA

LAURA SIEMIŃSKA

W ROCZNICĘ



Przed rokiem, w dniu iskrzącej się pogody letniej, szła w pole tak szczęśliwa, że zdawało się jej, iż stopami nie dotyka ziemi, świat nie był dla niej światem, ale rajem. Jak bogowie nektarem, żyła miłością. Kochana i zakochana przebywała święto życia, nie myśląc o tem, że mogą po niem nastąpić dni powszednie. Wsparta na ramieniu narzeczonego szła drogą polną, wśród zbóż dojrzałych, rozmawiając o rzeczach tak lekkich, skrzydlatych, wdzięku pełnych, jak motyle. Mówili ze sobą o podróży poślubnej. Kraje nieznanne, ludy ciekawe, stolice, góry, jeziora, wodospady, cuda natury i czary sztuki. W otoczeniu cudów i czarów, samotność we dwoje. Gdy jesień chmurnem czołem wzbije się pod niebo, a mglisty płaszcz zarzuci na drzewa posmutniałe, wtedy roztoczą skrzydła i ulecą. Ulecą w wiosnę pachnącą, w lato rozkwitłe; jak dwa wolne ptaki ważyć się będą na złotych skrzydłach w bezchmurnych błękitach. Serca ich, to kosze nenufarów wonnych i goździków purpurowych, a nadzieje i marzenia, chór słowików śpiewających i rój skrzydlatych motyli.

Wtem, usłyszała cichy płacz. Szedł od samej ziemi, od stóp płowej ściany zboża. Spojrzała. Dziecko maleńkie, w szarej koszulinie, z bosemi nóżkami, tonącemi w gęstych ziołach, z włosami rozrzuconemi, których barwa słabym zaledwie odcieniem różniła się z barwą kłosów. Łzy ciche, ale rzewne oblewały mu twarz drobną, jak gęsta rosa główkę bladego kwiatu. Dziwny, przydrożny kwiat, płaczący w chwili gdy świat nie światem jest, ale rajem! Czego ono tak płacze?

W górach nie zatrzymają się długo, bo może tam być zimno. Chłód to ostrze, a ja, u jego boku, zlekka nawet nie drażnię nigdy żadne ostrze natury, ani życia. Przyszłość jej, to ciepły i miękki aksamit. Przelotem tylko spojrzą na Aar, „co wody zielonemi spada“ i ulecą tam, gdzie „kapią bluszcz i róże.“

Minęli dziecko, płaczące pod ścianą zboża. Już nie słyhać cichego szlochania. Jednak, — czego ono tak płacze? Obejrzała się i zobaczyła, że za nią obróciło oczy. Z za szklawia łez, prześwieca w nich błękit turkusowy. Włosy jak kłosy, oczy jak turkusy, koszulina jak ziemia, u bosych nóżek żółtą kiścią kwiatu wysoko strzela dziewczanna.

Ulecą tam „gdzie kapią bluszcz i róże...“ Tak pięknem było brzmienie głosu jego, gdy słowa wielkiego poety powtarzał, że szła u jego boku coraz dalej, z duszą w tych brzmieniach roztopioną, czując, że ją „wzięły duchy i gdzieś w niebieskie uniosły lazury!“

Tylko potem, w noc późną, kiedy sama jedna przez okno otwarte patrzyła na gwiazdy i dzień przeminiony, jak sznur gwiazd, przez pamięć przesuwała, smugą leciuchnego obłoczku przewinęło się po jej niebie zapytanie: czego dziecię to tak płakało? Przeminięło się zapytanie, zasunęło się za gwiazdy i w złotym ich roju zniknęło

. W rok potem, już tylko wspominała. Orkan przeleciał i uczynił z życia step suchy, twardy, bez palm i oaz. Nie odbywała podróży poślubnej, nie brała ślubu. Z przestworza wypelzł potwór, który nenufary i goździki zdeptał, a motyle otruł. Mniejsza o to jak mu było na imię, — bo mnóstwo takich potworów chodzi po świecie, zamieniając go w pustynię. Świat nie był już dla niej rajem, ani nawet światem, lecz pustynią. W dniu iskrzącej się pogody letniej szła w pole z sercem tak pełnem kamieni i cierni, że zdawało się jej, iż z trudnością stopy od ziemi odrywa. Przebywała żalobę ciężką, nie myśląc aby po nie przyjść mogła pociecha. Szła sama jedna drogą polną, wśród zboża dojrzałego i sama z sobą rozmawiała o rzeczach przeminionych. Ci, którzy szczęście utracili, miewają pamięć pełną rocznic, które obchodzą zdwojonym płaczem. Dziś rok... dziś dwa lata! Są to takie dni zaduszne, w których serce, nad skrytą w niem mogiłą uderza w żalobne podzwonne. Ona dziś obchodziła rocznicę rajsko przeżytego dnia i po wiele razy owijała dokoła serca wieniec uwity z grobowych nieśmiertelników. Szorstki był i ciężki; płatki jego przeszywały ją zimnemi ostrzami. Odkąd tęczyowy brylant jej przepalił się na czarny węgiel, czarność okryła przed nią niebo, ziemię i przyszłość. Myśli, że razem ze szczęściem swem umarła i przyszłość będzie dla niej podróżą pośmiertną. Dostała się jej ona w udziale zamiast tamtej poślubnej. Lęka się jej i wcale nie wie, po co odbywać ją będzie, skoro nie widzi przed sobą nic, ku czemuś szła z ochotą.

Powiodła wzrokiem dokoła; wszystko tak samo, jak było rok temu, dziś rok. Pogoda iskrząca się błękitem i złotem, dwie płowe ściany zboża, na wysokiej łodydze żółta kiść dziewczanny... Wszystko tak jak rok temu... Upaść tylko na klęczki, czołem uderzyć o ziemię i modlić się za świeżą, ufną, gorącą duszę swoją, która umarła na łożu zwiędłych nenufarów, pod całunem otrutych motyli. Na jej miejsce, wstąpiła w nią dusza inna: gorzka, gniewna, posępna, pełna odraz i łez... Młode drzewo przydrożne objęła ramionami, pochyloną jej głowę gwałtownie ku ziemi kamień nieszczęścia.

Wtem usłyszała w pobliżu płacz. Szedł od samej ziemi, od stóp płowej ściany zboża. Spojrzała. Dziecko małe, w koszulinie szarej, z bosiemi nóżkami tonącymi w gęstych ziołach, z włosami rozrzuconymi, których barwa słabym zaledwie odcieniem różni się z barwą kłosów. Lzy ciche, ale rzewne oblewają mu twarz drobną, jak gęsta rosa główkę bladego kwiatu...

— O, dziwny, przydrożny kwiecie, któryś płakał wtedy, gdym szła w parze ze szczęściem; płaczysz teraz, gdy samotna, usta spieczone przykladam do kory drzewa! Ktoś ty jest, dziecko? czego płaczysz?

Pochyliła się i zobaczyła, że wzniosło ku niej oczy. Z za szklawia lez prześwieca w nich błękit turkusowy. Włosy jak kłosy, oczy jak turkusy, koszulina jak ziemia, u bosych nóżek dziewczanna strzela wysoko żółtą kiścią kwiatu.

— Ktoś ty dziecko? Czego płaczysz? Byłeś w dniu święta mego i jesteś w dniu żaloby. Płakaleś, gdy byłam w raju i płaczysz znowu, kiedy przebywam pustynię. Drogim mi jesteś. Drogim jest każde źdźbło piasku, które wynosimy na sukni z przechadzki po krainie szczęścia. Obojętnie wówczas minęłam cię, bo w krainie szczęścia świeci słońce oślepiające i głos najdroższy w niebieskie unosił mię lazury. Ale teraz, mam oczy gorące od płaczu i widzę — lepiej. Powiedz, kwiecie przydrożny, jakie uderzyły w ciebie grady, jakie sparzyły cię pioluny? Możesz głodne? Mam dom pełen chleba i mleka. Pójdź do mego domu. Gdy w białym mleku zaróżowieją twe bla-

de usta, bólowi memu ubędzie czerwoności. Możesz głodne nie chleba, ale pieśczoty? Pójdź mi na ręce. Dopóty oczy twe poić będę słodyczą pocałunków, aż oschną w nich słone lzy. Możesz po zmarłych rodzicach sierotą? Pójdź mi na serce. Jemu również odumarło — szczęście!

Wyciągnęła ramiona, zaokrągliła je dokoła drobnej postaci i — objęła próżnię. Płowe kłosy stały ścianą gęstą, żółta dziewczanna kwitła na lodydze wysokiej, lecz płaczącego dziecka nie było. Tam gdzie je widziała, liljowe brunelki stojąc w wyprostowanych postawach, mówiły: nie było go tu wcale!

Cóż to znaczy? Widmo? Najpewniej widmo skoro pierzchno, zniknęło. W dzień zaduszny wywołało je — wspomnienie. Żdźbło piasku, wyniesione na sukni z przechadzki po raju, zamigotało przed oczyma i z wiatrem — zniknęło.

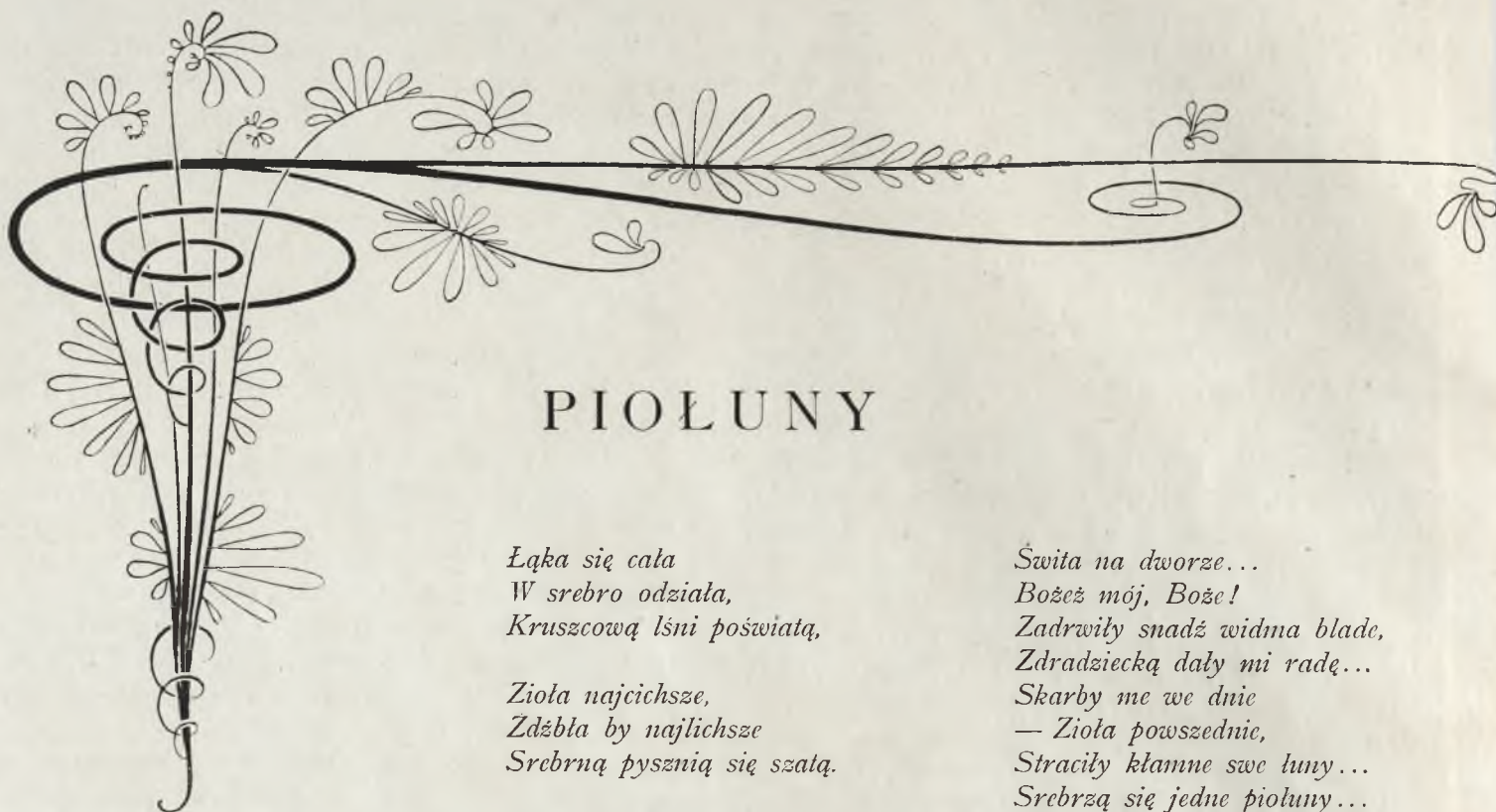
Lecz tego widma i tego źdźbła piasku myśl jej uczepiła się, jak tonący liny ratunkowej, myśl gorzka, żalonna, goniąca po przestworach za kroplą słodyczy, za iskrą światła.

Wracała do domu zamyślona. Zapytywała: czym jest to, co płakało wówczas, kiedy była szczęśliwą, i płacze teraz — kiedy cierpi? Gdzie są blade usta, które gdy zaróżowią się w białym mleku, bólowi jej ubędzie czerwoności? Kędy na żalobne podzwonne uderzają serca, którym, tak jak jej sercu, odumarło — szczęście?

Idzie ich szukać! Idzie szukać biednych kwiatków przydrożnych, pobludłych... sierocych...

ELIZA ORZESZKOWA.





PIOŁUNY

Gorąco na pościeli,
Sen oczu się nie ima...
W srebrzystych blasków bieli
Straż nocną miesiąc trzyma
Na dworze.

Patrzę przez szyby blada,
Niewiem, czy sen, czy jawa...
Pod oknem widm gromada
To wionie, to przystawa...
Ratuj nas, Boże...

Lica od martwych bledsze,
Giełteczka na nich białe,
Chwieją się jak na wietrze
Ajery wybujają
Nad stawem.

Zaplotły w korowodzie
Liliowych rąk pąkowie,
Chór płynie po ogrodzie...
Cyt... dziwną piosnkę łowie
Uchem ciekawem.

„Pójdź o pójdź!..

Nocka sierpniowa,
Można królowa,
Srebrne snuje przedziwo.

A gdy na błonie
Pasma swe wionie,
Wielkie staje się dziwo...

Patrz o patrz!..

Łąka się cała
W srebro odziała,
Kruszcową łśni poświata,

Ziota najcichsze,
Zdźbła by najlichsze
Srebrną pysznią się szata.

Spiesz o spiesz!

Kwiaty świetliste,
Srebro przeczyste
Królowa snuje wszędzie...

Kto rosą świeże
Te zioła zbierze,
Nieznierny skarb posiędzie.

Pójdź o pójdź!
Spiesz, o spiesz na łąki!

Zaplotły rąk lilie,
Wiodą czarowne tany,
Skrzydłem jaskółczem bije
Śpicw słodki rusalczany
O duszę.

Poleczę ja na łąki,
Ustać już nie ma mocy,
Srebrzyste zerwę pąki,
Cudny królowej nocy
Skarb posiąć muszę.

Hej srebro, srebra woko!..
Stopy na rosie chłodzę,
Już uznołam czoło,
Wśród ziół srebrzystych brodzę
Do rana.

A rwę i rwę... do syta...
Toż skarbów mam niemało...
Nim nowy dzień zaświta,
Do domu naręcz całą
Niosę zdyszana.

.....

Świta na dworze...
Boże mój, Boże!
Zadrwiły snadź widma blade,
Zradziecką dały mi radę...
Skarby me we dnie
— Ziota powszednie,
Straciły kłamne swe luny...
Srebrzą się jedne piołuny...
Gorcz mi, gorcz!.. piołuny...
Piołuny skarb mój cały.

F. ARNSZTAJNOWA.



Z PODAŃ STAREGO MIASTA



Dlaczego ambona w kościele Pijarów skromna jest i wszelkich pozbawiona ozdób?

Pani Salomea była wdową. Mąż jej odziedziczył warsztat płatnerski po ojcu, ale przebywanie z ludźmi rycerskiego stanu obudziło w młodym rzemieślniku zapal do wojennych przygód. Zostawił w domu urodziwą żonę, zostawił nowonarodzonego syna a sam przepadł bez śladu. Dopiero wracający z szwedzkiej rozprawy rycerz przyniósł Salomei wieść, że mąż jej na czele uzbrojonych ciurów w Kircholmskiej potrzebie chwalebny zgon znalazł.

Ani skrwawionej szaty, ani zdjętego z piersi szkaplerza nie oddano wdowie na pamiątkę po poległym. Pamiątką zmarłego był dla niej syn, Franciszkiem go ochrzciła i już w drugim roku życia paskiem świętego patrona opasała, sama tercyarską przyjąwszy regułę. Pędziła odtąd wdowi żywot, w sercu wspomnienie wielkiej miłości nosząc. Czasem tylko przebywała na ziemi, duchem u Boga zmarłego męża szukała.

Wychowana przez ciotkę przeoryszkę Bernardynek, umiała Salomea nietylko dryzłowaniem starych złotogłowiów się zabawiać, ale cudne, wzorzyste wyszywać ornaty, nie groził jej więc głód. Ciemne i wąskie schody prowadziły do dwóch facyatek w poddaszu na rogu Ś-to Jańskiej ulicy. Tam zamieszkiwała z synem. Widok z nich był rozległy, ztąd na farę, ztąd znów na królewski zamek i Wisłę. Rzeka niosła z falą tęskne spojrzenia i tęskne myśli wdowy.

Salomea przyrosła sercem do swych sklepionych komnatek i opuszczała je tylko dla nabożeństwa. Ten sam Pan Jezus u fary, przed którym królowa Anna Jagiellonka zanosila modły, patrzył z krzyża na lzy młodej, niepokieszonej w żalu płatnerki.

Łez tych mały Franuś nie widział nigdy, wdowa miała dla jedynaka pogodę w twarzy i w uśmiechu, syn też najchętniej przebywał z matką, wśród rówieśników na podwórzu wyglądał jak zastraszony gołąb, poddasze starczyło chłopcu za cały świat. Wziął po ojcu gorące porywy serca, po matce łagodność i artystyczne uzdolnienie, po obojgu wielką piękność, uduchowioną ascetycznym życiem. Postem umartwiając ciało, nie znał prawie smaku mięsa, nie umoczył ust w winie. Podobny ptakom niebieskim, które unosiły się nad jego głową, żył okrucami chleba, mlekiem, czasem soczystym owocem.

— Ona się karmi modlitwą, a on pieśnią — mówiły sąsiadki.

I to była prawda. Wdowa haftowała ornaty i odmawiała litanie, syn śpiewał i rzeźbił figurki świętych pańskich, chociaż nie było komu podziwiać cudnych prac młodzieniaszka. Przyglądały się im tylko ptaki. Miotano dla nich na okno okrucy wczorajszego chleba, więc zlatywały do jadła gołębie i wróble z sąsiednich dachów. Jaskółki wily gniazda w framugach.

— Chmurzy się synu? — pytała hafciarka nachylona nad krosnami.

— Nie, matuniu, to ptaki zaslonily okno.

A ptaki stały się z czasem tak śmiałe, że siadały na głowie młodego rzeźbiarza, albo uczepione o wysokie, jak konfesyonał, krzesło wdowy dziobały kwiaty i winne jagody, które ona wyszywała cudnymi jedwabiami.

Od pewnego jednak czasu Salomea musiała sama pamiętać o ptakach, bo myśl jej syna pochłaniał wyłącznie nowo budujący się kościół. Rósł obok fary, jak córka rośnie przy sercu matki. Franciszek całe dni spędzał teraz w oknie, piękna jego głowa zdawała się być rzeźbą oprawną w kamienne obramowanie futryny.

— Więc tak powstała fara, tak królewski zamek? mówił patrząc z góry na dźwigający się mur.

Byłby chciał przyłożyć rękę do pobożnego dzieła, próbował nawet pomagać mularzom, ale nie miał siły dźwignąć głazów, które zawałaly całą szerokość Ś-to Jańskiej ulicy.

— Duch w nim dzielny, tylko ciało mdle — mówili ubolewając robotnicy.

I nie dziw. Franciszek wątłym przyszedł na świat, a z piersi matki ssał lzy rozstania i rozpacz wdowiej boleści. Wysoki jak trzcina, jak trzcina giął się też pod ostrym zimy podmuchem. Brał go czasem wielki żal nad swoim niedołęztwem. Ani on matce zarobkiem pomoże, ani jak ojciec krew serdeczną da za króla. A przecież kochał swego monarchę, dziedzica przesławnego rodu Jagiellonów. Podziwiał majestat Zygmunta Wazy, ilekroć nie zamkowym krużgankiem, ale wielkimi, na oścież przed nim otwartymi drzwiami, wchodził do fary.

Częściej jednak niż przed tron ziemskiego króla wyrwała się rzeźbiarzowi dusza pod niebieskie stropy, do stóp Przedwiecznego Boga, do tych gwiazd, które liczył z okna facyatki. Księżyc srebrzył dachy starego miasta, zmartwychwstawały w jego świetle kamienne rzeźby na murach domów. Zdawało się Franciszkowi zapatrzonemu w koronkowe szczyty fary, że kościół wzniósł ku Panu ręce i że te ręce zakrzepły wieżami na tle gwiazdzonego firmamentu.

— Kaszlesz, zamknij okno, noc chłodna — prosiła pani Salomea.

Czy zajęta modlitwą i pracą na chleb wiedziała, że chłopiec nosi w duszy wielkie porywy a w cie-

le zaród nieuleczalnej choroby? Któż zliczy i zgadnie tajemne niepokoje, które matki chowają na dnie serca, żeby nie zatruwać niemi słonecznej bezświadości dziecka. Salomea gotowała dla syna żywokost, przyrządzała cudowne maści... i kryła lzy. Tyle ich od śmierci męża wszyła w jedwabie ornatów, że nauczyła się płakać sercem a uśmiechać twarzą. Smutek wdowy spostrzegały chyba jaskółki, które przed jesiennym odlotem coraz smutniejsze w komnatce odprawiały sejmy.

Tymczasem kościół rósł, rosła też w młodzieńszku chęć przyłożenia ręki do dzieła ku chwale Bożej wznoszonego. Dziwiło go, że chęci tej nie dzielił z nim wszyscy mieszkańcy miasta.

— Gdyby każdy z tych, co tu przechodzą, jeden tylko kamień dodał do budowy, miałyby Polska wspanialszą od farnej świątynię — myślał rzeźbiarz.

Nie wiedział, że na świecie dużo jest ludzi gotowych rzucić kamieniem potępienia w bliźniego, ale mało skorych podjąć i przyrzucić kamień tam, gdzie chodzi o wzniesienie dzieła mającego na celu pożytek ogółu.

Irzeźbiarz zdziwiony obojętnością tłumu uśmiechał się gorzko, bo on sam niczem dotąd nie przyniósł chwały Bożej, zesmutniał, wychudł, paliła go gorączka, męczył kaszel.

Kończono nowy kościół z wieżą tak piękną, jak nie zbudowano żadnej dotąd w Warszawie. Majster Jan ociosywał już kamień, który miał służyć za klucz sklepienia.

— A jaka będzie ambona? — zapytał kościelny od fary, pan Benedykt Kropidło, niechętny nowej budowie, za to, że zbyt zbliżona przytykała do starej świątyni.

— Marmurowa z Chęcín, a może drewniana. Widziałem w Krakowie misternie z jednej sztuki dębu rzeźbione ambony, — odparł mistrz Jan i kuł dalej znak cechowy na kamieniu wiążącym sklepienie.

Franciszкови wydało się nagle, że promień słońca ogrzał i oświecił mu duszę. Zbuduje ambonę, ozdobi ją koronką kwiatów takich, jak te, które wykwitają na ornatach haftowanych ręką jego matki. Szedł pospiesznie do domu, uśmiechał się, bo w myśli widział już swoje dzieło skończone i piękne. Odtąd spędzał dni i nocy nad robotą, znał kunszt stolarski, łatwo więc przyszło mu zbudować ambonę, miał teraz rozpocząć najmiłszą pracę, tę, do której przywiązał serce. Będzie rzeźbił drzewo, wedle rysunku naszkicowanego od dawna.

Czuł się jednak dziwnie osłabionym. Kładł dłutko, a wtedy i Salomea kładła igłę spostrzegając z przerażeniem, że twarz syna kwitnie ognistymi płomykami, że gorączka pali koralowe usta chłopca.

— Nic to, matuniu, niech tylko skończę ambonę a wtedy odpocznę — spokojił matkę rzeźbiarz.

Ale po kilku dniach zdjęła i jego obawa, że nie podola zadaniu, drżały mu ręce, nie mógł utrzymać w nich dłutka, zakaszał się, miał krew na ustach...

Spojrzał przerażonym wzrokiem dokoła, zatrzymał pytające spojrzenie na pobladłej twarzy matki i schwycił ręką ambonę, jakgdyby dzieło swoje, nie siebie chciał bronić przed twardym uściskiem śmierci. Salomea uczyła w sercu ten sam grot, który przeszył je już raz przed laty, kiedy zwiastowano wdowie śmierć ukochanego męża.

Cisza zaległa komnatkę, duszące, złowrogie ucieszenie, które zwykle poprzedza grom. Tłukło się tylko głuchym echem zboliałe serce matki, i dyszała zmęczona pierś rzeźbiarza. Milczeli do ostatniej chwili pamiętni jedno o drugim, oszczędzali sobie wzajemnie bólu.

— Nie dokończę ambony, ale to Bóg tak chciał — wymówił nareszcie Franciszek.

— Bóg tak chciał — powtórzyła Salomea sadzając syna na wygodnym krześle i uśmiechając się do niego tym samym zboliałym uśmiechem, który widywał na jej twarzy od dzieciństwa. Otworzyła okno, ułożyła głowę chorego na poduszce i stała nie spuszczać oczów z oblicza syna. Jego oczy szukały słońca, które miało wstać za chwilę.

Tymczasem zbudziło się ptactwo w gniazdach uwitych około futryny okna. Z wież farnych sfrunęły gołębice, okrążyły facyatkę, wpadły do sklepionej komnatki, a potem nie szukając nawet okruszków chleba, siadły na wysokiej poręczy krzesła i utworzyły biały nimb nad głową rzeźbiarza. Odbił się w ich skrzydłach pierwszy promień dnia. Z rozchylnych ust chorego spłynęło tymczasem kilka kropeł krwi i zamknęły się te usta na zawsze...

Salomea nie dostrzegła stygmatu śmierci w twarzy jedynaka, bo duch jej tajemnicą miłosierdzia Bożego wzniesiony po nad światy miał w tej chwili jasnowidzenie przeszłości. Widziała jak na skromną, pozbawioną ozdób ambonę, ostatnie dzieło jej syna, wstępowali kolejno świętobliwi ojcowie Pijarzy. Słyszała natchnione słowa wielkiego po wszystkie czasy reformatora i mędrca księdza Stanisława Konarskiego, w wiele lat potem brzmiały z tego samego miejsca nauki myśliciela i pisarza pijara, księdza Franciszka Krupińskiego. Nić szlachetnej tradycji, zapoczątkowanej w zamierzczym wieku, snuje się nieprzerwanym pasmem w murach skromnego kościółka. Na Starem Mieście usłyszysz dziś jeszcze podanie o świętobliwym rzeźbiarzu, a wymowne usta księdza Jana Gralewskiego głoszą słowo Boże z ambony poświęconej wspomnieniem szlachetnego pracownika.

ZOFIA BUKOWIECKA.





STUDJUM

MARJA NOSTITZ WASILKOWSKA

NIE NA LAMACH SREBREM TKANYCH

(KOLENDA)

*Nie na lamach srebrem tkanych,
Złotym szychem haftowanych,
 Położyła Go,
Lecz badyłków pęczek suchy,
Stała Mu pod rączek puchy,
 Zadumana łzą...
A gdy upadł szron perłowy,
Zdjęła Panna rąbek z głowy,
 Z jasnej przędzy lnu,
I okrywszy nagie nóżki,
Zapłakała u poduszki,
 U poduszki z mchu:
„O mój synku! O Niebieski!
U Twych ustek marzną łezki,
 A Tyś świata król!
Czemuż Tobie nie hejnały
Po tych białych rosach grały?
 Jeno płacz i ból!
Oj nie grały trąby złote,
Na mir ludziom, na ochotę,
 Na słoneczny świt!
Ale jakies szły w niebiosy,
Krwawe skargi, trwożne głosy,
 Ziemskiej kaźni zgrzyt!..*

*Napisano — że pragnących,
Ty napoisz i łaknących
 Chleba, wina dasz...
Aleć synku, matki gleba
Polny ugor — niemasz chleba!
 Cóż Ty ludziom dasz?..“
.....
I wyciągnął Bóg rączeta:
— „Matko moja!.. Panno święta!
 Nie roni gorzkich łez...
Czyli nie wiesz, że me kraje
Lilijowe Ojca gaje
 Kędy światów kres?..
Podnieś oczy nienaspane
Nad pragnące, nad zbląkane,
 Jać nakarmię świat!
I nie chlebem, ani winem,
Ale mojej krwi rubinem
 Nakarmię ten świat...
A szedł ku mnie rozjęk ony
Krwawą stopą przez zagony
 Od tych ludzkich pól,
Bym go w jasne ujął ręce
I otulił w ducha męce,
 Bom ja bólu król!..“*

O! KĘDY IDZIESZ MISTRZU?

*Albańskie błysnęły szczyty,
Świtu mijala pora,
Nad Rzymem wschodziło słońce,
 Z krwawiącą twarzą upiora!..
.....
Polem — wiał ranek świeży,
Dyamentów trząst skronie,
Mgicł promieniste rąbki,
 Światel topiły tonie...
Na wzgórze zrózowione
Kóz śnieżnych biegły trzody,
Pod nieb lazury gwar płynął,
 Wiosenny, słodki, młody...
Szerokie, senne fale,
Grające tęczami słońca,
Budziła łódź rybacka,
 W zórz jasność — w dal płynąca...
Od dróg zamiejskich bramy,
Przez roziskrzzone pole,*

*Szli w rannych blaskach cali,
Mdły starzec i pachole...
Leciały rosy drzące,
Kładła się mgła obłokiem
Od stóp pośpiesznych starca
Przed pacholecia krokiem...
„Co to za jasność płynie
Po wzgórz różanych czole?
Zrenicą nie dojrzę krwawą
Spojrzysz — młode pachole!“
„Panie!.. to we mgle złotej
Stado gołębi się pławi,
I słychać skrzydeł loty
We wschód ciągnących żorawi...
— „Czy nic nie widzisz w przestrzeni?
Blask srebrny aż drogą śnieży,
Z przejasnych lnów utkany,
Kędyś na rajskiej rubieży...“*

Ktoś idzie przeciw po lanie...
Po szmaragdowym lanie...
Czuje... szat Jego śnieżnych,
Obłoczne... ciche... wianie...“

— „Panie!.. wzrok Twój osłabły...
W podziemnych więzieniach pomroku
Odwykt tęczowych blasków,
Wiosennych światła uroku...“

To anemonów śnieżystych,
Pole się chwieje w oddali,
I rój motyli złocistych,
Na modrej wazy się wali...“

I nic pacholę male,
Więcej nie widziało,
A on szedł zapatrzony
W oną jasność białą...

Nagle... jakby od wichrów
Potracon nawaly,
Upadł wśród dróg rozstajnych
Apostoł struchlaty...

I nagie czoło wsparłszy,
Na cierni korony,
Drżał od lkań przenamiętych,
Krzyżem rozciągniony...

Bo w onej jasni ujrzał...
Jak... Chrystus szedł blady...
Po srebrności piołunów
Krwawe wlokąc ślady...

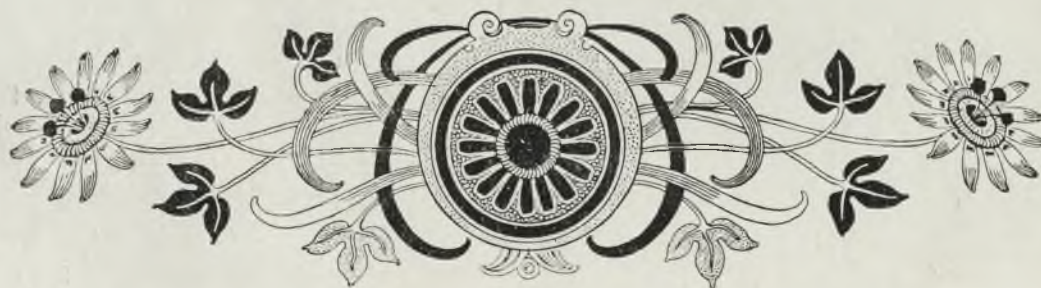
I wzrok ujrzał przesmutny,
Wpatrzony w dal senną...
I najkrwawszą z ran krwawych
Zwałpici!.. łzę płomienną!..

Więc jęknął... szaty śnieżnej
Do ust cisnąc skrawki:
„O! kędy Ty idziesz Panie,
W onej rosie krwawej?
O! kędy idziesz Mistrzu
Wskroś ziemskiej katuszy?“

A odpowiedź Chrystusa
Przeczuwając w duszy...
Trwał w prochu u nóg Jego,
Zmartwiały... i cichy...

.....
.....
A tylko mu głogów,
Ciemniowe kielichy
Na barki strudzone
I czoło wybladłe,
Przyszłych losów krwawe
Dyademy kładły...

A. BANDROWSKA.



*

*

*

Wysłanki niebios, Wiara i Nadzieja, smutne i milczące wędrowały przez obszary świata, bo oto w wędrowce swej zgubiły najmłodszą siostrzycę Miłość, którą Chrystus szczególniejszej ich pieczy powierzył. „Ona promienie światła wiekuistego bijące od was rozpali w płomień, który duchy ludzkie ogrzeje, a wy będziecie wsparciem i siłą dającą jej moc nad sercami.“

Tak mówił Chrystus, a oto wśród zawieruchy przeciągającej nad światem, straciły tę ukochaną wybrankę Chrystusową i z tęsknoty za nią, przogasły boskie promienie ich czoła.

Odtąd szły smutne i milczące, szukając jej wszędy.

Aż nagle zadrzały im serca radością, bo ujrzaly Miłość ku nim idącą.

Smutna była, pobladła i zdawała się być cieniem tylko promiennej wysłanki Chrystusowej.

„Dlaczego opuściliście mnie... — skarżyła się Miłość boleśnie — czyż nie wiecie, że bez was moc moja słabnie i że sama zamieram?“

„Będziemy odtąd z sobą nierozdzielnie, o ukochana! Wróci moc twa i potęga!“

I szły razem przez świat Wiara i Nadzieja, ogrzane gorącym tchnieniem Miłości, wiodąc duchy synów ziemi ku krainie Światła i Prawdy.

WANDA GROT-BĘCZKOWSKA.

DUCHA NIE GAŚCIE



Tych, co wązkimi zdążają drogami
Leniwym krokiem i ospałym ruchem,
O nie pozostaw, Panie, sierotami,
Obdarz — napelnij Swym Duchem!

Okruch błagają z synowskiego stołu,
Jak Chananejska — pokorna niewiasta,

Pozwól im czekać z synami pospołu! —
Kto wierzy — duchem wyrasta! —

Twych Błogosławieństw balsam niech namaści
Nas — błędnej dumy targanych podmuchem;
Dobądź nas z pychy bezdennych przepaści,
Niech będziemy — ubodzy duchem! —



W GŁĘBI LASU

MARJA WIESIOŁOWSKA

Niebios królestwo takim zgotowane,
Za życia błękit do serc im się chyli...

Władanie światem tym będzie oddane,
Co duszę swą uciszyl!

Cichy — pan ziemi!.. Chleb niosą kłosa,
Rosę mu kwiatów podają kielichy,
Las cień mu ściele, chór śpiewa stugłosa:
„Ustąpcie — bo idzie — Cichy!“

Takich nam trzeba, nam, co to w płacz wielki
Po wielkim śmiechu umiemy uderzyć...

Tobie żal, Panie, najmniejszej kropelki,
Pociechę umiesz odmierzyć! —

Jeżeli tylko rozkazom Twym wierni,
Braciom ni dłoni, ni serca nie skąpią,
Błogosławieni wtedy — Miłosierni,
Ci — miłosierdzia dostąpią! —

Błogosławionych wzbudź wśród nas, Panie,
Spragnionych — Głodnych Twojej sprawiedliwości,
Niechaj łaknienie to ich nie ustanie,
Aż zesłesz chwilę sytości! —

Tę chwilę z niebios ci przyspieszyć mogą,
Co na swym czole niosą stygmat łaski,
Co idą, ziemi nie tykając nogą,
Promienni złotemi blaski! —

Idą — wpatrzeni w piękno wiekiuste,
Boga oglądać będzie ich udziałem,
Błogosławieni — serca mają czyste! —
Panie, — ja takich widziałem!

I świętą duch mój pali się tęsknotą
Błogosławieni ci, pokój czyniący,
Będą nam gwiazdą przewodnią, a złotą,
Powiodą lud twój wątpięcy! —

Słodką im daleś obietnicę Boże,
Synami Twymi zostaną nazwani,
Duch Twój na ziemię sprowadzą w pokorze,
Pokój czyniący — wybrani! —

Błogosławieni — dzieci Twojej Miłości,
O, tych — niebraknie zbliska i zdaleka,
Prześladowanie dla sprawiedliwości
Cierpią — a Niebo ich czeka!

Wszystkich tych, wszystkich wzbudź wśród nas, Pa-
Wszeczmocnej łaski owion nas podmuchem, [nie!
Dla nas maluczkich, dość, gdy okrucieństwo stanie,
Napelnij nas Swoim Duchem! —

BOŻYMIR.



Opinacya cudownej statuy w Laghet

Piękną jest Riviera! Uroczę jej siedziby nad błękitnymi falami, jakby stworzone dla uciechy szczęśliwych, szukających zabawy, odpoczynku lub zdrowia... A jednak jakże wielu nie znajduje tego, po co przybyli z daleka; świadczą o tem wymownie posępne smugi polskich nazwisk na cmentarzu w Mentonie i dyskretne echa samobójczych dramatów w Monte-Carlo.

Miejscowość ta, jak zdradliwa syrena, z pośród girlandy miast i miasteczek Riwieri, kusi najsilniej nieopatrnych, wpadających w jej sidła; nie szczędzi niczego dla zwabienia złotonośnych przybyszów, przyciąga w dzień ich ślicznem swem położeniem, w nocy inne roztacza uroki, mrugając tysiącem świateł, dziwnie zdaleka odbijających od majestatu morza i spokojnego blasku księżyca.

Tak często wydarza się w życiu najsprzeczniejsze kontrasty spotykać obok siebie. Niewtajemniczony, nie przypuściłby nigdy, że bliźutko tego strojnego i gwarne piekielka, ukrywającego nędzę moralną, otwiera się oaza dla dusz pragnących trwalszego szczęścia, bo płynącego ze źródła wiary.

Wspomnienia moje wiją się około klasztoru karmelitów bosych w Laghet, umieszczonego jak gniazdko wśród zieleni okolicznych wzgórz.

Zwiedzając z siostrą przed dwoma laty tamtejszą okolicę, niepominęliśmy kolejki zębatej prowadzącej do Turbii, miasteczka ozdobionego szczątkami wieży, kruche go zabytku potęgi rzymskiej.

W Turbii szukamy drogi do klasztoru. Ktoś nas zapytuje:

- „Panie zapewne dążą na uroczystość?“
- „Jaką? nic nie wiemy!“

— „O niezwyčajną! na takie zdarzenie moż-
na czekać sto lat—mamy koronacyę Matki Boskiej
w Laghet; jutro główny dzień uroczystości, trwają-
cych cały tydzień—dziś przygotowania i tłumy ludu
już tam spieszą.“

Idziemy więc za innymi po dobrej szosie,
a chociaż pełno kurzu i droga daleka, niespodziana
pielgrzymka nasza obfituje we wrażenia piękna
i poezyi. Położenie hojnie uposażone przez przy-
rodę. Droga wzbija się lekko wśród dekoracyi
ślicznej doliny, przerznętej strumieniem, z mostem
wiodącym do klasztoru; na jednym z niższych pa-
górków wznosi się klasztor z kościółkiem, a wokoło
wyższe lesiste wzgórza otaczają go amfiteatralnie
jakby straż przyboczna.

Dażąc do świętego miejsca, towarzysze po-
znajomili nas z historią cudownej statuy. Początek
ginie w pomroce wieków; wiadomo tylko, że od
najdawniejszych czasów wizerunek Matki Bożej był
czczony w tych górach. Kroniki świadczą o roz-
poczęciu znacniejszego napływu pielgrzymów i po-
bożnych od r. 1652, gdy uzdrowionym się uczul
tam Casanova; następnie municypalność nicejska
wnosi swej patronce 100 sztuk złota z grosza pu-
blicznego jako hołd poddańczy; z Marsylii, nawie-
dzonej w 1720 przez zarazę, pochłaniającą tysiące
ofiar, biegną przerażeni mieszkańcy do Laghetu,
aby ubłagać Najświętszą Pannę o wstawienie się,
a wysłuchani, składają w podzięce kielich wielkiej
wartości, przechowywany dotąd w skarbcu kla-
sztornym. A któż policzy pielgrzymki przybywa-
jące z chorymi na duszy i ciele, szukającymi umoc-
nienia w wierze, odwagi w przeciwnościach, lub
pociechy dla serc złamanych!

Przed wrotami klasztornymi jak zwykle w dni
odpułtwe wre ruch, wrzawa, bo ze wszęch stron
napływa moc przybyszów, przekupniów, żebraków,
oraz robotników zajętych zawieszaniem lampionów
do iluminacyi i flag bialo-niebieskich.

A już w kościele żywa fala coraz silniej na-
pływającego ludu utrudniała przejście. W tej
skromnej, zacisznej świątyni, u stóp cudownej sta-
tuy, pięknej swą prostotą
i wyrazem nieokreślonym,
niepodobnym do uchwy-
cenia dla terażniejszych
artystów, liczni pobożni
zanosili gorące modły do
Boga Rodzicy. Błagalne
śpiewy wzbijały się pod
starożytne sklepienia. Kon-
fesyonały otoczone przez
wiernych zajęte przez za-
konników, którzy całą noc
mieli spowiadać, aby na
godzinę szóstą rano przy-
gotować penitentów do
przyjęcia Najświętszego
Sakramentu, z a chę c a ł y
obecnych do skruchy.

Nazajutrz o świcie zna-
lazłyśmy się na stanowisku.

Całodzienne nabożeństwo odbywało się na
dworze, na wielkim tarasie ogrodów zakonnych,
położonych od południa, naprzeciw drogi do Tur-
bii. Tam przy murze kościelnym, wśród krzewów
i bogatych dekoracyi, urządono estradę na ołtarz
pod wysokim baldachimem z koroną zlocistą u szczy-
tu. Barwnie odbijały szkarłat sukna i bialość flag
od ciemnego tła sosen. Po obu stronach ołtarza
ustawiono dwa trony dla najwyższych obecnych
na tej uroczystości dostojników kościoła: kardynała
i arcybiskupa koronującego. Tam również wyzna-
czono miejsca dla licznego duchowieństwa, mające-
go uczestniczyć w tym wspaniałym obchodzie.
Naprzeciwko wznosiła się druga estrada dla
uprzywilejowanych gości, a dalej z amfiteatru gór,
przeszło 20 tysięcy wiernych mogło spojierać na
nabożeństwo.

O godzinie szóstej rano przeniesiono cudowny
posąg z kaplicy i umieszczono go na wzniesieniu
pod baldachimem. O godzinie siódmej odprawiona
była Msza cicha przez arcybiskupa nicejskiego, na
którą wpuszczono pragnących przyjąć Komunię św.

Rozglądając się do kola, spostrzegamy wiele
rodzin arystokratycznych; nazwiska Bourbonów,
książąt Elchingen, Rivoli d'Esling, hrabiny Caserta
słyszeć się dają. Spodziewany był książę Monaco,
nawet szły wieści, że daży piechotą, niektórzy
twierdzili, że boso jako pokutnik. Jednak nie zja-
wił się. Natomiast już podczas obrzędu przeor
wprowadził dwie damy w skromnych a zarazem
wykwintnych toaletach podróźnych, prosząc o zro-
bienie miejsca dla arcyksiężnej Stefanii. Znalaziono
tylko jedno wolne przy nas—drugie obok odstąpił
wojskowy należący do towarzystwa księstwa El-
chingen.

Miałyśmy sposobność przyjrzenia się hrabinie
Lonyay. Ladnie wyglądała, mimo smutnego wy-
razu oblicza; z wielkiem też zajęciem śledziła za prze-
biegiem uroczystości, mięszala się nawet do rozmowy
osób nieznanych — gdy np. siedząc za nami panie
objawily głośno życzenie, aby młodszy duchowny,
umieszczeni na stopniach estrady, uklękli, gdyż za-
slaniając ołtarz — z wdzię-
kiem odwróciła głowę
obciążoną jasnymi warko-
czami i rzekła z uśmie-
chem:

— „Jestem tego sa-
mego zdania“.

Wkrótce rozpoczęła
się ceremonia koronacyj-
na, która, jak wszystkie
obrzędkie naszego Kościo-
ła, jest zarazem wspania-
ła i pełna prostoty. Naj-
pierw całe duchowieństwo
przeszło do kaplicy, gdzie
na kosztownych podusz-
kach, spoczywały złote
korony i berla; po ich po-
święceniu, wracali proce-
syjnie przed statuę. Wte-

Można się zgodzić na predestynacyę dusz.
Tu na ziemi przechodzimy przez piekło, czyściec
i niebo. Piekłem są nasze grzechy, błędy, winy,
ułomności; czyścem — dziwna, nieublagana kon-
sekwencya złego, która prędzej czy później prze-
ciwko nam się zwróci; a niebem — są nasze po-
loty, uniesienia i kochania nasze.

Czemu jednak te trzy etapy naszej ziem-
skiej wędrówki tak są pomiędzy ludźmi nierówno
i niesprawiedliwie ustosunkowane? I czem ta
niesprawiedliwość wyrównaną będzie?

Ileż to mamy wdów między mężatkami!
A najsmutniejsze to wdowieństwo: mąż jej wpraw-
dzie żyje, ale już nie dla niej. I niejedna żona
mniej płacze na grobie męża, niż na grobie swej
miłości.

SARJUSZ
(Zofja Cieszkowska.)

dy niezwykle mieliśmy widok, olśniewający przepychem i uderzający świetnością.

Rzadko zdarza się widzieć tak wielką liczbę zebranych razem dostojników Kościoła; oprócz kardynałów i kilku arcybiskupów, jednego patriarchy, kilkunastu biskupów, duchowieństwo reprezentowane było przez mnogich pralatów, kanoników i delegatów z różnych dyccezji — wszyscy w szatach uroczystych. Błyszczały też w słońcu złociste tyary i pastorały, mieniły się purpura i fiolety, od których odbijała białość delikatnych koronek. Pochód trwał długo, bo przejście między estradami było stosunkowo wąskie. A taki ci dygnitarze po większej części mieli wyraz dobrotliwy i uprzejmy, że najbliżsi z obecnych zachęceni i ośmieleni, powstawali, aby całować ich ręce, co niewątpliwie musiało być dosyć utrudzającym dla nich.

Nareszcie uciszyło się, wszyscy zajęli swoje miejsca; nastąpiło odczytanie Brewe papieskiego, które głosiło, że na mocy szczególnego upoważnienia przez Ojca Świętego, biskup Nizy ma ukoronować statuetkę, już ukoronowaną i poświęconą przez wiarę i miłość ludu. Teraz zaczęła się Suma pontyfikalna, celebrowana przez arcybiskupa z Aix.

Słynny mówca, biskup z Nimes, głosił słowo Boże, zastosowane do okoliczności. Poczem arcybiskup nicejski wstąpił na podwyższenie i wkładając korony na głowy Matki Boskiej i Dzieciątka Jezus, wymówił dwukrotnie sakramentalne słowa:

— „Tak jak jesteś ukoronowana naszymi rękami na ziemi, spraw, abyśmy zasłużyli być przez Ciebie ukoronowanymi w niebie!”

W tej chwili tysięczny tłum ludu wybucha okrzykami radosnego zapału, zewsząd słychać wiaty, dzwony biją, działa grzmia, bębny i trąby mieszają swe odgłosy do wspólnych pieśni, a chóry kilkusetgłosowe towarzyszą orkiestrze.

Ceremonia zakończyła się Apostolskim błogosławieństwem, udzielonem wiernym przez wszystkich biskupów zgromadzonych przed ołtarzem na stopniach estrady. Była to chwila niezwykle nastroju, porywająca ekstazą prawdziwej wiary.

Wieczorem błysnęła illuminacja i ruszył pochód pielgrzymów ze światłem jarzaczem. My już tylko z drogi powrotnej słyszaliśmy pienia pobożne, coraz dalsze, coraz cichsze, ale budzące odźwięk w sercach naszych:

„Witaj Dziewico, witaj Maryo, witaj Królowo nieba i ziemi!”

CELESTA PORAJ-BIERNACKA.

JAN Z CZARNOLASU

I.

Nad ziemią Piastów jutrzeńka polyska,
Z dawnych posiewów kielkuje plon Boży,
Mgły nocne pierzchły, godzina już bliska
Promiennej chwałą Żygmuntowskiej zorzy.
Zwiastuny wiosny bociany klekoczą,
Wszystko pogodny zapowiada dzionek,
Jaskółka kwili na gniazdku ochoczo,
I tylko milczy na miedzy skowronek.

Słyszę go... słyszę... z obczyzny dalekiej,
Pieśń jego leci przez lasy, przez rzeki,
Serca nieznana napętnia otuchą...
Tak cudnych dźwięków niezna polskie ucho!
Oracz ją słyszy nad pługiem schylony,
I pełnem tętnem jego pierś uderza,
Słyszy ją rycerz bojami strudzony,
I nowym żarem drga serce rycerza;
Słyszy ją śpiewak, i zadumał smutnie,
Z gniewem o ziemię roztrzaskał swą lutnię,
Robak zawiści do wnętrza go bodzie,
Lecz siłą woli pokusę zwycięża:
„O pieśni moja! ty przebrzmisz w narodzie!
Woła z zapalem, w ręce tego męża,
Co tak cudownie strun liry potrąca,
Niechaj dank pierwszy, złożę, śpiewak stary!“ *)

*) Słowa Mikołaja Reja z Nagłowic, wyrzeczone na

A pieśń w narodzie dzwoni srebrnobrzmiąca:
„Czego chcesz, Panie za Twe hojne dary?
Gdzie wzrok dosięże, wszędy pełno ciebie,
W otchłaniach, w morzu, na ziemi i w niebie,
Tobie rozliczne kwiaty wiosna rodzi,
Tobie w kłosistym wieńcu lato chodzi
Z Twej woli rosa na mdle ziola padnie!“ *)

I któż on lirnik? kto ten mąż natchniony,
Co słowem ojców tak potężno władnie?
Zkąd on wydobył te cudowne tony,
Że serca bratnie tak dzielnie porusza?
Nim po skarb wiedzy, w świat długi, szeroki,
Pomknął za młodu wędrownymi krokami,
Zdrój swojskich krynic piła dziecka dusza.
Wykarmion mlekiem piersi macierzystej,
Niańczon jej pieśnią w niemowlęce lata
Dochował w sercu skarb wiary przeczystej **),
Niezlomną tarczę od pokusy świata.
Pod tą pawężą bezpieczny on wszędzie:
Płynął Dunajem, brnął przez Alp krawędzie,

zjeździe sandomierskim, gdzie odczytano przyslaną świeżo z Paryża pieśń Jana z Czarnolasu, zaczynającą się od słów: Czego chcesz od nas Panie?

*) Słowa Jana Kochanowskiego

***) Niektórzy utrzymują, że ulegając wpływowi czasu swego, skłaniał się do protestantyzmu, przeciwko temu świadczą wymownie jego słowa: „Nie uczyłem się w Lipsku ani w Pradze wiary, nie wiem jako każą w Genewie u Fary.“



Kędy na morzu gród Wenetów leży,
 I u Tybrowych wstrzymał się wybrzeży,
 Wówczas gdy ludom błysła z wieków lona
 Romy Cezarów chwała odrodzona.
 Z wiecznego miasta pomknął dalej jeszcze,
 Tam gdzie Sybilli grzmiąły głosy wieszczce,
 Ziemię Latynów zbiegł z końca do końca,
 „Wdarł się na skałę pięknej Kaliopy,
 Kędy nie było znaku polskiej stopy. *)”
 Ztamtąd pieśń swoją wysyła za gońca,
 Niech na wschód bieży skowronczemi loty
 I lutni polskiej wywróży wiek złoty!

II.

Długo z niw obcych zbierał żeniec plony,
 Z bogatym snopem do domu powraca:
 Odlogiem leżą ojczyste zagony,
 Czas je zaorać, nie trwoży go praca.
 Na skwarze dworskim wyschłoby to ziarno,
 Oracz je woli złożyć w rolę czarną,
 Ztąd zawierucha w świat go nie rozniesie,
 A gdy Bóg słońca użyczy i rosy,
 W nagrodę złote zadzwonią mu kłosy.
 I osiadł lirnik w cichym Czarnolesie,
 Lipa mu cudnie szeleści nad głową,
 Co dnia piosenkę poszeptnie mu nową.
 Rychło dorodną upatrzył dziewczę,
 Snadniej trud życia ponosić we dwoje...
 Głos jej słodziuchno serce mu pochwyca:
 Jak w pośród gwiazdek świeci blask księżycy,
 Tak ona świeci w polskich dziewic kole,
*Stopką zaledwie tknie ziemi gdy mija,
 Wślad jej wyrasta róża i lilija!*

Lirnik na życia dolę i niedolę
 Pojął dziewczeczkę i nazwał ją żoną,
 Perłą dni swoich, *głowy swej koroną,*
 Przy niej mu życie wianeczkiem się toczy,
 Wnet troska pierzchnie, gdy spojrzy w jej oczy.
 Rad też na wrotach nakreślił w pokorze:
*„W tym cichym domu błogosław nam Boże!
 Insi niech dworce murowane mają,
 Niech złotogłowiem ściany obijają,
 Ty mi daj mieszkać w tem gnieździe ojczystem,
 Udaruj zdrowiem i sumieniem czystem,
 Uczciwem mieniem i miłością ludzi!”*

I ład zakwitnął pod strzechą domową,
 Wytrawny oracz nie próżno się trudzi,
 Ziarno nie pada na rolę jałową,
 Bujnie mu wschodzą posiew na zagonie,
 Do ula pszczołki skrzętnie znoszą miody,
 Rumiany owoc rodzą mu jablonie,
 Stad pełne pola i jagniąt zagrody.
 A bujniej jeszcze od owsa i żyta
 Pieśń w Czarnolesie na słońcu rozkwita.

Mistrz po kolei różnych strun dotrąca,
 I z każdej umie wdzięk wydobyć nowy...

*) W przypisaniu psalmów Myszkowskiemu, znajdujemy te dwa wiersze poety.

Aż uderzyła z nich piorunem grzmiąca
 Prorocza nuta harfy Dawidowej!
 I polska mowa, tak chropawa jeszcze,
 Gdy w nią powiało tchnienie puszczy wieszczce,
 Z harfą Dawida biegnie przed tron Boży,
 Godna zwiastunka Zygmuntońskiej zorzy!
 A gdy zakraczą krucy, śmierci gońce,
 Od strzał tatarskich gdy zaćmi się słońce,
 Wzdłuż polskich jarów dzwoni psalm Proroka:
 Kto się w opiekę odda Panu swemu,
 Znajdzie bezpieczny puklerz przeciw złemu,
 On lwa ujarzmi i pogromi smoka!

Pieśni zrodzone w cichym Czarnolesie.
 Dzwonią po kraju brzmącemi hejnały,
 Ranna je rosa pod obłoki niesie,
 Plusnęły niemi fale Wisły białej,
 Aż zachwycony potęgą tych tonów,
 Drgnął na Wawelu prawnuk Jagiellonów.
 — „Orłom, zawoła, nie w kniei lesistej,
 Ale na słońcu słać gniazdo przystało!
 Wieszcz, co tak podniósł blask chwały ojczystej,
 Godzien być kraju podporą i chwałą,
 Niechże zasiądzie w Senatorów gronie!“
 I Wielki Kanclerz, mąż pierwszy w koronie *),
 Do Czarnolasu sam pospiesza w posły.
 Lirnik serdecznie powitał Kanclerza,
 Pod cieniem lipy sadza go rozrosłej,
 Pełną mu serca radością uderza,
 Lecz dostojeństwa on przyjąć nie może!
 — „Wielce mi drogą łaska mego Pana,
 Rzecz z prostotą, ale strzeż mnie Boże,
Bym ja dumnego wpuszczał Kasztelana,
W me niskie progi: wnet by, dla czezej chwały
 Próżnej gawiedzi otoczony rojem,
 Roztrwonil plony mej pracy wytrwalej,
Ten pan kto umie poprzestać na swoim!”

III.

I osiadł lirnik w cienistej zagrodzie,
 Przestał na kęsie pradziadowskiej ziemi,
 Rad ze swej doli, *pogląda w swobodzie,*
W ozdobne niebo oczyma jasnymi.
 Śledzi z otuchą brzask jutrzeńki złotej
 Co nad Wawelem, z poza mgły, przeblyska,
 I wzrok wysyła za domowe ploty,
 Pochwyca lutnię i z piersi ogniska
 Wciąż nowe iskry twórczą siłą krzesze.
 Nie gwoli własnej śpiewa on uciesze,
 Acz lutnia słodką dla piewcy ponętą,
 Acz krzepi duszę i odgania troski,
 Śpiewać dla niego, powinnością świętą...
 To nie igraszka, ale rozkaz Boski!
*„Komu z niebiosów padło darem słowo,
 Niech serca słodką pociąga wymową,
 Czyni porządek, ustrzeże od szkody
 Swych praw ojczystych i pięknej swobody.
 Służmy poczcivic sławie, jak kto może,
 Niech ku pożytkom wspólnym dopomoże!”*

*) Jan Zamoyski.



PRZĄDKA

M. STAJEWSKA

Tak woła lirnik, i, natchnienia syty,
Leci ku słońcu w powietrzne błękity!
*„Kto mi dał skrzydła? kto mię odział pióry?
Kto tak wysoko postawił, że z góry,
Przeszłość narodu ogarniam wspaniałą?”*
Pyta w zachwycie upojony chwałą.
I widzi w koło dawnej sławy znaki,
Stopą Chrobrego wydeptane szlaki...
A pierś mu pęka, gdy przez całun czarny,
Liczy krwi krople pociekłe u Warny,
I błogosławi króla bohatera:
*„Kto syty chwały żaliż ten umiera?
Grób twój, Europa! słuń śnieżne Balkany,
Napis: Cześć wieczna między Chrześcijany!”*
Wciąż ręka mistrza weselej, to smutniej,
Potrąca w struny czarodziejskiej lutni,
Z różnych się kwiatów wieniec życia splata;
Czasami chmurka przebieży po niebie,
Niekiedy rosy brak w skwarne dni lata,
*Czasami lutnia jak niesforne żrebie,
Zbieży na pola... próżno gonić za nią!*
Czasem zwątpienia duszę piewcy zrania,
I złote struny drgną dźwięki łzawemi:
*„Sobie ja śpiewam, bo któż jest na ziemi,
Ktoby mą pieśnią chciał ucieszyć serce?”*
Lecz orłom w chmurach nie szybować długo,

Lirnik swej pieśni panem a nie sługą,
Wie jak do ładu sprzędz myśli w rozterce,
Umie z bark strząsnąć twarde zwątpień brzemie,
I trosk ciężarem uderzyć o ziemię.

Już śpiewak lutnię stroi na ton nowy,
Chce godnie uczcić wieczór Sobotkowy.
Żniwa zapasem, kłos o kłos potrąca,
Błysnął na niebie srebrny sierp miesiąca.
*Bąki zagrały, jako zwyczaj niesie,
Kregiem ogniska płoną w Czarnolesie.*
Lirnik z rodziną wśród wieśniaków grona,
Siadł na murawie i w struny uderzy...
Poi go wonią łąka pokoszona,
Z lasu powiewa zapach jodeł świeży.
Patrzy na kmieci, istne pszczołek roje,
Na opasane bylicą dziewoje,
Na dziarski zastęp młodzieży pastuszej.

Gorąco lirnik ukochał te kmiotki,
Do ojczystego przyrosłe zagona,
Przy nich on w pracy pędzi żywot słodki,
W nich czerpie siłę myśl prawdy zlakniona.
Nieraz, gdy wichur ze świata powieje,
Gdy serce zwątpi, zmysły się zatrwożą,
Spojrzy na cichą tę czeladkę Bożą,

Jak orze z wiarą i z otuchą sieje,
I w duszy kwitnie znowu spokój błogi,
By żyć z tym ludem zrzekł się blasków świata,
Przed Kasztelanem zawarował progi.
Orlemi skrzydły duch piewcy ulata,
Przez mgły stuleci, przez tumany czasu,
Twórczą natchnienia pędzony potęgą,
Podsluchiwał wielki śpiewak z Czarnolasu,
Tętno serc bratnich pod kmięcią siermięgą!

IV.

Jak strumień czysty bieży po dolinie,
Z lutni śpiewaka pieśń za pieśnią płynie;
Jeśli żaloba łzami oczy zaćmi
Nad roztrzaskaną narodu kolumną,
Wieszcz z Czarnolasu jednoczy się z braćmi,
Śpiewa żalośnie nad otwartą trumną
Jana z Tarnowa, męża cnót i czynu,
Pogromcy Multan u bram Obertynu,
*Co pełen wieku i przystojnej chwały,
Tam się położył niby kłos dojrzały.*
Płacze Firleja, *co w walce z poganą*
Duszę swą wylał przez pocziwe rany,
A gdy od Dniestru lecą krucze stada,
Zwiastuny mordu, złaknione posoki,
Gdy czarnym szlakiem Tatarzyn dopada,
Pustoszy pola, pęta jeńce w troki,
Z lutni śpiewaka pada grom za gromem,
Rozbudza sennych: „Kto żyw niech kord bierze!”
*Na pieniądź srebrne przekujmy talerze!
Zatrata wisi nad praojców domem,
Pełnemi garściami rozsypujmy złoto,*
By kraj przed wieczną zasłonić sromotą!
Złowroga dla nas uderza godzina,
Serca upadły! strach nam tatarzyna!

I pieśń uderza niby dzwon śpiżowy!
O! czarodziejska tej pieśni potęga,
Z serc półomdlałych dobywa hart nowy,
Ramię z ramieniem, wolę z wolą sprzęga.
Zagrzmiały trąby, ostro dzwonią miecze,
Młódź cwałem pędzi na tatarski taniec,
Odbija łupy, tnie w pień, rąbie, siecze,
Podole trupem zawalił pohaniec!
Przez słupy ognia, przez tumany dymu,
Dzicz Perekopem ucieka do Krymu.

Okrzyk tryumfu przebija radośnie
Szeroką Polskę od morza do morza.
Zwycięski naród w nowe siły rośnie,
Wspanialej gore Zyguntowska zorza,
I pieśń lirnika urasta w moc nową,
Zaliż nie jego cudotwórcze słowo
Iskrą ożywczą wnikło w serc odmęty
I bohaterstwa zrodziło plon święty?

I dreszcz zachwyty wstrząsł piersią lirnika;
Lica mu zbladły, skry z oczu wytrysły,
Wrota przyszłości anioł mu rozmyka,
Słyszy jak dzwonią od Dniepru do Wisły
Dum Czarnolaskich wiecznie świeże tony.

*Nie umrę cały, wyszepnie proroczo,
Popiół mych kości nie będzie wzgardzony!*
Wśląd za wiekami wieki się potoczą,
Ale pieśń ze mną w grób się nie poloży!

.....
.....
Oto w koronie i w drogiej purpurze,
Na tronie zasiadł pomazaniec Boży.
Przed nim zakonu wiekuista księga,
I szczerbiec Piastów, lecz on nie zatrwoży
Serca niewinnym, złych tylko dosięga!
Przy tronie Senat i rycerstwa koło:
*Przystąp Olbrachcie, zacnych książąt plemię!
Przed królem polskim schył pokorne czoło!
Z jego to łaski dierzysz Pruską ziemię!*
Tak śpiewa lirnik i patrzy z rozkoszą,
Jak do stóp króla proporzec się kloni,
Ale potężniej skrzydła go unoszą,
Gdy błysł mu słońcem orzeł przy pogoni!
Uderzy w struny: Tobie cześć i chwała!
Twe imię królu nie przebrzmi w narodzie,
Tyś wielkim żarem, co w twej duszy pała,
Dwa bratnie ludy nakłonił ku zgodzie!
Praojce Twoi przesławnej pamięci,
Już położyli grunt wielkiego dzieła,

Skuli je mocą przysiąg i pieczęci,
Lecz dziś budowa do szczytu stanęła,
Bo nie te zgłoski, co je ludzie kreślą
Na pargaminach, uwiecznią sojusze:
Lecz święta miłość, co myśl wiąże z myślą,
Jednoczy chęci, z duszą zlewa duszę.
W skrzyni zamknięta cóż ustawa znaczy!
Z serca do serca podajmy ją raczej,
Tam jej mól nie tknie ani pleśń dosięże,
Ni czas co wali w pień dęby i męże.

V.

Okrzyk tryumfu w powietrzu drga jeszcze...
Przecż tak boleśnie drgnęły struny wieszczce?
Dla czego piewco, zbiałał włos twój kręty?
Zkąd one brózdki na wysokim czole?
Czemu zagasło twe oko sokole?
Czyż w duszy twojej, tej krynicy świętej,
Zkąd pieśń tryskała z potęgą wciąż nową,
Zbrakło wód żywych? Azaliż twe słowo
Utonie w czarnym odmęcie rozpaczny?
Słowo nie zmilknie, pieśń twoja nie skona,
Lecz struna lutni łzami potracona
U wrót cmentarnych zadzwoni inaczej!

*Jakby oliwka pod wysokim sadem,
Pnie się ku słońcu macierzyńskim śladem,*
Tak twa dziewczeczka rosła ulubiona,
Stabiuchnym prątkiem ledwie wyszła z ziemi,
I nie okryta listki zielonemi,
Padła u nóg twych kosą podsieczona.
Płacz, biedny ojcze! to cudowne dziecię,
Miało dziedziczyć twą lutnię przeczystą,
Jak ty w słonecznym bujać natchnień świecie,

Błysnąć promykiem nad ziemią ojczystą.
 Co dnia z jej ustek zbiegała pieśń słodka,
 Śpiewnem gardziółkiem kwiliła szczebiotka...
 Dziś tych pogwarów twe ucho nie słyszy,
 Zwodna uluda twych oczu nie mami,
 Zmilkła szczebiotka w zagrobowej ciszy,
 Sny niewyśnione ty oblewasz łzami!
 Pierś twoja pęka w serdecznej żalobie,
 Na niebie twojem słonko się zaćmiło,
 W domu, acz pełnym, dziś pusto jak w grobie,
 Z jedną duszyczką... tak wiele ubyło!

Gdzie skłonisz ucho, w którą spojrzysz stronę,
 Wszystko ponawia twego serca rany...
 Tu jej letniczek we wzorki pisany,
 Tam uploteczki i paski złocone!
 Ah! widzisz, ojcze, twą lilijkę białą
 W cichej trumience, z powieki zwartemi;
 Ty jej pod główkę kładziesz brylkę ziemi,
 Ostatni datek, chudobę jej całą!
 „Orszulko! wołasz, słodkie moje dziecię!
 Gdzieś ty ubiegła, w jakim żyjesz świecie?
 Czyli nad sfery niebios podniesiona
 Krążysz w błękicie wśród aniołków grona?
 Czy porzuciwszy twe kształty dziewicze,
 Wzięłaś postawę i piórka słowicze?
 Ukój mą żalność, a staw się przedemną
 Snem, albo cieniem, lub marą tajemną!“

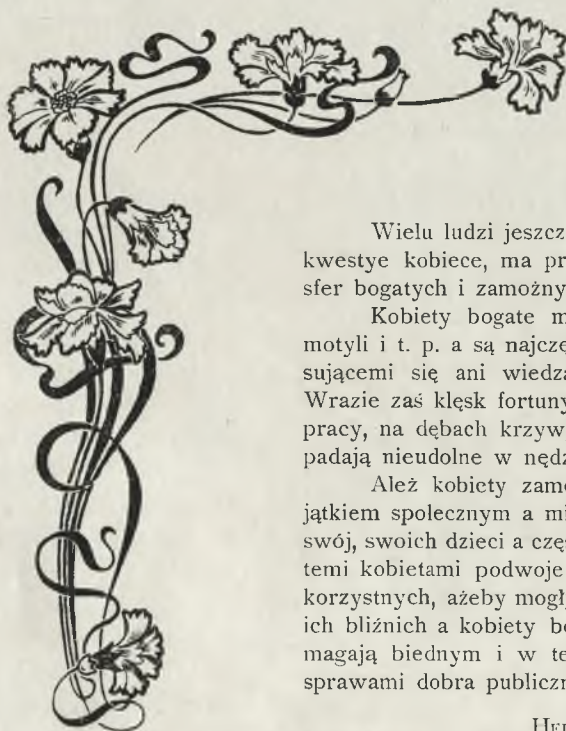
Lecz pieśń umarłej z grobu nie wywoła!
 Próżno, ach! próżno ku ziemi schylony,
 Grobowy kamień objąłeś ramiony,
 Ty drżysz!.. włos powstał dębem z twego czola!
 W tajnikach piersi, zaliż gad się lęże?
 Czarne niewiary oplotłyż ją węże?

Głos w niej odbrzmiewa jakimś tętnem dzikiem,
 Stój!.. być-że tobie grobowym puszczykiem?
 Orłom słoneczną szybować przestrzenia!
 Widzę cię, mistrzu, twe lica się mienia!
 Już cudem łaski duch z pęt rozwiązany,
 W górę nad mętne pomyka tumany,
 Z ócz twych wytryska łez ożywcza rosa!
 Ręce do góry podniosłeś w pokorze,
 I wołasz w jasne zapatrzon niebiosa,
 „Bądź wola Twoja, przebacz mi o Boże!“

I oto widzisz w odblasku księżyca,
 Twojej macierzy promieniste lica,
 Drobne dzieciątko na łonie swem tuli,
 Zorza rumieni jagody Orszuli.
 Jak modre gwiazdki oczęta jej płoną,
 Bieluchne czoło zwieńczone koroną
 Złotych uplotów a z ustek szczebiotki,
 Wybieży głosik tak rzewny, tak słodki...
 Śpiew to Serafów, śmiertelnym nie znany.
 „Czego mnie płaczesz, ojcze ukochany?
 Na ziemi burza ścina kwiat w rozkwicie,
 Łez rzeki płyną, twój świat nie wesoly,
 Mnie stokroć lepiej po jasnym błękicie
 Płasać swobodnie z białemi anioły.“

Znikło widzenie... do koła mrok czarny...
 Pusto i glucho! wiatr tylko potrąca
 Wiotkie gałązki wierzby cmentarnej,
 I tylko promyk srebrzysty miesiąca,
 Płasa leciuchno po miękkiej murawie.
 W pierś twą, lirniku, wstępuje otucha,
 Rozpromieniony, pytasz w głębi ducha:
 „Byłoż to we śnie? byłoż to na jawie?“

SEWERYNA DUCHIŃSKA.



Wielu ludzi jeszcze w dwudziestym wieku, rozważając kwesty kobiece, ma przedewszystkiem na myśli kobietę ze sfer bogatych i zamożnych.

Kobiety bogate mogą być porównywane do kwiatów, motyli i t. p. a są najczęściej wdzięcznymi lalkami nieinteresującymi się ani wiedzą, ani postępem, ani dobrem ogółu. Wrazie zaś kłesk fortuny są bluszczami rozpiętymi na cudzej pracy, na dębach krzywych lub zmurszałych i z niemi razem padają nieudolne w nędzę materyalną i moralną.

Ależ kobiety zamożne i tem samem bezczynne są wyjątkiem społecznym a miliony kobiet pracować muszą na byt swój, swoich dzieci a często i starych matek. Otwórzcie przed temi kobietami podwoje wiedzy, myśli i wszelkich zawodów korzystnych, ażeby mogły uczciwie zarabiać na byt swój i swoich bliźnich a kobiety bogate niechaj w mądry sposób dopomagają biednym i w tej formie przynajmniej interesują się sprawami dobra publicznego.

HELENA GEDRUS EYDZIATOWICZOWA.



MOTYW WIEJSKI

A BĘDZIE WAM DANE



zły Wiara, Nadzieja i Miłość.

Ujęły się za ręce i patrzyły oczyma jako gwiazdy w dal szeroką.

Suknie na nich śnieżne były, miękkie i powłóczyście, a lica ich czystością promieniały, dobrocią i powagą wielką.

Szły od wschodu, drogą stromą, a stopami o cież się raniąc, spoglądały na siebie słodko i cierpliwie, zachęcając się wzajem do drogi.

Szły długo, długo napotykając zrzadka ludzkie istoty zmęczone i smutne, które przypadłszy do stóp ich całowały rąbek ich szaty, a podnosząc się, z trudem szły dalej, dążąc w swoją stronę.

I Wiara rzekła: Patrzcie o siostry! jak pusta droga nasza. Idziemy strudzone od roku do roku, od stulecia do stulecia, szukamy oczyma braci i sióstr naszych pragnąc objąć okiem niezliczone tłumy, przecież daremnie wzrok nasz wysilamy — pusto

i pusto. — Jak smutno patrzeć na pustkę taką! a przecież wierzę, że kiedyś będzie inaczej.

Nadzieja rzekła: Inaczej będzie, inaczej być musi, a Ten który nas stworzył i na świat posłał, ma dużo czasu przed sobą; wieki na ziemi są dniami Jego, a ziemskie lata, Jego sekundy. Ten, który nas zesłał, by świat ku Niemu dźwigać, nie śpieszy się, bo Imię jego wieki wiekuiste. Dziś droga pusta, jutro pełną będzie; tylko się nie zrażajmy.

Miłość milczała, a oczy jej promieniste, lżą smutku zaszły.

— Ty milczysz siostrze? pytała Wiara na nią spoglądając.

— Słuchajcie, mile. Idziemy razem, ręka rękę ujawszy, idziemy ciche w zamyśleniu wielkiem. Czy na to On nas zesłał? A ci, którzy nas ukochali, których dusze uniosłyśmy w górę ku Panu, zniknęli z dróg kwiecistych, zniknęli z dróg ciernistych.

Ukochawszy nas usunęli się w ciszę i samotność, bojąc się zgielku ludzi. Przybytkiem Bożym zamknęli się, od świata uciekli. Więc puste drogi nasze, bo ciernista ścieżka, którą dążymy, a nikt nas nie zna i nie spieszy ku nam.

— Prawda — odrzekły Wiara z Nadzieją, — nieznanne idziemy w dal wielką, bo znać nas nie chcą na świecie.

Więc ty Miłości, siostró ukochana naucz nas co czynić mamy?

— Rozproszmy się — odparła głosem nieśmiałym, cichym.

Spojrzały po sobie ze zdziwieniem, a strachem w oczach promienistych.

— Pójdźmy w świat każda osobno. Ty wiaro zdobędziesz łatwo tych, których wszyscy mędrcy zawiedli, a którzy bez oparcia dla nóg swych w przeżeniu i grozie błakają się drogi nie widząc.

Ty Nadziejo udasz się do tych, co w rozpaczylu oplakują ukochanych swoich i po za grobem, gdzie ciała ich złożyli, nie dostrzegają wschodzącego słońca.

— A Ty? pytały Wiara i Nadzieja.

— A ja pójdę wszędzie i do wszystkich serc stuknąć będę i wszystkich prosić, by mnie wpuścili do siebie dla dobra ludzkości.

— Gdzież to pójdziemy, kiedy dniem i nocą idąc nie spotykamy nikogo?

— Pójdziemy na drogi kwieciste, rojne, tłumne, gdzie po kwiatach zakrwawieni ludzie stąpając, wrywają sobie w płacz i zgrzytaniu zębów, wiązki zwiędłego kwiecica, jedni drugim złorzeczając, a słowem ich szyderstwo, a czynem plwanie na bliźniego i kamienowanie go, gdy odwraca głowę niechcący.

— I czemuż to razem pójść nie możemy?

— Bo tam wśród zgielku a pożądlivosti ludzkich nie dadzą gościny trzem naraz — uciekanoby biorąc nas za te, które przyszyły kłaść tamę chuciom i samolubstwu. Pójdziemy każda z osobna, z promieni utkaną siecią tęczą. Ty Wiaro łowić będziesz tych, co patrzą, patrzą w dal nic nie rozumiejąc i czują jedno, że chcą, że pragną oparcia dla stóp swych zmęczonych, a w księgach mędrców, mądrością świata bogatych, nic nie znajdują. To będzie połów twój.

— Gdy ciebie Miłości, siostró najmilsza, nie przygarną do serc swoich, to i martwą stanie się moja u nich obecność.

— Ja później przyjdę, gdy ty ich zdobędziesz, ja później przyjdę i wszystko ożywię.

— A cóż ja pocznę bez ciebie Miłości? zimną i bezowocną snuć się będę po świecie — rzekła Nadzieja.

— Nie ty, Promienna! Nie ty, Ożywcza — nie ty bezowocną stać się możesz. Wielką jest siła Twoja, większą niż wszystkich mocarzy. Gdy wstąpisz do serc, one z grobu na światło zmartwychwstaną, ty budzisz martwych, ty otwierasz oczy na życie wieczne, ty wlewasz balsam w rany niezagojone, leczysz i skrzydła przypinasz. O nadziejo, idź między ludzi, na drogi szerokie, tłumne,

a wstępuj w dusze ich opromieniając i grzejąc wiecznym światłem twojem.

— Cóż ja bez ciebie, siostró Miłości pocznę na świecie? Jakże ja ludziom ukażę blaski życia wiecznego bez twojej pomocy?

— Wstąp pierwsza do serc ich, ja za tobą przyjdę, ty ich serca otwórz, a i mnie przygarną za tobą.

I poszły siostry.

Poszły w świat daleki, — każda z siecią od Pana daną, z promieni utkaną i tęczy. Poszły tam, gdzie mędrcy słęcząc nad księgami głowy tracili nic nie rozumiejąc — i tam gdzie matki za dziećmi płacząc w obłędzie a rozpaczylu Bogu bluźniły, i tam gdzie tańcząc i upajając zmysły swoje wszystkim, co je upoić może, dusze skrępowane, ciężarem grzechu przywalone, jęczały w bólu nie próbując nawet oswobodzić się z pęt ciała.

Długo tak siostry chodziły po świecie, tęskniąc za sobą, a rozproszone by laczniej ludzi zdobywać.

Aż nadszedł dzień, w którym na polu jasnym, przestronnym, cicho w śnieg biały jak w puch spowitem, na polu smutnym lecz czystym, na polu wy-

A. RÖMERÓWNA.



KOŚCIÓŁ XX MISYONARZY W WILNIE
założony w r. 1695.

gnania lecz niepokalanem, z trzech różnych stron ziemi zbliżały się ku sobie trzy białe siostry.

Wiara sieć pełną miała ze sobą — sieci pełne były, ale dusze w nich nie wzlatywały ku niebu i nie śpiewały głosem radosnym: Hosanna, — jakoby martwe, skupione w sobie, nie rwały się do lotu, i do siebie nie tuliły się wzajem, obce jedna drugiej.

Nadzieja szła z licem zawsze promienistym, z oczyma w niebo wpatrzonemi, jasna i spokojna, a sieć jej mniej pełna od sieci siostrzanej, życie przecież miała w sobie i choć się dusze nie garnęły do siebie, ani z miłością na się patrzyły, przecież bila od nich moc jakaś. Dusze na Wiarę spoglądały pokornie i z czcią wielką, bo Nadzieja dla Wiary ich szukała.

Miłości jeszcze widać nie było.

A Wiara rzekła: O siostro! Gdzie Miłość? Gdzie ta nasza ukochana, najlepsza, bez której tak źle na świecie! Dawno nie widziałam jej i tęskno mi do niej — bo chłód dziwny na wskroś przenikający, bije od ziemi wygnania.

— Nadejdzie Miłość—nadejdzie siostro, i ciepło przyniesie z sobą. A sieć twa pełna i plon twój obfity, nie darmo pracowałaś skrzydlata! Hołd ci, a cześć za pracę twą znojną i niestrudzoną.

Lecz Wiara głowę smutną na piersi dziewicze zwiesiła.

— Lekka jest sieć moja—odparła w zniechęceniu głosem zmęczonym, te dusze wierzą, do Boga się modlą, rozum ich z obłądu wszedł na drogę jasną i prostą i oparcie znalazły dla stóp swych zbołałych, ale próżne są miłości.

Serce ich to opoka, do której bliźni, brat z tej samej ziemi zrodzony, daremnie wołałby o ratunek. Wierzą i modlą się, ale martwe przecież, życia w nich nie masz.

Oczy nadziei powlokły się mgłą smutku, lecz na chwilę tylko.

— Wiaro! rzekła głosem dźwięcznym i przedziwnie spokojnym, nadejdzie Miłość, siostra najmiłsza i ożywi martwe dusze twoje.

— Jako opoki serca ich — powtórzyła głucho Wiara.

— Jako prąd wiatru wiosenny, ożywczo ciepły i pachnący porwą się ku niebu, gdy Miłość nadejdzie.

— A twoja sieć pełna jest jako i moja Nadziejo! Nie poszłaś w świat napróżno, ze szpon rozpaczy ludzi wyrwałaś.

— Nie poszłam w świat napróżno. Chwała na wysokości. Ale ty siostro byłaś pomocnicą pracy mojej. Ten plon ja zebrałam, którego Ty nasienie posiałaś, na płonkach wiary przez ciebie sadzonych, ja szczepiłam nadzieję, więc tobie hołd się należy, twoja zasługa.

— O Nadziejo! imię twoje drugie to Pokora, serca, które ty oświecasz, mają pokorę za pochodnię, w imię poczucia znikomości i marności swojej ludzie podnoszą oczy ku niebu w nadziei.

— Pokorni są w oczekiwaniach swoich, ale — i posmutniały oczy Nadziei, lecz tylko na krótką chwilę.

— Nie jesteś rada ty siostro miła z zdobyczy twoich i pracy?

— Pełna sieć moja połowu, ale nie ciężka — nie ciężka, niosę wiarę i nadzieję, lecz uczynków w imię wiary i nadziei czynionych nie niosę. Zimne są serca w sieci mojej, nie garną się do siebie nawzajem, obce sobie, nie znają się wzajemnie. Jednak nie smućmy się o Wiaro! Tam oto jaśnieje różowość przedziwna; strop nieba zapłonął, a od ziemi bije ciepło ożywcze. To siostra nasza, to Miłość ukochana idzie ku nam promienista i sieć swoją niesie.

— Widzisz — o widzisz, Nadziejo, jak wolno ku nam się zbliża, pochylona naprzód, snąc pełną i ciężką sieć niesie, brzemień jej cięższe od naszych brzemion. Chwała na wysokości! Połów siostry naszej najbogatszy i Bogu najmiłszy! Chwała na wysokości!

— Widzę ją Wiaro! Widzę dokładnie. Lecz powiedz czemu poblady jej lica! Czemu smutna twarz jej świat rozświetlająca?

A miłość zbliżała się zwolna, rozgrzewając sobą powietrze — i śniegi pod stopą jej topniały, i kwiat za kwiatem zakwitał na śnieżnym czystym polu.

Ave siostro — zawołały Wiara z Nadzieją, witajże nam, witaj Słodka, słoneczne promienie niosąca. Zmęczone nogi twoje, a sama pod brzemieniem ciężaru twego pochylasz się jakoby w utrudzeniu wielkiem. Jakże bogaty musi być połów twój, Miłości!

Lecz Miłość nie spiesząc, a z smutkiem na licach sieć swoją spuszczała ku ziemi. W sieci dusz parę jasnych, jaśniutkich, parę duszyczek tylko, ale ciepło i życie tryskało od nich, jakby ze źródła niebios.

Wiara z Nadzieją zdziwione, nie pojmując co się stać mogło, pytały siostrę oczyma.

— Patrzcie! to cały mój połów.

— A czemuż siostro, tak ciężka sieć twoja, czemu strudzona ledwo niosłaś brzemień?

— Parę dusz tylko, lecz ręce ich pełne uczynków i waga dusz tych wielka przed Bogiem, dlatego unieść nie mogłam.

I siostry milcząc patrzyły na siebie, a dusze ich milcząc ku sobie spoglądały nie znając się wzajem.

Parę dusz tylko, te duszyczek parę w sieci Miłości złowionych z uśmiechem na ustach a serdecznym ciepłem w oczach świetlistych, ku siostronom spieszyły.

Wyciągnęły ręce, ramiona otwarły, i wołały ku nim: chodźcie najmiłsze, zbliżcie się do nas, my was kochamy serdecznie!

— Kochacie? pytały tamte zdziwione.

— Kochamy, sercem całym, wy nasze bliźnie dusze siostrzane.

A ciepło biło od nich i jasność wielka.

Pod promieniem Miłości, dusze Wiary ożywiać się poczęły i spoglądać na siebie ciekawie z nieufnością w oczach.

— Dzieci Wiary, Nadziei, chodźcie, połączcie się z nami, wspólnie pracować będziemy.

— Pracować? a jak pracować? pytały dusze Wiary. Czytać księgi? Badać tajniki przyrody, zgłębiać przepaści? —

— Pójdziemy razem w świat szeroki głosić wesołą nowinę Miłości, kochać i uczyć kochania.

— Nie warto. Daremna praca. Rodziców dzieci kochają i rodzice dzieci, mąż żonę, żona męża, a czasem brat siostrę, i gdzie to szukać będziemy tych innych, którzyby szersze mieli serca? gdzie to szukać tych, którzyby nas ukochali? nas obcych i nas nieznanych?

Dusze Miłości uśmiechnęły się słodko.

— Znajdziemy — odparły — znajdziemy.

— Gdzież naród ten, któryby kochał bliźniego swego? pytały dusze Nadzici, choć w głosach ich życie gorętsze zadrgało, bo ufnością natchnęły ich słowa obiecujące Miłości.

— Znajdziemy naród ten najmiłsze i naród ten na całym jest świecie.

— Tu! na tym padole? w tem zimnie, w tych opokach?

— Wszędzie, gdzie człowiek tęskni i płacze, wszędzie, gdzie osamotniony, zapomniany i nieszczęśliwy, wszędzie gdzie cierpi, wszędzie gdzie ból wyrasta i męka serdeczna.

— Wszystko to wszędzie jest, wszędzie, ale gdzie ci, którzyby nas kochali?

— Nie znajdziecie ich, póki sami pierwiej nie ukochacie bliźniego, nie dacie mu skarbów serc waszych.

Zamyśliły się dusze.

I te złowione w sieci Nadziei, nieśmiało, a coraz czulej wyciągały ręce ku rękom dusz Miłości.

A te złowione w sieci Wiary ogrzewać się poczęły ciepłem miłości, lecz opoki serc ich nie przepuszczaly jeszcze promieni. Miłość i dzieci jej z otwartymi ramionami czekały by je do siebie przyciągnąć, utulić i ogrzać.

Tamte trzymając się zdala wołały, już pragnąc tego ciepła serdecznego: Och! trudno! och! trudno ukochać bliźnich swoich, szyderstwo w ustach ich, niewdzięczność, zazdrość, fałsz i obluda w nich mieszka.

— Kochajcie, a szyderstwo zamilknie, kochajcie a fałsz i obluda na potoki życia słodkiego się zamienia. Nie czekajcie, aż was kto ukocha, kochajcie pierwsze, o siostry, nie pytajcie, kto wam wdzięczny będzie, kochajcie pierwsze o siostry!

Trudno, ach trudno! jęczały dusze Wiary.

— Proście, a będzie wam dano.

I wzniosła się modlitwa potężna do nieba.

— Miłości o Boże! Wlej miłość w serca nasze.

Prosiły i danem im było.

ESTEJA.

NA DRODZE

— BAJKA



ie był to już poranek, ale i nie południe jeszcze.

Drogą, ubraną w rozkwitłe czeremchy i akacje, pełną brzęczących w tarninach pszczół i roztrelowanych w jaśminowych krzakach słowików, i kołyszących się na kiściach bzów motyli szedł młodzieniec.

Szedł nie spiesząc się, jak ten, który idzie bez celu.

Oczy jego przesuwaly się po otaczających przedmiotach nie zatrzymując na żadnym, choć wszystko było cudne i kochania godne, a wzrok młodzieńca nie był wzrokiem nudy ani przesyty.

Po przez mgłę pozornej obojętności, na dnie jego głębokich źrenic paliła się tęsknota i nurtujące oczekiwanie.

Wyglądał, jak gdyby od każdej sekundy ni-
knącej w czasie i od każdego atomu zewnętrznego
świata spodziewał się czegoś, i jakby żył ciągłym,
bezwiednym zawodem i bezwiednym żalem do tych
sekund i do tych atomów, które oczekiwań jego
nie spełniały.

Tak szedł czas jakiś, aż uczył, że coś zastę-
puje mu drogę, i sobą mu wszystko przesłania.

Było to bardzo dziwne, bo nic przed sobą nie
widział, a jednocześnie doznawał wrażenia, że jakiś
przedmiot, którego ani kształtów ani barwy rozpo-
znać nie mógł, wchodzi mu w ręce.

Czuł go w dłoniach — co do tego nie było
żadnej wątpliwości — ale napróżno usiłował zdać
sobie sprawę, czy rzecz ta była ciężką czy lekką?

— Co to jest? — wymówił na głos. — Co to jest?

I stał czas jakiś niepewny, zdumiony, próbując
kształtów, wytyczając wzrok, borykając się nie-
dbale z nieuchwytnym zjawiskiem.

Wreszcie ogarnęło go zniecierpliwienie.

Uczył ruch rozmachu i cisnął dziwną zawar-
tość rąk swoich w bok drogi, w kwitnące krzaki

tarniny, w które zapadła bez szelestu i znikła bez śladu.

Zaraz też zobaczył wszystko, jak przedtem, i nie mając już żadnej przeszkody szedł dalej.

Nawet nie obejrzał się za siebie na ową tarninę.

W tem na drodze ukazała się postać ludzka szybko z przeciwnej strony idąca.

Był to także młodzieniec i tak bliźniaczo do pierwszego podobny, że obaj ujrzawszy się przystanęli zdumieni i patrzyli na siebie wzajem jak na własne odbicie w zwierciadlanej tafli.

Tylko oblicze drugiego młodzieńca miało wręcz odmienny wyraz.

Nie mglista tęsknota i oczekiwanie, lecz dojmujący ból i rozpaczna trwoga malowały się na niem.

On też pierwszy przemówił.

— Ach! zawolał — czy nie znalazłeś przypadkiem mego szczęścia? Niebaczny! zgubiłem je

przed niedawną chwilą, na tej właśnie drodze i teraz wracam, aby go szukać! Jesteśmy tacy podobni! Może moje szczęście wzięło cię za mnie i przyszło do ciebie?

— Twoje szczęście? rzekł pierwszy nadchodzący z wolna. — A jak ono wyglądało?

— Jak wyglądało? powtórzył tamten z uniesieniem. — Było jaśniejsze niż słońce, wonniejsze od najpiękniejszych róż i większe niż świat cały. Było blaskiem, melodyą, upojeniem...

— Nie widziałem nic podobnego — przerwał pierwszy młodzieniec, wruszając lekko ramionami. Ale mogę ci powiedzieć, że właśnie trzymałem coś w rękach, po co nawet nie potrzebowałem się schylić, a że nie wiedząc, co by to było, ani nie mając co z tem zrobić, rzuciłem to w krzaki.

Może to było twoje szczęście?

.

HĄJOTA.



Na świat i ziemię naszą, — na słońca rzucone w przestworza, — na gwiazdy nocy i błędne drogi mgławic — spuść Matko promień łaski Twojej!

Na ciszę błękitów i na rozpięte skrzydła wichrów morskich, — na ognie nurtujące głębiny ziemi i na zakrzepłe lody północy, — spuść Matko promień łaski Twojej.

Na zbożne łany i odłogiem leżące pola, — na kwietne łąki i szumiące bory — na chłód ożywczy strumieni, na dwory i chaty — spuść Matko promień łaski Twojej.

Na żar i upalenie dzienne, na ciszę i ukolysanie mroków nocnych, na blade zórz świtanie i słońce krwawych zachody — spuść Matko promień łaski Twojej.

Na skrzydła gołębie, — na duchy czyste i miłujące, i te, które białą szatę niewinności skalają błotem tego świata, — na serca i czoła jasne, ufnie wzniesione ku niebu, i na te, które chylą się ku ziemi w rozpacz i zwątpieniu, — spuść Matko promień łaski Twojej.

Na duchy udręczone, które błądzą po świecie bez przytułku ni oparcia, — na tych, którzy domu nie mają ni nadziei, — na żeglarzy zabłąkanych na szerokim morzu bez steru i kotwicy, — na strudzonych pielgrzymów idących po cierniach i głogach, — na tych, którzy dążą naprzód, — i tych, którzy nie widzą przed sobą ni celu, ni drogi, — spuść Matko promień łaski Twojej.

Na starość bezsilną i opuszczoną, — na butne porywy młodości, — na siłę męskiego wieku, — na niewinność dziecięcą, i na błędy i grzechy nasze, — na kołyskę niemowląt i na śmiertelne łoże konających, — spuść Matko promień łaski Twojej.

Na znoje i trudy krwawe pracowników, — na tych, którzy w pocie czoła zdobywają chleb powszedni i tych, którzy pożywają w gnuśności, — na blade czoła pochylone nad księgą, i czarne dłonie spracowane pługiem i młotem, — spuść Matko promień łaski Twojej.

Na serca zapoznane i samotne duchy, na kwiaty więdnące w ustroniu, na umysły proste i wierzące, i te, które żadne światła błakają się po manowcach wiedzy, — na dłonie spragnione uścisku bratniej dłoni, i na skroń zbolałą potrzebującą oparcia, — spuść Matko promień łaski Twojej.

Na spiekotę pól i serc ludzkich, — na zimną niewzruszoność głazów i martwość duchów, — na ginących w przepaści występku i zaślepienia, — na lzy i ból i tęsknotę naszą, — na zmarnowane wysiłki i zawiedzione nadzieje, — spuść Matko, promień łaski Twojej.

Daj kłosom ziarno, sercom miłość i nadzieję, oczom słońce prawdy i poznania; — daj nam przyjaźń serc wielkich, obcowanie umysłów mądrych, życie pożyteczne i śmierć spokojną, — a w ciszy i zapomnieniu grobu, — we śnie wieczności nigdy nieprzespanym, — niech nam przyświeca łaska Twoja — o Maryo!

ZOFIA HARTINGH.



STUDYUM

JANINA BETLEYOWNA

NIE MA SZCZĘŚCIA



złoto polem złocistych kłosów,
kąpało się w ciepłym słońcu,
stroilo w lzy liljowe i róże szkarłatne. Oddychało
świeżą zielenią ziół. Srebrne rosy były mu orzeź-
wiającym napojem. Mknęło lekkie, wesole. Unosi-
ło się nad górami, zawisało na chmurach, na zo-
rzach i gwiazdach. Mieniło się barwami srebrnego
księżycy. Las śpiewał mu tajemnicze melodye,
którym strumienie wtórzyły cichym szmerem.

Rozchyłało dzióbki ptasząt do śpiewów rado-
snych. Pluskało się w wodzie z rybkami złotymi.

Chodziło lat tysiące, a było młode i wesole.

Z ciekawości wstąpiło w duszę człowieka.

Zapra gnęło istnieć z nim razem, być jego ener-
gią w pracy, tarczą w niebezpieczeństwie, obroną
w walce. Chciało przyświecać mu nadzieją i unieść
go na swych skrzydłach w nieskończoność, — gdzie
słońce nie gaśnie nigdy, gdzie panuje radość wiecz-
na, króluje dawca szczęścia. Za to żądało od czło-
wieka tylko wiary, wytrwania w dobrem i harmo-
nii czynów.

Był ranek majowy.

Dziewicza zieleni zdobila ziemię. Wszystko
w naturze śpiewało na nutę wesela.

Woń kwiatów napelniała powietrze. Płynęły
wody przezyste. Niebo rozpięło nad ziemią naj-
błękitniejsze namioty.

Szczęście cieszyło się radością człowieka.

O południu słońce rozgrzało ziemię, spaliło
rosy, zapanowało na niebie potężne, piekące... Dusza
człowieka kryła się w cieniach. Zamykała oczy
na blaski słoneczne.

Nadszedł wieczór. Rosy pokryły pola i drze-
wa, zapanował znów chłód
ożywczy. Spracowaną zie-
mię okrył mrok welonem,
gotując jej wypoczynek
po pracy i ciszę. Ale
z wypoczynkiem i ciszą
padł smutek.

Dusza ludzka, pod-
czas chwil promiennych,
nie zdołała wypełnić się
szczęściem. Wołała więc

na słońce: — stój! na dzień: nie uchodź, bo jeszcze
tyle w sobie noszę nieukojonego smutku, tyle pra-
gnień nieziszczonych!

Szczęście widziało bezradność człowieka i li-
towało się nad nim. Cierpiało, że nie wróca dlań
zgasłe promienie słońca. Patrzyło na nękający dzień,
na mrok, który wszystko pochłaniał w swych głę-
biach, i przenosiło duszę człowieka na szczyt nie-
botycznej góry.

Z wyżyn widać było jeszcze kulę słoneczną,
która znikala, zostawiając na niebie odbłaski różowe.

Dusza, zapatrzona w światło, które w jej
oczach znikalo, rwała się za niem. Chciała się ką-
pać w jego blaskach, uczepić się jego promieni
i zniknąć z niem razem. Lecz słońce nie stanęło,
dzień się nie zatrzymał; dusza, zmęczona pogonią,
traciła nadzieję.

Noc zapanowała nad ziemią.

Znękana dusza powracała w niemym smutku
drogą nieznaną.

Na skraju drogi, opodal lasu, rozpalal się
ogień. Zrazu niewielki, rósł w oczach, strzelal
iskrami złotymi w niebiosa. Rozpraszał mroki, ru-
mienil cienie, roztaczał dokola ciepło.

Szczęście zawiodło duszę człowieka do ogni-
ska. Skostniała od zimna nocy, rozgrzewała się
w ciepłe ogniska. Na oschniętej murawie znalazła
miękkie posłanie.

Szczęście rozwinęło nad nią swe skrzydła i utu-
liło je. Oddychała wypoczynkiem, kąpała się w ci-
szy, upajała się radością. Lecz serce jej nie zazna-
ło ukojenia. Szarpała je tęsknota. Wezbrane pra-
gnieniem rwało się z piersi za pola i lasy, tam,
gdzie ani dojść, ani dopłynąć.

Szczęście zniknęło. Ogień plonął. Jasno by-
ło i ciepło; balsamem woń lasu napelniała powie-
trze. Ale szczęścia już nie było. Pozostała tęsknota,
wspomnienia, które nie umierają, ból, który nie
milknie!... Ale szczęścia nie było.

Odeszło, jak przyszło, niepostrzeżone, nieuję-
te. Nie wywołać je pragnieniem, ani przykuć proś-
bą. Tylko zakląć w złudny sen, tylko przeslonić
rózaną mgłą. Daremnie się za niem wyciągają ra-
miona. Odleciało!... Szybciej niż skrzydła jaskół-
cze. Lżej niż powiew wiatru. Jeszcze słyhać ci-
chy, rzewny płacz za niem... Jeszcze wielki, bole-
sny jęk... Wzbilo się ponad szczyty, zmięszalo
z błękitnymi mgłami.

Im wyżej, tem mu le-
cieć lżej. Przez mgnienie
oka widać było jego róża-
ny odbłask na gwiazdach...
I już nic... W niebie uto-
nęło...

I niema szczęścia na
ziemi...

Tylko nam naiwnie się wydaje, że jesteśmy
nieodzowni dla ogólnej równowagi i porządku.
Tymczasem usunięcie się nasze, to rzucenie ka-
myka do wody, parę spokojnych kręgów na za-
kłóconej powierzchni i znowu tafla równa i gładka
jak pierwej.

Plama na honorze, to oliwa, która padnie
na papier: kropla mała, duże koło roztoczy.

ADAMOWA HR. RONIKIEROWA.

NATALIA JANOWSKA.

Wytłumacz rzecz, co z brzegu urwiska
O dno przepaści, pieniać się, rozpryska,
Iż nieco dalej była droga inna,
Że można wolno i spokojnie płynąć,
Że można skały groźące ominąć,
Że się o głazy rozbić niepowinna!

Wytłumacz drzewu, w które grom ugodzi,
Że uderzenie piorunu mu szkodzi,
Że się na los swój bez słusności żali,
Że się jutrzeńki tak cudnie rumienią,
I drzewa inne co wiosna zielenią,
A więc i ono powinno żyć dalej!

Wytłumacz gwieździe, co lecąc w przestrzeni
Chwilę cudnemi blaski się promieni,
Aż spadłszy nagle, utracą swą jasność:
Iż gwiazd tak wiele po niebie się toczy,
I choć drżą wszystkie, żadna się nie mroczy
A więc i ona niepowinna gasnąć!

Wytłumacz sercu, co się bólem ściska,
Że burza mija... i słońce znów błyska —
Że rozpacz w życiu próżna i dziecinna,
Że ogół ludzi po łzach znów się śmieje,
Że po zawodach wracają nadzieje
I że to serce pęknąć nie powinno!

JULIAN Z PORADOWA.

Śpij! ja ci zawsze barwne, wonne kwiatów wiezie
Nieśc będę, kiedy wiosna uzieni ląki,
I zawsze brzóz płaczących nad tobą gałęzie,
Szumić ci będą pieśnią... nie bój się rozłąki!

Śpij! czy skroń twoją rosa osrebrzy zimowa,
Czy cię wrzosów otoczą blednących kobierce,
Zawsze cię moje do snu ukołyszają słowa
Jak dawniej, gdy z tęsknoty gasło twoje serce.

Ja zawsze będę z tobą, czy na rajów progu
Spocznieś, czy w mrok odejdiesz, zawsze będę z tobą,
I jeśli poznam Boga, powiem temu Bogu,
Że ci życie zgasiło duszę swą żalobą.

Tyle blasków i perł na świat rozsypano,
Ja mu powiem, lecz czemu serc jest smutnych tyle
I czemu kwiat, co ledwie żyć rozpoczął rano,
Już się w mroku wieczornym kłoni ku mogile?

Śpij! ja za tobą pójdę, nie bój się rozłąki,
Z więzi kwiatów ja pójdę za tobą w kraj cieni,
Tam nas wonią różane ukołyszają pąki
I usniemy jak fale zaklętych strumieni.

ZOFIA KRASSOWSKA.

PO MOJE SERCE...



Po moje serce sięgła ponuro
Dzika, jesienna tęsknota
I uczuć jękiem i żalów wichurą
W sercu mem biednem miota...

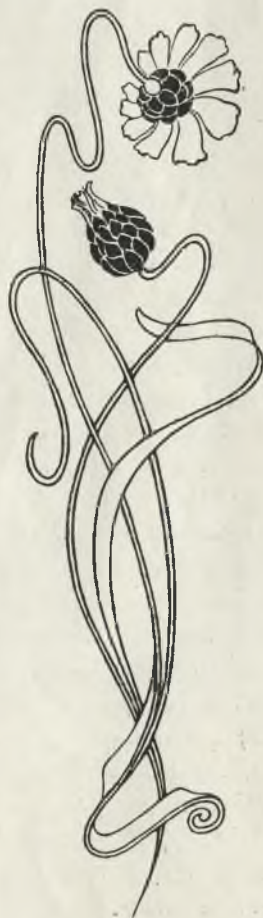
Po moje serce sięgła i depce
Bezbarwna mgła przeznaczenia — —
Jak liść rozdarty się żali i szepce,
Gdy śmierci wstrząsną niem drżenia...

Po moje serce sięgła i łamie
Boleść co krwią się oblewa — —
Przepaść rozpaczy w oczach — jej znamię
I wierzby płaczącej drzewa — —

Po moje serce sięgła i targa
Szalów rozpaczna pożoga — —
I z łona dzika dobywa się skarga — —
Krzyżowa wiję się droga...

Po ducha mego sięgła i kruszy
Bezdenne smutków zastłona,
Płacz jeden został w zastygłej duszy,
Ten płacz, co nigdy nie kona...

LILIANA.



W BEZSENNĄ NOC

*Bezsenność, chmurna noc... Wizja o pierś uderzy —
Zaczęła się, przycichnie, i wciąż mi szeptem gada —
To zniknie z pod powieki, to prędzej znów przybieży,
Aż na mej piersi siedzie i w głos nade mną biada...*

*Jak cicho — — tylko w kącie coś głucho łka, zawodzi — —
To echo nieprześlonej nadziei się ozwało — —
To jakaś snów wichura do piersi burzą wchodzi,
I w dreszczu konwulsyjnym podrzuca moje ciało. — —*

*Rozpaczy biegną w duszę dzikie korowody,
Marzeń i żądz nieścigłych rozerwane tęcze — —
I sączą krew serdeczną na upiorowe gody,
I duszę mą chwytają w płonące mąk obręcze.*

*Jeszcze jakiś okrzyk — i bezład skarg i wycie — —
To młodość w więzy skuta, tak szłocha, szarpie,
[rwie się,*

*A wulkan w niej płomieniem wciąż syczy: życie! życie!
A echo krzyk tęsknoty aż pod niebiosy niesie...*

*Bezsenność głucha noc... Chmurne się kłębią wały,
Olbrzymia sypka olbrzym, i zwija się, i miota — —
Jakieś olbrzymie dusze na niebie się rozkładały — —
Jakaś olbrzymia skarga zawodzi jak tęsknota...*

*Na tych podniebnych chmurach, pokrytych kirem nocy,
Bezgwiezdne ducha ciemnie, jak po cmentarzu błędzą — —
Błąkają się jak trupy zbudzone o północy,
Wylekłe ślą spojrzenia za tymi, co ich sądzą...*

*W bezsenność noc o szyby ponuro wicher bije —
Poblądle ścichły usta, źrenice mgły przyćmiły — —
I tylko ból mnie woła i mówi mi, że żyję...
Wylekłe uczuć trupy wracają do mogiły. — — —*

LILIANA.



DWA LISTY

— — — — — OBRAZEK Z POCZĄTKU WIEKU

Rozłączeni — lecz jedno o drugim pamięta:
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
I nosi ciągle wieści.

... **N**ieprawdaż, drogi, kochany panie Stanisławie, że Słowacki, jakby dla nas to napisał. A ten biały gołąb to moje listy! Niestety tylko moje, bo pan odpisuje mi tak rzadko, tak rzadko! Mamę to niepokoi, mnie bardzo smuci, ale wierzę mocno, że pan taki zapracowany i zmęczony, iż niema ani chwili czasu... Ja zato mam tego czasu aż za wiele i taką mi to sprawa przyjemność, że mogę, że mam prawo do pana pisać! To też korzystam z tego prawa ogromnie i tak szczegółowo opisałam w ostatnim liście to cudne nasze ustronie, i tajemnicze morskie fale, i błękitną toń nieba, i budki na piaszczystym wybrzeżu, i gromadki bosych ślicznych dzieci, że mi już nic prawie nie pozostało do powiedzenia, chyba tylko to jedno: bardzo, bardzo tęsknię! Próżno powiadam sobie, że to moja pierwsza i ostatnia podróż bez pana, że potem już zawsze będziemy razem, że przecież mam przy sobie tak bardzo kochające mnie istoty, jak matka i siostra; nic to nie pomaga, niemam chęci do niczego i duszą jestem ciągle w Warszawie...

Tu nastąpiło odwrócenie kartki, a ze środka listu wypadł różowy listek róży i położył się cicho u stóp czytającego, który go nawet nie zauważył i w roztargnieniu stopą nakrył.

Biedny listek!

...Henia podżartowywa sobie trochę ze mnie, czasem znów się gniewa, kiedy ja nie chcę ubrać się ładniej, a ona musi się w tem do mnie zastosować, bo mama życzy sobie, abyśmy byli zawsze jednakowo ubrane. Zresztą bawię się dobrze, towarzystwo bowiem mamy tu bardzo przyjemne, jest nawet kilku młodych ludzi, ale niech drogi pan będzie spokojny, z wesołej zalotnicy Muszki nie pozostało już ani śladu... Zresztą wszyscy wiedzą, że jestem narzeczoną, kiedy więc Henia bawi się, gra w krokieta i flirtuje, ja mogę siedzieć sobie spokojnie w budce ze Słowackim, rozłożonym na kolanach. Ale najczęściej nie czytam, patrzę w niebo, w jasne, lazuruwe niebo, gdzie tak wiele zawsze wyczytać można, lub ścigam wzrokiem kapryśne fale i łódki, ślizgające się po nich, jak wielkie, senne ptaki. Czy pan jednak uwierzy, żeśmy jeszcze ani razu nie jeździli łódką, odradzam Heni jak mogę, mamusia bowiem jest tak nerwową, że mogłaby się rozchorować, widząc nas na pełnym morzu, w wątlej, kruchej lupinie...



STUDYUM

WANDA MACHOWSKA

Wie pan, że kwiatki, które dostałam od „kogoś“ na pożegnanie, są zawsze ze mną, leżą na rogu szafki przy moim łóżku i codziennie na nie patrzę. A widząc, jak są zwiędłe i suche, nie mogę obronić się w myśli od smutnego pytania, czy i uczucia ludzkie są tak krótkotrwałe jak kwiaty, choć równie piękne jak one!... Teraz mam wielką prośbę do pana, niech się pan nie dziwi tej prośbie, kto ma skarb, ten zawsze drży o niego, Muszka więc bardzo, bardzo prosi, aby się pan szanował, aby się pan nie zaziębił, nie zapracowywał, aby o sobie pamiętał... A propos, ojczulek pisał z Karlsbadu, kuracya służy mu dobrze, do winta zawsze znajduje przyjemnych partnerów, dziwi się tylko mocno, że pan Stanisław mu nie odpisuje. Wytłumaczyłam pana jak mogłam, ale!... Ale już kończyć muszę, bo się i papier kończy, więc...

No i ect. i t. d., a tymczasem mogę się spóźnić do biura, mruknął czytający, rzucił na stół odebrany przed chwilą, spojrzął przelotem na zegarek, i wziął się szybko do golenia. Oglądając zaś z zadowoleniem swoją pełną, rumianą twarz w lusterku, wcale przystojny ze mnie chłopiec, myślał sobie, nie dziwię się też, że ta mała po uszy we mnie zakochana. Niezła dziewczyna i dobrze zbudowana, trochę tylko za romantyczna. No, ale to się jej z głowy wybije, niedługo! Niech się cieszy, od listopada będzie mnie już miała! Chociaż ja znów nie myślę tracić tak zupełnie swojej wolności, o nie! Także!

Oczy jego spoczęły przypadkiem na ładnie oprawnym tomiku poezji, pozostawionym mu przez

Muszka, który teraz walał się na oknie w kurzu i brudzie.

Cha, cha, cha, ona myślała, że ja się przez ten czas poezjami zachwycać będę! Mam ja co lepszego do roboty!

Tu myśli jego pobiegły innym torem. Wyjął szybko z szufladki dużą fotografię i wpatrzył się w nią z zachwytem. Jakże klasycznie piękną jest ta Lola! myślał sobie.

Rzeczywiście fotografia przedstawiała ładną kobietę główkę o jasnych włosach i regularnych rysach twarzy, a tylko bardzo bystry spostrzegacz mógłby dojrzeć tam wielkiego znużenia w oczach, i ostry wyraz cynizmu koło ust. Ten zaś, co się tej fotografii z takim zachwytem przyglądał, był to młody prawnik, zarządzający kancelaryą znanego adwokata, przystojny, zdolny, utalentowany, i nawet w gruncie niezły chłopiec. Ale niestety, zawód swój traktował tylko jako złe konieczne, i tak samo traktował naukę, sztukę i literaturę, o ile tylko nie mogły służyć mu za tła do... miłości! Tak, za właściwy swój zawód, za żywioł, w którym się czuł najswobodniej, uważał — miłość: blondynki, brunetki, szatynki zmieniały się w jego sercu, jak w kalejdoskopie, znał najdoskonalej osoby piękniejsze i... lżejsze z całej niedawnej Warszawy. Zdrowie, siły, talent, czas, pieniądze, jednym słowem wszystko, poświęcał na usługi figlarnego Erosa, którego strzałom nigdy i nigdzie oprzeć się nie miał siły. W ostatnich czasach narzeczeństwo skrępowało go nieco. „Musiał“ co wieczór bywać w domu rodziców narze-

czonej, córki zamożnego inżyniera, musiał rachować się trochę z opinią publiczną, ażeby być w zgodzie z rodzicami panny, których nie tak łatwo jak córkę można było w pole wyprowadzić. Zato po ich wyjeździe spoufalili się pospiesznie z Lolą, która już oddawna zwróciła na siebie jego uwagę. Była to, jak utrzymywała sama, (złośliwi mówili inaczej) nieszczęśliwa ofiara niedobranego małżeństwa; mieszkała obecnie wraz z małym synkiem pod opieką starego wuja. Uprzymniała sobie czas liczną falangą wielbicieli, przeważnie młodych, niedoświadczonych szpaczków, a urzędowała się tak zręcznie, że Iks o Igreku nie wiedział, i każdy uważał się za wyłącznego, szczęśliwego wybrańca. — Jeszcze pan Stanisław pograżony był w podziwianiu jej fotografii, kiedy posłaniec do drzwi zapukał i oddał mu zielony liścik, woniejący mocno paczulą.

...Będziesz mną pewnie pogardzał, drogi panie Stanisławie, że uległam nakoniec twym prośbom i czekać cię będę dziś o trzeciej p.p. Stary wyjechał na dni kilka, małego wysłę na całe popołudnie na spacer. Odpisz...

Lola.

Pan Stanisław aż podskoczył z radości. Szybko, drżącą ręką, wydobyl z pudełka płomienistego koloru papier i pisał:

...Aniele najdroższy, któżby śmiał Tobą pogardzać! Uwielbiać cię tylko i tęsknić za Tobą! Wprost z biura, na skrzydłach miłości pośpieszę do ciebie!

Twój St.

Rzucił list posłańcowi, w braku drobniejszej monety dał mu rubla i pośpiesznie kończył się ubierać, odszukując z trudem pojedynczych części garderoby wśród strasznego nieładu, jaki panował w jego kawalerskim pokoju. Upłynęło dobre pięć minut, zanim odnalazł drugi złoty but i czysty kołnierzyk. Po chwili wyswieżony, wyperfumowany, promieniejący, w jaskrawym krawacie, opuszczał pokój, pośpiewując przez nos kuplecik z Zielonej wyspy:

Bez kobiet, bez kobiet etc.

Nie zaniedbał jednak pan Stanisław przed wyjściem wsunąć odebranego przed chwilą wonnego bileciku do kieszonki od kamizelki. List od narzeczonej pozostał na stole w sąsiedztwie brudnej wody od golenia i zakurzonego lusterka. Słonko wyjrzało tymczasem z poza chmur, i jeden jego promyczek upadł na list zapomniany, złoćąc go i pieszcząc. Słonko było łaskawsze!...

MAR. WIN.

— NIE SĄDŹ —

Dzieci mają swoją logikę i to logikę bardzo ścisłą, nie zmaconą żadnym sofizmatem, postępują też zwykle ściśle według niej, tylko że my starsi zwykle tego nie rozumiemy.

Gdybyśmy wiedzieli, co się dzieje w tych małych główkach, uniknęlibyśmy mnóstwa pedagogicznych błędów, które odbijają się nieraz gorzko w życiu dojrzałego człowieka, bo wpływają na urobienie charakteru. Zatarg uważany przez nas jako drobiazg, pozostawia często niczem nie zatarte wrażenie.

Na nieszczęście, myśli dziecka, są zwykle zamkniętą księgą dla otaczających, sądzą więc jego czyny i słowa z własnego punktu widzenia, przypisują motywy, których nigdy nie miało. A dziecko najczęściej wypowiedzieć się nie umie, trzeba mu w tem dopomódz, ma przytem nadezulość mimozy, dotknięte szorstkim słowem, niesłusznem posądzeniem, śmiechem, zamyka się w sobie i może stracić zaufanie. Powstają ztąd nieporozumienia wiekuiste pomiędzy rodzicami a dziećmi, które już nigdy potem zażegnać się nie dadzą.

Pamiętam dobrze fakt, z mego własnego dzieciństwa, który mógł stać się łatwo źródłem podobnego rozdzwiewku, gdyby go w zarodku nie usunęła moja matka. Miałam wówczas czwarty rok

życia, jednakże pamiętam doskonale całe zajście z najdrobniejszymi szczegółami, pamiętam nawet każde odczute wrażenie.

Było to tak.

Mówiłam raz pacierz wieczorny z moją boną, pocziwiałą starą Bretonką, która kochała mnie jak własne dziecko. Pacierz kończył się zwykłą modlitwą: Boże daj zdrowie, szczęście, długie życie Mamie, Tacie, Babcie i całej litanii krewnych. Powtórzyłam wiernie dwie pierwsze prośby, zatrzymałam się przed trzecią.

Bona sądziła, iż zmęczona snem, nie uważałam jej słów i rzekła po raz drugi: Długie życie Mamie, Tacie i t. d., ale ja wciąż milczałam, choć miałam oczy szeroko rozwarte. Bona zaczęła mi przekładać bym kończyła pacierz, zrazu łagodnie, potem coraz surowiej. Perswazyje jej były bezskuteczne, zacięłam się i nie ustępowałam. Widząc to, bona oburzyła się bardzo, powiedziała że jestem brzydka, niegrzeczna dziewczynka, która wcale swojej mamy nie kocha, skoro nie chce się za nią modlić.

Ja słysząc to rozsłochałam się tak bardzo, że nie można mnie było utulić.

Kochałam mamę z rodzajem namiętnego uczucia, właściwego mojej matce, kochałam do tego

stopnia iż kiedy odjeżdżała, chociażby na parę godzin, świat cały powlekał się dla mnie bólem i nie mogłam nigdzie znaleźć sobie miejsca. Słuchałam jej obecnej czy nie obecnej, bo każde jej słowo było dla mnie prawem, a same te wyrazy: „Matka kazala“ usuwały wszelki opór z mojej strony.

I bona więc i panna służąca, która asystowała scenie przy pacierzu, nie mogły pojąć jej znaczenia, pamiętam dobrze zdumione i oburzone ich miny, gdy zamieniały pomiędzy sobą spojrzenia, jakby pytając wzajem co czynić? Nie byłam nigdy kapryśnicą. Jakże więc ten niepojęty upór wytłumaczyć?

Sprawa wytoczyła się przed mamę. Zastała mnie zanoszącą się od lkań, wobec dwóch zafrasowanych kobiet. Ale zamiast łąać, wzięła mnie na kolana i starała się naprzód uspokoić, ażebym mogła odpowiedzieć jej przytomnie, dopiero gdy jej to się udało, za pomocą pieszczot i pocałunków, które oddawałam jej z całego serca, zaczęła mi przedstawiać, iż wie dobrze, jak bardzo ją kocham a skoro nie chcę prosić Boga dla niej o długie życie, muszę mieć ku temu jakiś powód?

A ja zarzuciłam jej gwałtownie ręce na szyję jakby chcąc obronić przed jakim nieszczęściem i wołałam:

— Bo ja nie chcę, żebyś była taką jak pani G.

Moja matka zrozumiała wszystko. Naturalnie że miałam powód, którego na razie nie zdołałam sformułować, powód bardzo dziecinny ale dla mnie decydujący. Dnia tego była u nas jakaś pani G., którą pierwszy i podobno ostatni raz widziałam, pani ta była w bardzo podeszłym wieku, miała całą twarz pokrytą zmarszczkami i wydała mi się tak brzydka, ale to tak strasznie brzydka, iż zamiast się przywitać, uciekłam na sam jej widok. I musiał jej obraz wyryć się dobrze w mojej pamięci, kiedy do dziś dnia mam ją w oczach jakby żywą.

Tłumaczono mi jak niegrzecznie postąpiłam, opowiadano że pani G. była także niegdyś młodą, może nawet ładną, że zmieniła się wskutek starości, w końcu użyto niefortunnego porównania mówiąc, że i moja mama po długich latach, może być kiedyś do niej podobna.

Słyszając to rozplakałam się serdecznie a w mojej głowie skojarzyło się nierozzerwalnie pojęcie długiego życia z pomarszczoną twarzą pani G. Być podobną do niej, wydawało mi się takim nieszczęściem, iż nie mogłam prosić o nie Boga dla mojej mamy, która według mojej dziecięcej estetyki, była najpiękniejszą istotą pod słońcem, chociaż w rzeczywistości była tylko przystojną. Mama nieraz gniewała się na mnie, kiedy mówiłam, że przewyższa urodą słynne w okolicy piękności! Czyniłam to przecież bardzo szczerze, dziwiąc się w duchu iż wszyscy tego nie uznają, bo zdawało mi się to rzeczą oczywistą.

Burza, wywołana owym niedomówionym pacierzem, minęła bez śladu. Ale gdyby matka nie była mi trafnie nasunęła sposobności wypowiedzenia tego, co się działo w mojej biednej dziecięcej główce, można było łatwo wytłumaczyć opacznie ten dziwny objaw miłości dla niej. Można było obwinić mnie o brak serca a nawet o fałsz i obłudę.

I utworzyłaby się w ten sposób legenda, w której nie byłoby nic prawdziwego, prócz faktu.

Fakt — rzecz realna a najbardziej zawodna. Zmienia się on stosownie do oświecenia, do motywu, do danej chwili. Nie można oprzeć na nim sprawiedliwego sądu.

Psychologia dziecka odmienną jest od psychologii ludzi dojrzałych. Nie rozróżnia ona ani perspektywy, ani wartości rzeczy, więc nieraz drobne podnosi do potęgi a lekceważy wielkie, nie zawsze pojmując ich znaczenie. Ale czy podobna zbadać tajniki duszy? Czy znamy ich istotę? Czy każda z nich niema także właściwej sobie psychologii, swojej perspektywy i właściwej miary? Najprzenikliwszy człowiek nigdy nie pozna w zupełności duszy drugiego człowieka, choćby z nim zostawał lata całe w bliskich stosunkach.

I tak wspomnienie drobnego zdarzenia z mego pierwszego dzieciństwa nasuwa mi zawsze przestrozę: Nie sądź. Bo żeby sądzić sprawiedliwie, trzeba być nie obok bliźniego, ale w nim samym.

WALERJA MARRENÉ MORZKOWSKA.

PIOSENKA



*Duszyczka Twa, to w klatce ptak,
Co rzucić chce swe pęta,
W słoneczny się wyrzywa szlak,
A klatka wciąż zamknięta!..*

*Duszyczka Twa ulecieć chce
Tam, gdzie mieszkają duchy,
Lecz nie tak łatwo tu się rwie
Cielesne swe łańcuchy...*

*Duszyczka Twa tu musi żyć
I tęsknić wciąż do słońca,
Goryczy kielich musi pić
Powoli, aż do końca.*

MAR. WIN.





ODNOŚNY PARAGRAF

Było to we Florencyi. W kościele Santa Croce, owym istnym Panteonie Włoskim, stałam zadumana przed grobowcem Machiavelli'ego, gdy dwie młode Amerykanki zbliżyły się do mnie i wyborną włoszczyzną spytały o „Koronację Madonny“ — Łukasza della Robbia.

Koronacya owa winna była — według Baeckera — znajdować się w przeciwnym oltarzu nawy głównej, po lewej stronie — tymczasem tam, miast słynnej majoliki, wisi „San Sebastiano“ pędzla Andrzeja del Sarto...

W świątyni, prócz ich dwóch i mnie nie było nikogo. Zakrystyan bowiem, z uderzeniem godziny obiadowej, wyprosiwszy wedle zwyczaju grzecznie pobożnych po za bramę, zamknął ją na rygle i sam się ulotnił. Nas, ciekawe turystki przeoczył widocznie.

Zajęte poszukiwaniem terrakotowej płaskorzeźby, zrazu nie spostrzegłyśmy naszego uwięzienia... Po czasie dopiero, znalazłszy arcydzieło Łukasza — nb. w bocznej nawie i po prawej, nie zaś lewej stronie — i napatrzywszy mu się do syta, gdyśmy z Domu Bożego wyjść chciały, przekonałyśmy się o bezskuteczności zamiaru. Rade nie rade, zasiadłszy na stopniach jednego z oltarzy jęłyśmy dla skrócenia sobie nudów oczekiwania, gawędzić o tem i owem. — Amerykanki opowiedziały mi, kim są i dla czego tu są. Córki zamożnego kupca sukna z Newport, żadne wiedzy, puścili się same w towarzystwie jedynie pokojówki, w podróż po Europie.

Dziesięć miesięcy minęło, jak są w drodze. Zwiedziły Anglię, Francję, Niemcy, obecnie przebiegają Włochy. Za dwa miesiące wrócą do ojczyzny. Rok cały postanowiły podróżować i nie

darują ani tygodnia. Starsza Jenny jest już nawet zaręczoną. Drogi Ryszard wszakże zajęty swoim businesssem na wędrowki czasu nie ma. Pobiorą się też za to natychmiast, za jej powrotem.

— Jakto! opuściłaś pani na cały rok swego narzeczonego? — zawołałam zdziwiona — i nie lękasz się by przez tak długi przeciąg czasu, nie sprzeniewierzył ci się, nie rozmiłował w innej paninie?

— Nie, nie lękam się bynajmniej — on tego nie zrobi... Zrobić nie może.

— Nie może? a to dla czego? — Obyczajów europejskich dobrze świadoma, pytałam z coraz większym zaciekawieniem.

— Dla tego, że wszyscy o naszym przywiązaniu powiadomieni zostali. Na naszych zrękowinach obecni byli rodzina, przyjaciele, znajomi. Ja wyjechałam za zgodą i przyzwoleniem narzeczonego. U krewnych jego, w Londynie, spędziłam obecnie kilka tygodni, polubiłam ich szczerze, oni nawzajem przywiązali się do mnie. Mego przyszłego kocham całym sercem i bezprzestannie o nim myślę. Podróż zaś tę uważamy wszyscy nie jako próżną, bezcelową rozrywkę, lecz jako dopełnienie nauk, dokończenie mojej i Aniuty edukacji. Cóż zatem Ryszard zarzucić może i z jakiej racyi uczucia swoje miałby odwrócić odemnie?

— Z jakiej racyi? Bez racyi oczywiście. Czyż na niestałość racyi potrzeba? Ot tak sobie, z łaski na uciechę... Gwoli przysłowiu: co z oczu, to i z myśli!

— Podobne przysłowia u nas nie znane są zgoła.

— Nie?.. To chyba wy tam na waszym kontynencie, innych jakichś macie mężczyzn, niż my tutaj na starym lądzie?..

— Posiadamy tylko inne zwyczaje a może i inne prawa. U nas np. taki zaręczony konkurent gdyby ni ztąd ni zowąd, poważił się zerwać ułożony związek, znalazłby nazajutrz wszystkie drzwi dla siebie zamknięte.

— Co? istotnie?

— Nie inaczej. Złamał słowo!.. Takiego lekoducha żaden uczciwy dom nie przyjmie w swe progi. Żadna szanująca się panna mu nie uwierzy,

zaden uczciwy ojciec nie odda mu swej córki, ni posagu. Złamał słowo! Również w interesa nikt z nim wejść nie zechce. Złamał słowo! Opinia publiczna ogłasza go za niegodnego zaufania i wyklucza z pomiędzy prawych członków społeczeństwa. Widzi tedy pani, że ja mam powód ufać jego przyrzeczeniom, on zaś powodów posiada tyśiące, by go dotrzymać.

— Aaa! wobec tego rodzaju pojęć schylam głowę i zaczynam wierzyć w moralność „królów stworzenia“ na drugiej półkuli... ujętych w ryzy tak sprężyste!.. W starej Europie niestety, rzeczy odbywają się nieco odmiennym trybem. U nas, im kto więcej zwiódł, zbalamucił, oszukał kobiet, tem większy zuch, tem staje się ponętniejszy, bardziej interesujący! Damy wydzierają go sobie z zapalem, mężczyźni z zazdrością spoglądają na niego.

— A kodeks?

— Kodeks staje po jego stronie. W odnośnym paragrafie broni uwodziciela przeciw uwiedzionej, zdrajcy przeciw zdradzonej.

— W kraju Kolumba za podobnie dowcipne figle, młodzieniec spotyka się z wieżą lub grzywnami. — A głos opinii, jakże tam pod tym względem brzmi na starym lądzie?

— Głos opinii brzmi w ślad za odnośnym paragrafem.

— O biedna, biedna Europo!.. Ha, nic dziwnego, zestarzała się biedaczka to i dziecinnieje!

Brzęk kluczy przerwał dalszą pogawędkę. Upuścił je, przerażony naszym widokiem zakrystyan, w powrocie z objadu. Wkrótce atoli przekonawszy się, że skarbonki na miejscu, srebrne wota nie pozdzierane, otworzył główną bramę jak wysoka i szeroka i wypuścił na wolność natrętnie turystki.

Dzielne amerykanki pożegnały się ze mną wesoło — nazajutrz były już w drodze do Rzymu.

Ja zaś zamysliłam się poważnie, zali owa manipulacya z wieżą i grzywnami, nie wpłynęłaby ochładzająco na zbyt strzeliste afekty i naszych domorosłych... Lowelasów!

ZOFIA MELLEROWA.

DZIEŃ DZISIEJSZY

*Mnie w księdze ludzkich dziejów przeznaczono
Być skalą bólów pośród wieków fali.
Jam jest ludzkości piersią rozkrwawioną,
Która się w słowa płomienne kryształy,
Jam wziął w me dłonie, przygarnął na łono
Z przeszłości wszystko, co rani i pali,
I nowych pytań złowieszczce zamęły,
Czym nieszczęśliwy tylko, czy przeklęty?*

*Czyż jestem jako zaraza morowa,
Co setki zgubi, nim sama poleże?
Gdzie dotknę lutni — słyszę przekleństw słowa,
Gdzie dotknę serca — płomienie i węże,
Kędy myśl natchnę — rozpada się głowa
W szary proch, który nieba nie dosięże.
A jednak, Panie, jam pełen światłości,
Które rozbłyszczą tam — w nieskończoności.*

*Lecz dzisiaj, śpiący nad kałużą błota,
Ja, duch bezdomny rozpaczy i sromu,
Słyszę krzyk jeden: „rozkoszy i złota!“
Jak śmiech szatanów wśród świata ogromu
I widzę hufiec, co w walce się miota,
I z duchowego znów wraca pogromu
Na zgniłe leże. I głuchym szelestem
W przepaść lecących dusz utrapion jestem.*

*Więc, gdy się chwila pomroku już zbliża,
Jakże mi słodkie są te wszystkie dźwięki,
Których moc niebo nadzieją przybliża
I słodkim dla mnie poblask każdej ręki,
Co krzyż wskazuje. Ja nie widzę krzyża,
Lecz go już kocham płomieniem mej męki
I chociaż w sercu coraz ciężej, łzawiej
Wznoszę krwawiącą dłoń —*

Niech błogosławi!



MILES.

ŁOPIAN

M. WALICKA

W WIOSENNY DZIEŃ

Zajaśniał wiosenny dzień. Z pod lodowej powłoki wypłynęły śpiewne, migotliwe strumyki, zwiastując nowe życie, i zieleń pokryła sennie dotychczas obszary. Zajaśniało wiosenne słońce, budząc w człowieku żywym wszystkie słoneczne potęgi: myśl krzepiąca, słowo hartowne, uśmiech słodczą kojący, spojrzenie tęczą przymierza zbrojne.

Człowiek żywy rozwarł ramiona w miłości do wiosennego świata, a szczerozłote struny jego serca zadźwięczały hymnem dziękczynienia i prośby. Olbrzymi wtórował mu chór: harfy perliste potoków, wiolonczele borów, rzeźwe oboje wichrów, surmy głębokie morza i głuche łomoty gór.

Hymn był prastary, niezmienny... Fatum niewzruszone, odwieczne...

Kto hymnu nie dosłyszał, kto go nie śpiewał, ten nie żył.

Był jako cień, mgławica, widziadło, próchno, jak przeklęty, na bezżycie skazany, by mroki fałszu roznosił po świecie, by plenił zwątpienie i smutek.

Ale w wiosenny dzień przekłęci nawet laski doznają; wiosenny dzień to złoty wir blasków, w którego falach toną zapomniani.

A każdy dźwięk hymnu to siła życiodajna dla tych, którzy go słyszą.

Człowiek śpiewał:

„Ojczy nasz, twórczo życia, któryś jest w niebie gorejącą nieskończonością, święć się imię twoje tajemnicą bytów groźne, przyjdź królestwo twoje miłowaniem wszechmocne, przez wszelką istotę żywą upragnione, która z tęsknoty ku niemu om-

dlewa, wije się w matni zwątpienia lub obłądną rozpaczą się miota. O przyjdź królestwo twoje by ucichły głosy bluźniercze, głoszące, że ono tylko uludą i marą.

Bądź wola twoja w sercu każdym, w każdej godzinie istnienia, w każdej krwi naszej kropli, w pierwszym uśmiechu dziecka i w ostatnim westchnieniu odchodzących z ziemi. W każdej godzinie istnienia bądź wola twoja, wyzwalająca dobro i piękno.

Światła nam daj, byśmy wolę twą pojęli i moc własną poznali.

Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj, jak nie poskapiłeś go wczoraj, daj nam dla chleba sprawiedliwy szacunek, niech się nim bracia po bratersku dzielą, niech dla niego wolą twoją, królestwem i imieniem twojem frymarczyć przestaną, by głód i przesyconie zniknęły z ziemi.

I nie wódź nas na pokuszenia martwoty i nocy, lęków i pychy, przemocy i zwątpienia, ale nas zbaw odezłego, by brat nie zabijał brata myślą, słowem, uczynkiem, bezczynnością i chłodem swoim.

Zabójstwo ducha twego — oto winy są nasze. Amen.“

Tak śpiewał człowiek żywy a kiedy skończył, głos w samym sobie usłyszał:

Królestwo moje i wola moja są w sercu twojem. Czemuż ich tam nie szukasz? Czemuż samego siebie zabijasz? W tobie jest moc i światło! W tobie twoje własne zbawienie!

ANTONINA MORŻKOWSKA.

Z PRZEŚNIONYCH GODZIN



Lat temu kilka, spędziłam w Grecji pierwsze dni wiosny, a wiosna grecka, to nie owa ciężka, wpół senna, mgłą chłodną osnuta pora powolnego przebudzania się natury, wiosna grecka to przepojona słońcem, osypana puchem kwieciami, godzina młodej potęgi i siły, tętniącej żywo w każdej skibie ziemi, w każdym oddechu wód błękitnych.

Krajobrazy Grecji, które letnią porą mają koloryt suchy, zbyt jaskrawy i rażący, jak wszystkie ubogie w roślinność okolice, na wiosnę przybierają tony dziwnie miękkie, ciepłe i barwne, którymi oko poi się z rozkoszą, a które aż w głębi duszy jakąś jasność i pogodę wnoszą.

W taki dzień wiosenny słoneczny a cichy, przebywszy na łodziach rybackich przestrzeń maza z Koryntu do Stej, zdążyliśmy z tej małej miejsciny do ruin Delfi, kędy dziś wioska Kastri nę-

dę swych odartych, brudnych, gdzieniegdzie tylko pnąciami różami przystrojonych lepierek do słońca szczyrzy.

Przez czas dłuższy pięły się nasze muły w górę, stromą drożyną wijącą się między rozpadlinami skał, poszarpanych w urwiska, przez koryta dawno wyschłych strumieni zamulonych kamieniami.

Nad nami jakoby wskazując nam drogę widniał Parnass w koronie brylantowych szronów, z płaszczem śniegów na grzbiecie; podnóża jego dziś z lasów odarte, piętrzą się i łamią w przepaście i wzgórze, na których światło dzienne coraz to inne blaski kładzie, rzucając na nie złote, różowe i ametystowe smugi.

Na jednej ze stromych wyżyn, przewodnicy nasi zatrzymali muły, a przed nami otworzyła się nagle rozległa dolina zamknięta dokoła wysokimi skalnymi ścianami.

W dolinie kilkadziesiąt chat tuli się do skał i odłamów starożytnych murów, do szarych gruzów gdzieniegdzie z pod ziemi sterczących.

Ta dolina, to dawny przybytek muz, dziedzina delfickiego Apollina; — okruchy murów, kilka drobnych szczątków obalonych kolumn doryckich, ślady schodów wykutych w skale, wiodących do jakiegoś wyniesienia czy ołtarza, oto wszystko co z odległych wieków pozostało.

Tak to mało, tak strasznie mało! a i te szczątki rozrzucone są pomiędzy chatami i w podwórzach, kędy na sznurach wiszą cuchnące ryby, albo na słomianych rogożach schną drobne rodzynki czarne.

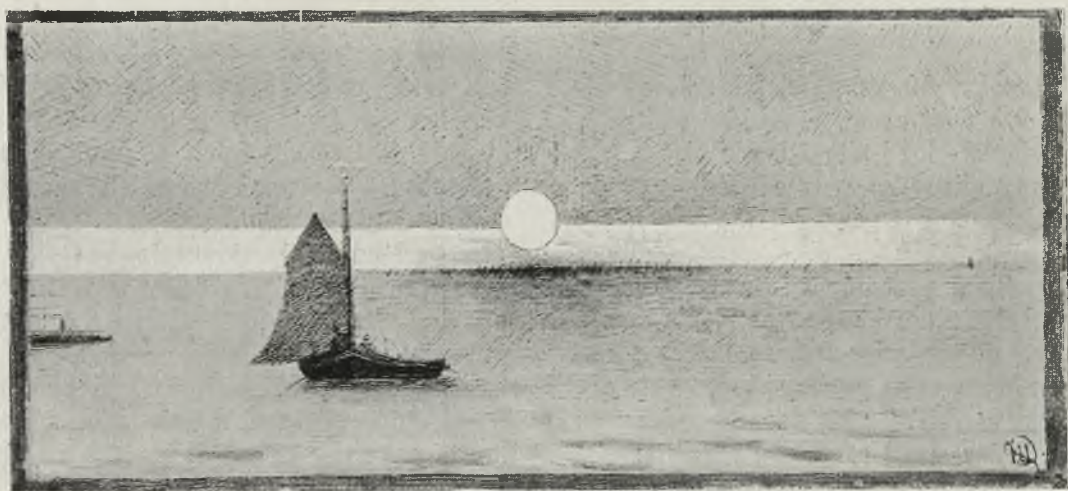
Część jedna tej doliny została rozkopana przez francuzkie stowarzyszenie archeologów jeszcze w r. 1880; roboty idą jednak bardzo powoli, bo

Nagle muł przystanął jak gdyby instynktownie przywykły do zatrzymywania się w tem miejscu; stanęliśmy przy prostopadłej ścianie skalnej, widocznie ręką ludzką w jednym miejscu wygładzonej, ociosanej i o! zgrozo!... wybielonej wapnem! — Wykute w skale wejście, wiedzie do niewielkiej grotty zmienionej dziś w kapliczkę.

Kolo wejścia sączy się z góry, ze skały mały strumień wody, jakby sznur lśniących pereł, a wyżłobiona poniżej nieco skała tworzy dlań naturalny basen.

Przewodnik, który dotychczas szanował spokój moich myśli i milczał, zwrócił się nagle do mnie z zapytaniem:

„Veux-tu boire“ — (grecy używają do wszystkich zaimka „Ty“ i nie uważają tego za poufałość) — „c'est la source de Castalie.“



WIDOK MORSKI

MARYA DULEMBIANKA

mieszkańcy niechętnie pozbywają się swych sadyb, a rokowania z rządem greckim, z powodu zażądanych przezeń sum wygórowanych—zerwano i z tejże samej przyczyny poszukiwania na czas dłuższy zastanowiono.

Na widok tej garstki okruchów, tych zhańbionych popiołów dawnej Hellady, żal mnie zdjął niewymowny i gniew na stulecia, które je podeptały i na tę nędzną ludność, co je przysypała i żyje, rozradza się, toczy tę czarną ziemię, w której legł duch promienny starożytnego świata.

Jest coś dziwnie smętnego w tej znieważonej nekropoli, w tem nędznem pełzającym robactwie ludzkim, co się wpośród jej szczątków uwija.

Trudno mi było, w myśli nawet, odbudować z tych okruchów jakąś całość; nie słuchając więc nawoływań moich towarzyszy, którzy wzięli się do odczytywania greckich napisów na skalnych grobach i odłamach murów, skinęłam na przewodnika i minawszy wioskę pomknęłam w górę, chcąc z przeciwległej wyżyny objąć okiem przestrzeń, jaką zajmowały niegdyś delfickie świątynie.

Zeskoczyłam szybko z mego muła i nie mając kubka zaczerpnęłam ręką wodę z kastalskiej krynicy.

Opanowało mnie dziwne wzruszenie; — uczułam, że ten strumień płynący z żywej piersi tak cudownie przez naturę wyrzeźbionej ziemi, musiał jeźli nie natchnienie, to wielką miłość piękna i ukochanie tej czarów pełnej krainy dawać owym, co z tej krynicy czerpali.

Oparłam się o skałę i stałam tak wpatrzona, to w dolinę świętą, to w ponure, wspaniałe, piętrzące się tuż nademną szczyty Parnassu.

Przewodnik ze sprytem właściwym grekom, rozumiał, że chcę być samą z myślami mojemu; uwiązał więc muła do rosnącego opodal drzewa, a sam legł przy nim na murawie.

Mnie tymczasem zdjęło jakieś dziwne wspólne widzenie, trwałam w milczeniu obawiając się by silniejszy oddech nie przerwał ciszy panującej dokoła; zdawało mi się, że słyszę szelest zlatujących się tu widm i wspomnień.

Czułam jakgdyby dusza moja rozłączyła się nagle z ciałem i idąc powietrznym, błękitnym szla-

kiem, zawisała nad doliną Delfi, kędy jako przed wiekami, wznosiła się świątynia Apollina w całym przepychu swych doryckich kolumn.

A ze szronem okrytych skalnych wyżyn Par-nassu, z kryształowej kopuły błękitu schodzić zaczęły jakieś postacie świetlane z lutniami i zło-cistemi księgami w rękach.

Coraz ich więcej i więcej, zstępują w dolinę, ogarniają przestrzeń, długim korowodem ciągną ku świątyni, dzielą się i znów łączą w osobne grupy.

A w każdej grupie, innej barwy wstęgi za-wieszono u lutni, innego blasku gwiazdy nad czo-lami śpiewaków świecą i migocą.

I dusza moja poznała, że te postacie, to pie-sniarze i wieszczowie wszystkich ludów ziemi, to du-chy natchnione, co z kastalskiej zaczerpnęły krynicy.

A zaś przy końcu korowodu, z szumem wiel-kich skrzydeł, z drzeniem gwiazd promiennych na włosach, przemknęła tuż koło mnie ostatnia gro-mada naszych piewców.

Przeszli z wolna a duch piękna skinął na nich i przywołał ich bliżej, — znać zasłużyli na tę odznakę.

Wówczas głosem dźwięcznym, jak śpiew cud-ny, oznajmił Apollo wieszczom, że nadeszła chwila, w której sędzić będzie lot i siłę ich pieśni.

I oto z grupy mistrzów naszych odłączył się najpierwszy z nich, unosząc w ręku nie lutnię, ale księgę złotą.

A głos Apollina przemówił doń: „Wy, co w spuściznie wzięliście ból i grzech, wraz z duszą śpiewną Hellady, powiedzcie co uczyniliście z lut-nią złotostrunną, którą wam przekazałem, ze skrzy-dłami natchnień waszych?“

Mistrz zaś, który szedł przodem, odrzekł:

— „Oto z pieśni, którą przepelniłeś mi duszę, uczyniłem *ogień* na grzechy narodu mego, mowę ojców moich przetopiłem na spiz silny i nieśmier-telny, co dawnych bojów wyśpiewał stalową nutę, na harfiane dźwięki, które wichleroznosi dziś po chatach i dworach, od siola do siola, od ludu do ludu.

— „Cześć Tobie i chwała!“ — zawołał duch piękna i wskazał mu miejsce po prawicy swojej; poczem zwrócił się ku drugiemu z wieszczów na-szych.

Ten dumę miał na czole i harfę w pawie pió-ra strojną.

— „Panie“ — rzekł, „z natchnienia mego jak z tęczowej piany dumne helleńskie powstały bó-stwa, cudne urodą i kształ-tem; pieśń moja grała szu-mem jodeł i limb górskich skargą, dreszczem poto-ków i mgieł srebrzystych wianiem, duszę narodu mego rozpieściłem dźwię-kami, rozkołysałem mu-zyką słów miękkich...“

Ale duch Apollona wstrząsnął lekko złotych włosów chmurą:

— „Nie dość! nie dość perłowe nizać dźwię-ki i klejnotami słów błyskać, by pieśnią nieśmier-telne zbudzić echa. Idź, obmyj duszę w kastal-skim zdroju, a złote struny twej lutni przetop na tarczę dźwięczną i jedrną!“

Rzekł bóg a z korowodu lutnistów wyszła teraz postać niewieścia i zdało mi się, że duch piękna powitał ją imieniem „Maryi“. A ona śpiew-nym głosem mówić pocznie:

— Oto Panie, jam nie ze srebrnych potoków, ale z ziemi czarnej gorzkie soki piła; — bóle i skar-gi z chat szarych idące wchłonęłam w serce, z łez ludu uczyniłam jakoby sznur pereł cennych i sznu-rem tym, uderzałam o lutnię, aż stało się jako jedno wielkie serce...

Tedy duch piękna wyciągnął ku niej rękę i powiódł ją do grona wybranych.

A tuż za nią ukazał się przed ołtarzem Apol-lina inny pieśniarz i podniósł prostą fujarkę pa-stuszą.

— „Patrz, promienny mistrzu nasz, oto zamieni-łem lutnię w chłopską pastuszą fujarkę. Wszyst-kie barwy kwiatów polnych i ulów miodnych brzęczenie i ziół leśnych wonie, w słowa pieśni przelałem. Z legend wiejskich zaczarowany wia-nek uwilem narodowi memu.

— Nie dość! nie dość! — zawołał znowu duch piękna, — nie dość dla duchów waszych miody lip-cowe zbierać z ziół leśnych i z kwiatów polnych więc wieniec.

Poczem zwrócił się bóg piękna do dalszego grona śpiewaków, a wzrok jego, wzrok jasny jak słońce padł na wieszczka, co stał na uboczu samo-tny i ponury.

— „Tytanie pieśni“ — odezwał się doń duch Apollina. — „W chacie zrodzony, duchem prze-rośłeś jej strzechę. Ludzkości całej mękę i tortury tyś wchłonął w siebie; tyś jej Psyche przepędził przez chłost żądź, przez węzowe sploty grzechu i nędzy, przez męczarnie buntu, ale z nią razem odczułeś i wyśpiewałeś wielką jej tęsknotę, wielkie pragnienie światła i prawdy. Ty pieśni, jak lawę wrzącą wyrzucasz z piersi, a z lawy tej pozostanie dla ludu twego posąg nieśmiertelny, więc cześć to-bie Tytanie!“

A gdy duch piękna mówił te słowa, zbliżył się doń śpiewak, co ogień gorączki miał w oczach i twarz bladą, wykrzywio-ną bolesnym skurczem:

— „Mistrzu jam wiel-ki! jam nowy! — zawo-łał — i pieśń nową dałem światu.

Z duszy ludzkiej, ska-zanej na mękę żądź, na walkę i ból, jam uczynił sobie lutnię. Sięgnąłem

* * *

Gdyby klawiaturę fortepianową ułożyć z lu-dzi, stroiciel nie dałby sobie rady, — zwłaszcza z wysokimi tonami!

MARYA WĄSOWSKA-BADOWSKA.

* * *

Większą odwagą jest żyć, niż umierać.

WANDA NAŁĘCZ CICHOCKA.

* * *

Sława jest dla kobiety jedynie świetną ża-łobą po szczęściu osobistem.

BRONISŁAWA NEUFELDÓWNA.

do najtajniejszych ich ciemnic i wyrwałem z jej trzewi skrwawionych niesłyszane dotychczas jęki. Upoiłem ją łkaniem bólu i rozkoszy, rzuciłem w odmęt rozpasanych chuci, w orgie rozpusty i szału, aby ją zdjęło wielkie pragnienie nicości i wielki smutek bytu...“

Tu duch Apollina przerwał mu ruchem ręki, wołając:

— „Nie! Nie z takich tajemnic, nie z takich bólów, pełnych niemocy i drgnień konwulsyjnych, życie się ma zrodzić; pieśń nowa, pieśń przyszłości nie w takich orgiach poczynać się będzie. Nie

przez Afrodyty misterye, nie przez korkyryjskiej grotty igrzyska, ale przez eleuzyjskie próby męczeństwa duch wasz przejść musi, by pieśń życia i czynu dał światu, by nieśmiertelne ziarno z ciemnic Hadesu wydobył. Idźcie! ty i ci, którym opętałeś duszę, idźcie obmyć skrzydła w zdroju czystych natchnień!

Wówczas z jękiem i smutnym szelestem skrzydeł, przeleciał obok mnie korowód duchów wieszczych, a wraz z ulatującą ich skargą, rozbił się sen mój, jako pył złoty, o skalne ściany Parnassu.

ANNA NEUMANOWA.

TRZY SZTANDARY

*Po nad ziemią się unoszą, trzy wielkie sztandary:
Jeden jasny — srebrnolity — symbol naszej wiary,
Ten świetlany, niezmazany, złotym krzyżem błyska,
Niebosiężny — z ziemią sprzężny, jako tęcz zjawiska.*

*Drugi błysnie, zamigoce, jak majak w zawiei,
Zaszeleści, duch upieści, — to sztandar nadziei,
Strojny w barwy szmaragdowe, jakby w ruń wiosenną,
Rozwesela ludzką dolę, smętkami brzemienią.*

*A ten trzeci purpurowy, z krwi serdecznej tkany,
Ten miłośny, ten radośny, ten z szczęściem zbratany,
On nas uczy kochać życie, w czyn zamieniać mary,
A więc patrzymy w dal promienną, w trzy wielkie
sztrandary.*

JERZY ORWICZ.

POPULARYZATORKI



o za talentami wybitnymi tysiące „prze-ciętnych“ piór kobiecych pracuje na polu piśmiennictwa. Zajmują się one przede-ważnie beletrystyką, pomijając niwę naj-bardziej potrzebującą rąk do uprawy, najmłodszą, najuboższą, a dla kobiet naj-odpowiedniejszą. Jest nią *popularyzacja* w naj-szerszem tego słowa znaczeniu; popularyzacja na-uki, literatury, sztuki, umiejętności praktycznych.

Położenie społeczne i rodzinne kobiet czyni je popularyzatorkami z konieczności. Matka, nau-czycielka, pani domu, właścicielka pracowni mają bezustannie sposobność do nauczania słowem i przykładem, do podnoszenia i oświecania. Same więc warunki życiowe zniewalają kobietę do speł-niania jednego z najważniejszych zadań doby

obecnej; ciągła wprawa wyrabia w niej zdolność przemawiania do niższej inteligencji.

Popularyzatorkami ze stanowiska jest więk-szość kobiet, popularyzatorkami z zawodu można by nazwać liczny zastęp autorek, piszących dla „młodocianego wieku“ pogadanki, opowiadania, powieści tendencyjne.

Pragnęłabym wszakże zwrócić uwagę na po-pularyzację w specjalnym znaczeniu tego słowa. Będzie nią praca na najniższym szczeblu oświaty, która ma stopniowo wyprowadzać ciemnego czy-telnika na promienny gościniec wiedzy, głodnym duszom ściągać „myśli z nieba“.

Zadaniem jej rozdmuchiwać tlejące w każdej duszy iskierki uzdolnień, dostępnymi do pojęć każ-dego obrazami, przedstawić najważniejsze i naj-

istotniejsze zagadnienia ze wszystkich dziedzin życia, podać najpotrzebniejsze wiadomości, podzielić się praktycznymi zdobyczami. Do spełnienia tego zadania istnieją tylko dwa warunki — znajomość przedmiotu i odczucie przypuszczalnego czytelnika.

Obowiązek „nauczania nieumiejętnych“ kobiety podejmowały oddawna. W szeregach pierwszych pionierów oświaty ludowej świecą nazwiska ks. Czartoryskiej, Wirtemberskiej, Leśniowskiej i wielu innych. W piśmiennictwie dla ludu pociągała je przeważnie powieść i sentymentalny, powierzchowny obrazek historyczny. Czułostkowa maniera, jaka przez parę dziesiątków lat panowała w książeczkach ludowych, była przeważnie ich dziełem.

Lecz i dzisiaj, gdy wymagania wzrosły, spotykamy wśród popularyzatorów dzielne pracownice.

Kilkanaście nazwisk wybitniejszych popularyzatorek, trochę danych o ich dziełkach, może zachęci szukające drogi pióra kobiece do pójsia ich śladami.

Dzieckiem, pozbawionem troskliwej i umiejętnej pomocy zajęła się *Róża z Morzyckich Brzezińska*. Jej „Mały elementarz dla dzieci i samouków“ stosuje szczęśliwie najlepsze zasady metodyczne, czyniąc równocześnie naukę czytania, pisania i rachunków łatwą i zajmującą. „Pierwsze czytanki“ pobudzają interes młodych czytelników do książki, „Snopek“ w powiastkach i rozprawkach poucza o najbliższem otoczeniu dziecka.

Potrzebom młodzieży, umiejącej tylko czytać, czyni zadość oryginalnie pomyślana, z drobiazgową ścisłością opracowana „Nauka pisania i czytania pisanego“ *St. Pisarzewskiej*. Za pomocą wzorów kaligraficznych, objaśnień gramatycznych i składniowych, z myślą dobieranych ustępów do przepisywania, przykładów listów i pamiętnika, cenna ta książka uczy nie tylko wodzić piórem po papierze, lecz pisać naprawdę.

Dopełnienie nauki czytania stanowi „Książeczka dla tych, co chcą dobrze mówić, czytać i pisać po polsku“ przez *Wł. Weychertównę*. Uczy ona zastanawiać się nad mową, rozumieć, co się czyta lub pisze. Podziały, wyjątki, nazwy ustępują pierwszeństwa logicznemu rozbiorowi, nadając „książeczce“ dużą żywotność.

„Opracowania przyrodnicze“ dało kilka kobiet, którym nauka uniwersytecka nie przeszkodziła bardzo przystępnie wyłożyć ciekawych wiadomości o tem: „Co można widzieć przez szkło powiększające?“ (przez *K. Skrzyńską*), „Co się dzieje w ulach?“ (przez *dr. M. Stefanowską*), „Czem są Fosfor i Siarka?“ (przez *Z. Rudnicką*).

Praktyczne wiadomości „o uprawie warzyw“ podaje *M. Karczewska*; rady gospodarskie, pedagogiczne i higieniczne zamieszcza „Upominek dla matek i gospodyń“ *Antoszki* (Antoniny Smiskowej).

Antoszka znaną jest głównie jako autorka prac etnograficznych: „O Czechach, ich kraju i życiu“, „Słowianie południowi“, „Słowacy“, które popularnie przedstawiają ziemię, warunki bytu,

zwyczaje i obyczaje naszych pobratymców. Krajami obcemi, ich geografją, kulturą zajmują się także nacechowane pragnieniem postępu i znajomością przedmiotu prace *Faustyny Morzyckiej*: „Z dalekiej północy“ i „Szwajcarya, jej przyroda i mieszkańcy“. Życie ludów starożytnych odzwierciedlają książeczki *Róży Morzyckiej-Brzezińskiej*: „Chaldejczycy, Asyryjczycy i Fenicyanie oraz Egipcyanie“.

Opracowań historycznych, któreby w łatwej i obrazowej formie opowiadania podawały wiadomości prawdziwe, pozwalały wżyć się w przeszłość, tem samem poznać ją i pokochać — niewiele wyszło z pod piór kobiecych w czasach ostatnich. (Uwzględniam jedynie stosunki wydawnicze warszawskie.) Tem to dziwniejsze, że dawniej Czartoryska, Leśniowska i inne położyły na tem polu zasługi. Prace ich w obec dzisiejszych zdobyczy metodycznych i naukowych są niewystarczające, a w dziedzinie popularyzacji historii pełno braków.

Jako wzór przystępnego a gruntownego opracowania może służyć monografia *F. Morzyckiej*: „Jan Zamoyski“, która obrazowo i zajmująco, bardzo jasno a według wyników badań naukowych przedstawia prace wielkiego męża na tle epoki.

Ciekawą pracę podjęła *R. Morzycka-Brzezińska*, streszczając księgi kroniki t. zw. Galla, opisując dziecinne i młodzieńcze lata ulubionego bohatera młodzieży — „Bolesława Krzywoustego“.

„Życiorysy literackie“ stanowią najulubieńsze pole dla popularyzatorek. Większość ich w piśmiennictwie ludowem wyszła z pod pióra kobiecego. *Wł. Weychertówna* dała zwięzłe, żywe, „Życiorysy najlepszych pisarzy XVI stulecia“, *F. Morzycka* sumiennie opracowane charakterystyki *W. Pola*, *Ign. Krasickiego*, *K. S. D(omagalska)* barwny szkic o „*Władysławie Syrokomli*“, *A. Chł(ebowska)* szablony, za to bardzo przystępne książeczki „O życiu i pismach *K. Brodzińskiego*“ i „*Fr. Karpińskiego*“.

„Beletrystykę“ pozostawiam na boku. Do pracy w tym kierunku nie można nikogo zachęcać dla celów popularyzacji, — każda rzecz napisana z talentem i miłością będzie odpowiednia. Do zakresu pracy popularyzatorskiej należą tylko streszczenia, uprzystępniające najszerszemu ogółowi arcydzieła wielkich pisarzy. Największe zasługi na tem polu położyła *F.—M(orzycka)*, przygotowała „*Starą Baśń*“ (*Kraszewskiego*), „*Kuźmę*“ (*T. T. Jeża*), „*Ojcowiznę*“ (z „*Placówki*“ *Pruśa*), „*W zimowy wieczór*“, „*Czarownicę*“ („*Dziurdziowie*“ *Orzeszkowej*). *R. M(orzycka-Brzezińska)* opracowała: „*Cygańskie dziecko*“ (z „*Chaty za wsią*“); *M. C.* „*Historję prawdziwą o Grzesiu z Sanoka*“ (z „*Strzemińczyka*“ *Kraszewskiego*). *H. Sł(omka)* „*Dzielnego żołnierza*“ (z „*Pana Wołodjowskiego*“) i „*Ś-ty Piotr w Rzymie*“ (z „*Quo vadis*“ *Sienkiewicza*).

„*Zbiorki legend*“ i „*Pieśniarz*“ stanowią wypisy poetyczne.

Streszczenia powieści mają na uwadze przede wszystkim wiejskiego czytelnika. Brak nato-



STUDJUM

MARJA SŁUPSKA

miast zupełny popularnych książeczek powieściowych dla dziewcząt miejskich, dla tych setek służących warszawskich, dla których inne książki są jeszcze za trudne, a życie wielkiego miasta nasuwa mnóstwo odrębnych spostrzeżeń. Przerobienie powieści w rodzaju „Felki“ Dąbrowskiego, „Hanusi“ Szymańskiego i t. d. mogłoby oddać wielkie usługi. Brak także dziełka praktycznego, któreby, zawierając całokształt wiadomości niezbędnych go-

spodyni miejskiej odpowiadało przeznaczonemu dla wieśniaczek „Upominkowi“ Antoszki.

Brak jeszcze wielu, wielu książeczek. Jakich? Najlepsza odpowiedź dla każdego, kto chce stanąć do pracy przy tym warsztacie: rozejrzeć się dokoła siebie, poznać potrzeby, równocześnie doro-bek i braki dotychczasowej działalności, wtedy jasno staną przed oczyma plan i szczegóły nowego dzieła.

H. ORSZA.



KOBIETA POLSKA NA GÓRNYM SZŁĄSKU

Nieżyjący już dzisiaj poeta szląski, ksiądz Bonczek, któremu dopiero walka kulturalna przypomniła, iż urodził się na piastowskiej ziemi, a wczytanie się w „Pana Tadeusza” tak głęboko znów przeniknęło serce, że pod wpływem wielkiego wiesz-cza napisał dwa eposy szląskie, w jednym z nich, w „Górze Chelmskiej” mówi: „Szląsku, szczęsna ziemio kościołów, kopalń i kominów, szczytna między ziemiami z córek Twoich!”

Apostrofa, skierowana do cichych, zadomowionych szlązaczek, nie jest prostym poetycznym zwrotem. Podyktowała ją poecie gruntowna znajomość przeszłości i terażniejszości Szląska. Wprawdzie poeta w życiu codziennym i publicznym nie zdradzał swoich wierzeń i poglądów,—w eposach jednak, pisanych pod imieniem księdza Norberta, szedł za głosem przyrodzonym i nie wahał się oddać czci szląskiej kobiecie. W duchowym życiu Szląska kobieta ważną zajęła placówkę. Wprawdzie placówka ta jest bardzo ograniczona i nie przekracza po za oplotki „obejścia“¹⁾, wszystkie jednak pociski, przygotowywane w arsenale niemieckiej chciwości i przebiegłości, począwszy od czasów Fryderyka Wielkiego aż do dni ostatnich, rozbijają się o modlitwę i śpiew, dwa główne czynniki życia szlązaczki. Oplotły one jej duszę tak silnymi węzłami, że ani wzgarda i szyderstwa Niemców, ani utrudnianie warunków życia, ani nawet obawa utraty bytu, ani

nadzieja uśmiechającej się przyszłości, nie jest w stanie zmienić przekonań szlązaczki. Kobieta szląska modli się i śpiewa po polsku. Modlitwa krzepi ją i potęguje jej przekonania, śpiew łagodzi i opromienia twarde warunki życia.

Szlązaczek polek w sferze kobiet inteligentnych na Górnym Szląsku nie posiadamy dotąd. Wśród całej ludności polskiej kilka zaledwie naliczyć możemy jednostek. Bardzo dobry, dodatni żywioł przedstawiają poznańczanki; wyszedłszy za mąż za rodowitych szlązaków dzielnie im w pracy pomagają.

Inteligencję stanowią niemki, a czasami córki zamożniejszych wieśniaków. Ukończywszy wyższe szkoły dziewcząt, albo szkoły gospodarstwa domowego, Niemczą się zupełnie. Dziewczyna, oddana do niemieckiego pensjonatu, łatwo zatracza poczucie swej odrębności narodowej. Mężczyzna przeciwnie, najczęściej na ławie szkolnej lub uniwersyteckiej gruntuje swoje poglądy.

Faktów tych nie możemy jednak tłumaczyć duchową niższością kobiety, lecz warunkami jej życia. Dziewczyna, zamknięta w pensjonacie, widzi tylko taki świat, jaki jej zakreślają, uczeń gimnazjum, mając więcej swobody, sam sobie toruje drogę.

Szlązaczka zamożna niechętnie córkę wysyła z domu, nawet po promień światła. Nie dla tego aby w zasadzie była przeciwna oświacie, gdyż kobiety na Szląsku chętnie czytają, lecz w tych przekonaniach utwierdza ją wrodzony konserwatyzm

¹⁾ Gospodarstwo.

i obawa wszelkich zmian. Z tej też może przyczyną istniejąca przed dwoma laty w Bytomiu Szkoła gospodarstwa kobiecego, wzorowo prowadzona przez pełną zasług i ofiarności Ludwikę Radziejewską, niewiele liczyła uczennic. W ostatnich czasach szlązaczki rzadziej już posyłają córki swoje do niemieckich pensyonatów. Wogóle najczęściej zaufania szlązaczki mają jeszcze do klasztornych pensyonatów, ale ponieważ te ostatnie są zarazem środowiskiem niemczenia, więc i ten zbiornik oświaty jest wykluczony z życia szlązaczki. Córki niezamożnych rodziców, szukające w miastach zarobku i pracy, germanizują się łatwo, szczególnie też pracujące w fabrykach i wielkich warsztatach. Duży procent szlązaczek, szczególnie dziewcząt służebnych, pochłaniają Wrocław i małżeństwa mieszane, chociaż już dzisiaj, wobec przyrostu polskiej ludności po miastach szląskich, dziewczęta na miejscu znajdują zajęcie i co za tem idzie, zmniejsza się danina składana nadodrzańskiej stolicy. Zdarza się jednak często, że szlązaczka, zniemczona nawet, powróciwszy po kilku albo kilkunastu latach do swoich, owiana atmosferą rodzinnego domu, *odniemcza* się zupełnie.

Szlązaczka polka, jak to stwierdza nawet statystyka urzędowa, jest o wiele moralniejsza i pracowitsza od niemki. W domu jest zaradna, „wstydliva“, jak mówi ksiądz Bonczek w eposach, i oszczędna. Porządek i ład cechuje mieszkania szlązaczek.

W pieśniach ludowych, będących wyrazem życia, kobieta zajmuje poważne miejsce. Życie jej płynie jednak cicho, spokojnie, opromienione miłością i przywiązaniem do ziemi rodzinnej. Gwałto-

wnych namiętności i tragizmów nie spotykamy, a przynajmniej bardzo rzadko. Szlązaczka w atrybucy męża i syna nie mięsza się wcale. W milczeniu przysłuchuje się jego rozprawom o wyborach do parlamentu, albo o korzyściach, jakie dają zakładane Banki ludowe lub związki robotników.

Pobożność jest jedną z wybitnych cech jej charakteru. Cudowne miejsca na Górnym Szląsku, jak Górę Ś-tej Anny, Piekary Niemieckie, zwiedzają bardzo często. Pielgrzymka do oddalonej Częstochowy, to słodkie marzenie szlązaczki, potrzeba ducha, którą choć raz w życiu musi zaspokoić.

Lecz najpobożniejsza z nich, ta sama, która z wielką skruchą żebrze na kolanach w kościele opieki Najświętszej Panny, gdy z ambony posłyszysz słowo kaleczące drogie jej sercu ideały, wyjdzie z kościoła oburzona, ale nie przekonana. Będąc raz w Niemieckich Piekarach na kazaniu wielkiego zwolennika teorii biskupa Koppa, po wyjściu z kościoła spytałam stojącej obok mnie wieśniaczki, czy zadowolona jest z kazania? Szlązaczka wzruszyła ramionami i odpowiedziała z prostotą: „Wszystko, co mówili na kazalnicy, jest nieprawda; nie każą czytać „Katolika“, a my i tak będziemy czytać“. Ta sama kobieta była pieszo dwa razy w Częstochowie, dokąd chodziła ofiarować ciężko chore dziecko.

Ta siła ducha i wiara w czystość i prawdę swoich przekonań uchroniła szlązaczkę od zalewu germanizmu. Z chat wiejskich, gdzie wszechwładnie, czasami nawet za wszechwładnie ona panuje, wyszła już dzisiaj szląska rodzima inteligencja, na barkach której spoczywają, a z czasem jeszcze silniej spoczną duchowe losy Szląsku.

MELANJA PARCZEWSKA.



„MISSA EST...”

Wichrem zdarzeń po żywota kolei
W zmiarach bez brzasku gnana pośród zawiei,
Z rdzą goryczy, co mi w duszy narosła,
Z sercem próżnym spokoju i nadziei,
Jak łódź błędna bez steru i bez wiosła —
„Introibo ad altare Dei...“

Nad mem sercem — niby nad uschłą brzozą
Mgły marcowe — szarą zawisły prozą
Nędzy dusznej tchnienia podłace, zbójcze...
Życia opar! Ach, ze wstrętem i zgrozą,
W żalu wielkim błagać przychodzę: Ojczel!
„...ab homine iniquo et doloso...“

Wszystkie życia znoje i trudy szczerze,
Wszystkie smutki, żale, zawody zbierę,
Tobie zniosę wśród burz rwane pokłosie...
W halną po nie urwiskami szłam sferę,
Cios mi w serce wciąż uderzał po ciosie.
Sam wiesz, Panie! „Audemus dicere

„Pater noster...“ Jako włodarz najmitę
Zwalnia z pola, gdy snopami pokryte,
Tak mnie, Ojczel, już odwołaj z zagona!
Snop mój — chwasty... ale łzami obmyte!
A dzień długi... a żniwiarka strudzona...
Rzeknij w lasce: „Ite, missa est... Ite...“

TERESA PRAŻMOWSKA.

BAJKA O GŁUPIM MARCINIE



o śmierci starego Piotra znaleziono testament, w którym tak stało: Całą swą majątność — dom w mieście, młyn nad rzeką, i pole pod górą oddaję na własność synowi memu Tomaszowi. Miałem przed laty drugiego jeszcze syna, Marcina, ale ten dom i rodzinę porzucił, rad moich i nauk nie słuchał, dobra mojego nie pilnował, i zapewne gdzieś marnie przepadł. Wymazując go z mej pamięci — odsądzam od dziedzictwa. Jesliby kiedy wrócił — nic mu Tomasz dać nie powinien, bo jeśli głupi — to straci — a jeśli mądry — to nie potrzebuje!

Wskutek tego Tomasz dziedzictwo po ojcu wziął, gospodarzył, oszczędzał, zbierał, i żył w ojcystym domu z żoną i dziećmi.

Aż nagle w kilka lat po śmierci starego — Marcin się zjawił. Przyszedł o kiju, obdarty i nędzny, ale wesół — i z miną bogacza — podzwaniał w kieszeni nożykiem o gwóźdź. Więcej nic nie posiadał. Zaprosił go Tomasz gościnnie w dom, i zaraz na wstępie testament ojcowski wetknął przed oczy. Marcin przeczytał, roześmiał się:

— Jakby ojciec przeczuł — jaki wrócę! Trzymaj, bracie, co kochasz — ja ci nie zajrzę. Widziałem po świecie — nie takie fortuny jak twoja, ale takiej jak moja mało kto posiada.

Tomasz uspokojony uściskał go, i począł rozpytywać, gdzie bywał, ile zarobił, jak mu się wiodło.

— Gdziem bywał, trudniej odpowiedzieć, jak gdziem nie bywał. Zarobiłem stokroć więcej niżem stracił. A jak mi się wiodło! Hej! Wróciłem bogaty! Kupiłem sobie też majątność — idę w posiadanie objąć. Niepodał będziemy. Służyłem u jednego, co tu kędyś zamek ma. Miałem złota wór, a on zamek na sprzedaż. Kupiłem sobie zamek.

— A jakież on? Jak się zowie?

— Skalnia!

Tomasz za głowę się złapał.

— Na Skalni nijakiego zamku niema! Naga góra — kamień na kamieniu. Toć cię okpili — zapłaciłeś złotem za glazy puste.

A Marcin się śmieje jak głupi.

— Niema zamku! A to dzięki Bogu! Pewnie by w nim nietoperze się gnieździły, i dach trzeba było poprawiać.

— Czyś oszalał kupować na niewidziane!

— Co miałem się ze złotem nosić. Ciężko i straszno. A mnie żyć miło i wesolo!

I jakby nic, podzwania w kieszeni nożykiem o gwóźdź.

Popatrzał nań Tomasz jak na waryata, i już więcej o nic nie pytał — bo co z głupim gadać.

Nazajutrz Marcin gościł jeszcze — obszedł braterskie majątności, zajrzał wszędy — i do roli i do młyna — słuchał interesów, i biadań, i projektów, i spraw rozlicznych domowych — i wciąż się uśmiechał, i gwizdał i śpiewał — a drugiego dnia za gościnę podziękował, i precz poszedł.

Na pożegnanie Tomasz go uściskał, i powiada — bo mu przecie w duszy markotno było, że z jego racyi brat ukrzywdzon:

— Słuchaj, Marcin, głupiś i biedny, ałem ci brat, więc jakby ci tam źle było, a wiadomo, że na skale żyć nie można — to wróć! Ja ci dam chleb i posłanie i opiekę, i dach — i życie.

A Marcin zaśmiał się i powiada:

— Słuchaj, Tomasz — mądryś i bogaty. Jak ci źle będzie i ciężko — to przyjdź do mnie. Ja ci dam radę i pomoc — bom ci brat!

I pobrzękując nożykiem o gwóźdź w kieszeni — poszedł gwizdząc — ku swej jałowej górze!

Była właśnie wiosna i minęła — nastalo lato i przeszło znojne — cicha jesień osnuła pajęczyną ziemię, kiedy Tomasz spotkał na jarmarku brata w miasteczku. Chodził wśród ludzi — gapił się, przysłuchiwał targom, swarom, narzekaniom i śmiejącą zawsze, niefrasobliwy i wesół, gwizdał, w oczy dziewczętom zaglądał, każdemu coś śmiesznego rzekł, i tak się bawił ludźmi.

Tomasz markotny, bo targ na bydło był zły, a on tabun cały miał na sprzedaż, powitał go jednak uprzejmie.

— Marcin — żyjesz jeszcze! Jakże ci tam — narosło złota na skalni? Zamek budujesz?

— Witaj bracie. Dobrze mi. Gradu nie miałem — jak wy tu w dolinie. Zamek już gotów, ogień go nie weźmie — mam ci też tabun bydła, co sam sobie paszę na zimę przysposobił — a przyszedłem z ludzi się pośmiać!

— A jam się zbierał ciebie odwiedzić — ale czasu nie było.

— Jeszcze przyjdiesz! śmieje się Marcin.

— Może ci co potrzeba? Powiedz! Zima idzie — może ci czego nie dostaje! Rad ci pomogę.

Marcin pomyślał, podumał.

— Nic nie pomnę — czegoby mi niedostawało. Dziękuję ci, bracie!

I poszedł do gospody. Wieczorem zastał go tam Tomasz. Siedział na rogu stołu i grał ludziom do tańca, a ludziom z tego grania kipiała ochota i wesołość, i tak zabawa szła hucznie, że leciały



WETERAN ŻYCIA

LAURA SIEMIENSKA

miedziaki na Marcinową pole, a dziewczęta zerkały lakomie w jego lice, i wabiły go uśmiechem — a on się ino śmiał.

A jak się stańczyli do upadłego, odłożył skrzypki — miedziaki zgarnął — gospodarzowi oddał nierachując, i powiada:

— Stawcie bratu memu miodu i wina. Stawcie dobrodziejowi memu, bo się handlem uznoil.

I poił Tomasza i gościł, i świadczył mu, aż się ludzie dziwowali.

— Głupi on całkiem. Tenci wszystko bogactwo zagarnął — w dostatkach opływa — a ten głupi jeszcze go traktuje. Szczęście ma ten Tomasz!

A Tomasz podpisał sobie za miedziaki brata i w duchu już drwił z niego, a potem się rozczulił, i jał mu swe troski opowiadać.

Bydło tanio sprzedął, żonę miał swarliwą — z dzieci żadnej pociechy, z sąsiadem proces.

A co jedno rzekł, to Marcin go ścisnął — i dolewał miodu, i powtarzał:

— Pij, dobrodzieju mój — dziękuję ci, dziękuję!

Aż się Tomasz zdumiał, i rzecze:

— Zaco ty mi głupi dziękujesz? Upiłeś się!

Śmieje się Marcin, jeszcze raz go uściśnął, i za skrzypki ujął, i strojąc je powiada:

— Hej — jakże dziękować nie mam. Żeby ciebie nie było — nosiłbym twoje troski. Jęzga baba moja by była, i dzieci huncwoty, i sąsiad pieniacz.

I pociągnął smykem, i przygrywając zaśpiewał:

Duża woda płynie, a mały młyn miele,
Nie tenci bogaty, kto posiada wiele!

— Głupis! mruknął Tomasz.

Przez całą zimę Marcin wśród ludzi bywał.

Jak pszczoły na miód ciągnęła młódź do jego skrzypek i pieśni, i rozrywali go po zagrodach i siolach. Innyby grosz nawet zrobił — ale on głupi był, i tak go nawet nazywano.

Jak czas miał, to na rynku w miasteczku w błoto miedziaki ciskał, i śmiał się jak szalony — gdy gromady dzieci, a często i dorośli w błoto leżeli, i grzebali się w niem — szukając trojaka, — albo łowił wrony w samotrzaski i przyczepiwszy do szyi papierowego rubla — puszczał na swobodę — i szalał z uciechy — patrząc jak chłopaki ją gonili, czepiali się po drzewach na złamanie karku. Raz nawet na odpuszcie, gdy się nie mógł do kościoła docisnąć, jał z kruchty na cmentarz miedziaki ciskać, i tyle ludzi na nie wywabił, że szeroką drogą aż pod oltarz zaszedł.

Śmieli się ludzie z „głupiego Marcina“ ale go lubili, gościli i wolali. Gdy jednak wiosna przyszła, ledwie śnieg z pól stopniał, a wichur marcowy zaśszumiał, i dzikie gęsi otrąbiły swój powrót z wyrajów — Marcin przepadł bez wieści.

— Ciekawość, co też on tam robi, na swej skalni! pomyślał raz Tomasz, poglądając ku górcom

dzikim i jałowym, o które nikt nie dbał, bo na nich nic do zjedzenia i sprzedania nie było.

A pomyślawszy, że to święto było, poszedł przekonać się — jako tam „głupi“ żyje!

Ciężka była droga, wazka i stroma — nie ino kamień a glaz, i zioła dzikie w szczelinach — żeby się niemi koza nie napasła, a taka cisza, że tylko pszczoły po owych ziołach, żerujące, slychać było. Słyszał od ludzi Tomasz, że do Skalni potok zaprowadzi, więc ponad tą wodą szedł, i drapał się i czepiał, aż wydostał się na dolinkę małą wokół skałami otoczoną, a środkiem strumień ciekł, z glazami wojując i swarząc, co mu na drodze stały.

A na jednym z tych glazów wyciągnięty, Marcin leżał i grał na fujarce, zapatrzony w niebo.

Zawołał go Tomasz.

— Hej, Marcin, co ty tu porabiasz?

— Witaj, bracie! Ja ta czeladzi swej doglądam, i trzodę swoją pasę! odpowiada, podchodząc.

— Co za czeladź i gdzie trzody?

— A ot czeladź — słońce. Widzisz jak mi pole obrabia, a na niem trzoda hula. Nie słyszysz?

— To ty tu pasiekę założyłeś?

— A poco? Sama się założyła dla mnie. Jakem tu przyszedł, juści mieszkaly po szczelinach. Słodkie serce mają moje skały.

— A gdzie ty mieszkasz?

— Jako one trzody moje w skale.

— A czemże żyjesz?

— Potok mnie karmi i poi.

— Aha! — pstrągi masz — prawda! No, pokaż swe dostatki! śmieje się Tomasz.

Zaprowadził go Marcin do jaskini, chłodnej i suchej — pokazał pszczelne szczeliny — swe posłanie z ziół suchych, swe statki nieliczne, potem go ugościł rybą pieczoną i miodem, a wreszcie usiedli nad potokiem, i Tomasz radził mu mądrze, jako starszy młodszemu — jako rozumny głupiemu.

— Słuchaj, Marcin. Troskałem się o ciebie, ale widzę, że jeszcze i z tych skał można coś wydobyć. Dolinka może rodzić zboże, a nawet ogrodwinę — byle w nią pracy włożyć, uprawić, zieliska te i krzaki wykarczować. Możesz się przekarmić i na zimę grosz odłożyć — ino się rybą też starannie zajmij — nie leń się na targ zanieść. A już co pszczoły, to mogą cię wzbogacić, tylko je ze szczelin i skał trza wykurzyć — w ule porządne, i nauczyć, się jak koło nich chodzić, żeby dużo miodu złożyły. No, a grunt — trzeba drogę lepszą wykuć — żeby towar dostawić, albo i kupca tu ściągnąć. Ino mnie słuchaj — Marcin — ja ci dopomogę — ja cię na gospodarza wyprowadzę, tylko ty próżniactwo rzuć — oto najprzód — do drogi się weź. Słyszysz?

— Słyszę — prawdę mówisz — najprzód do drogi się wezmę! potakuje Marcin.

— A tę swoją głupią muzykę do wody cisnij.

— Słyszę — takci uczynię.

— I w jaskini jak niedźwiedź nie mieszkaj — bo to wstyd, i głupota!

— Jużem o tem myślał. Masz rację!

— Widzisz. Wszyscy ludzie mi rozum przyznają! Ino mnie słuchaj — na ludzi ciebie wyprowadzę!

— To pewna!

— Zróbże, co ci radzę, a ja cię znów kiedy odwiedzę — i pomogę, czemu sam nie dasz rady — a teraz mi czas wracać do domu, bo żona będzie nierada, do zobaczenia, Marcin, a ot przeprowadź mnie do onej gardzieli nad potokiem, co się to po świerku ją przechodzi. Trzeba tam będzie most wymyślić lepszy — dla ludzi — nie dla kóz.

A gdy stanęli nad ową przepaścią — Tomasz długo i szeroko rozpowiadał, jak dla wygody kupców i znajomych — trzeba przejście uczynić — a Marcin słuchał, przyglądał się, rozważał, i wreszcie, gdy brat go pożegnał i odszedł — jeszcze tam pozostał.

Na twarz mu uśmiech wrócił, popatrzał za Tomaszem, i siekierkę wyjąwszy z za pasa — jął świerk rąbać.

— Jakes chciał — próżniactwo rzucę. Najprzód do drogi się wezmę! mówił do siebie ze śmiechem. Rąbał, aż z trzaskiem świerk się w potok zwałił.

— Teraz do mnie ino sokoły przylecą, mówi Marcin — i tylko tęcza za most będzie. No, już kto przez tęczę do mnie przyjdzie — temu sprzedam nawet siebie!

Zatknął za pas siekierę — ruszył z powrotem, i rozmyśla.

— Co ci ten rozumny drugiego kazał uczynić? Aha muzykę do wody cisnąć. Jaki to on wiedział co fujarka lubi! Mądry, bestya!

Wyjął z zanadrza fujarkę — w potoku ją odmoczył, i grając, poszedł dalej. Wieczór nadchodził, ociężałe miodem pszczoły ściągały się do szczelin, mruczając — i obsiadły skały — Marcin na nie popatrzał, i jął do nich prawić.

— Słyszeliście, dzieci, jako on wam groził. Kurzyć was, i z domu wyganiać, w niewolę zamknąć. Trutniom żądla sprawcie, i naślijcie ich na niego! A ja was nie dam, ani waszej złotej krwi na targ nie poniosę — ino mi grajcie i śpiewajcie!

Za góry chyliło się słońce — spojrzął na nie.

— Legaj spać czeladko — nie będziesz mi kapusty ni cebuli uprawiała — nie bój się — hodowałaś mi zioła i kwiaty — i hodować będziesz!

Nad potokiem, wśród ziół się wyciągnął, i było w dolinie granie wieczornych pacierzy pszczoł, i fujarki — a zewsząd cisza, ino pstrągi pluskały i strumień na glazach mruczał.

Wieczór się czynił. Marcin fujarkę odłożył, i założywszy ręce pod głowę, rzekł:

— Mądry Tomasz. Powiedział, że wstyd i głupota w jaskini mieszkac, kiedy tu w owych miętach i melissach — tak miękko i wonnie, a pod niebem tak rozkosznie.

Juści zrobię — jak radził!

I zasnął!

MARYA RODZIEWICZ.



ZAKĄTEK WIEJSKI

ALFONSA KANIGOWSKA

Z FANTAZJI

I.

GWIAZDKA

Wśród ciszy zapadającego mroku świat nabierał powagi i tajemniczości.

Zmęczone blaski dnia udały się na spoczynek, natura oddychała wolno, otulona puchowym kołdercem śniegu i blaskiem napływającej nocy.

Cisza, w której się wszystko skupia i zamyka...

Cisza, w której wszechświat czerpie ukojenie.

Cisza uroczysta, w którą wsluchawszy się, czujemy życie pozagrobowe, idące ku nam...

Cisza błogosławiona, w której każdy widzi swoje „ja“ i wypowiedzieć go może.

Pusto dokoła, a jednak wśród tej zamarłej na pozór przestrzeni, nie czujemy się samotni. Postacie jakiegoś przejrzyste, nieuchwytnie, bezcielesne

otulają nas, to drugie „ja“ wyzwala się z zupełną naszą samowiedzą, czujemy się niby słabsi, a jednak więcej skupieni, i przygotowani do wymiany komunii duchowej, którą w tej chwili z niewidzialnymi spożywamy!...

I cichnie skarga, osycha łza, a każdy z wiarą podnosząc wzrok w górę, szuka gwiazdki drżącej, która dla niego jest symbolem nadziei i odrodzenia. Milkną złe instynkta, fermenty osiadają na dnie, a człowiek jakby uszlachetniony nastrojem chwili, łączy swój szepc z modlitwą, którą natura odmawia.

Jechał powoli, niespokojny i zamyślony.

Na napiętych strunach jego duszy odbijały się wszystkie szepty i drżenia natury, w którą czuł się teraz tak silnie wcielony, że chwilami zatracił w sobie poczucie indywidualności. Płynął, oddychał i modlił się wraz z nią. Były to jakby wyzwoliny ducha człowieka, który czas dłuższy żyjąc zupełnie samodzielnie nauczył się naturę rozumieć, czuć i z nią rozmawiać.

Niespodziewanie wyrwany z tych warunków, wracał do domu z sercem pełnym radości, obawy i nadziei. Chwilami wydawało mu się to wszystko snem rozkosznym i w rzeczywistość tak czarowną nie wierzył.

Rozgląda się dokoła, i znajome strony powoli rozpoznaje i wita. Zmieniły się trochę. Pamięta, tutaj stała chatyna starego Jana—niema jej teraz. Podjeżdża bliżej—stos gruzów; spaliła się widocznie. A ta aleja, po której jeździł konno, jakże drzewa wyrosły i spotężniały!

Im więcej się zbliża do celu, tem bardziej zaczyna żyć gorączkową przyszłością, a przeszłość niknie przed nim, jak ślad na śniegowej drodze.

Tak wszystko uległo wpływowi czasu!... Czy wszystko?...

I niepokój zaczyna go toczyć!

Pamięta teraz coraz lepiciej... Tam na wzgórzu stał krzyż, który zawsze obsiadały wrony. Obraca się, by go dojrzeć. Dzięki Bogu stoi, tak jak dawniej wyciąga potężne ramiona w górę... Więc uchyla czapki z pokorą i szepce dziecianną modlitwę, a dusza jego wezbrana różnorodnymi uczuciami, z krzyża pnie się ku niebu i szuka gwiazdki drżącej, czy już się zapaliła, czy zaświeci dla niego?

Niema jej jeszcze—to dobrze, więc się nie spóźni!...

Teraz otoczenie znika mu zupełnie z oczu, żyje tylko pragnieniem, przyszłością!...

Czekają tam na niego... I Ojciec stary i Matka drżąca i wszyscy!... Ale czy ona czeka? Ona—jedyna!...

I znowu wszystko gaśnie w jego pamięci i ją jedną widzi przed oczyma taką, jaką była w chwili pożegnania i rozłąki, drżąca... złamaną, ze łzą w oku!...

Jaką jest teraz, o Boże!...

Czy zapomniała?... Czy kocha? Lat parę, to szmat czasu... Serce jest zmienne... Dawno nie miał wiadomości!...

Jakiś czarny ptak spłoszony przelatuje mu nad głową. To zły znak... Wstrząsa się cały!.. Prędzej jedź... jedź!

I mkną teraz lotem błyskawicy po wysłanej puchem drodze.

Zgrzytnął kołowrot, zaszczekały psy... już są we wiosce. Obawa i pragnienie nim szarpia!... Jeszcze chwil parę... Stój!...

Biała postać wybiega ku niemu... Chwyta ją w ramiona... tuli drżąca z radości. Jedyny! Ukochana!...

I pomimowolnym ruchem wznoszą oczy w górę... a tam w tej chwili zadrgało blade światelko, które dla nich luną pożaru oblało świat cały!...

Była to gwiazdka szczęścia!

II.

GWIAZDA

Gorączkowy ruch na ulicach zaczynał ustawać i stygnąć. Życie, niby żywe srebro, stoczyło

się do domów i ognisk rodzinnych, gdzie pełnem było tętnem.

Czasami zadudniła dorożka, wioząc tajemniczą postać, lub wyslizganym chodnikiem przemknął spóźniony przechodzień, ze spuszczoną głową, z podniesionym kołnierzem—może jaka biedna, bezdomna dusza, na którą nikt nie czekał. Tam dalej pod murem przesuwiał się pomalutko jakiś biedak, wlokąc swą niedolę do domu, a po drugiej stronie ulicy leciał typowy pauper, zawsze pełen weselości i humoru, pogwizdując swobodnie. Coraz mniej gwaru, który już tylko echem dolatywał z dalszych punktów miasta.

Cisza—jak ukojenie po gorączce.

Cisza—niby próżnia po wystrzale.

Cisza—jakby wytechnienie przed burzą.

Spojrzyś przed siebie—miasto wymarłe!...
Spojrzyś po oknach—wszędzie życie i radość!!

A ten świat malutkich taki podnosi gwar przy choince, że gdy przechodzisz pod domami, splywa na ciebie potok ich weselości, budząc przebrzmiałe echa minionych lat...

Już na ulicach pusto zupełnie; czasem tylko dochodzi jakby odgłos oddalonego grzmotu, lub szcęk żelaznej, pośpiesznie zasuwanego okiennicy. Pod ścianą małego domku na oddalonych ulicy przemyka jakiś cień prędko, czasem się zatrzyma, spojrzy w niebo badawczo, wstrząśnie się cały i mknie dalej. Chłopczyna niewielki, obdarty, w czapce tak dużej, że mu spada na uszy, z wybladłą twarzą i pięknymi oczyma. Leci, śpieszy się; widocznie mu pilno; tylko od czasu do czasu podnosi wzrok w górę, jakby szukał czego. Z jednej kieszeni kubraczka wychodzi mu mała, może łokciowa wiotka sosenka, podarek sprzedającego choinki na placu, któremu cały dzień pomagał. Niesie ją teraz z radością do domu, trochę późno, ale nie mógł się wcześniej uwolnić. A gdy w drugiej (którą zbadał, że nie dziurawa) zagruchotają orzechy, to jest tak szczęśliwy, że zimna, które go przejmuje, wcale nie czuje.

A był to dzień prawdziwie wyjątkowy dla niego i teraz wszystkie te obrazy, niby czary w bajce, przesuwają się w jego pamięci. Naprzód—to nie były byle jakie choinki, tylko prawdziwe sosny, tak duże, jak w lesie rosną. Cudne, pachnące, wśród których Janek zupełnie chował się chwilami. Kupowali je same bogate państwo, którym—jeżeli wybrali takie drzewko, że mógł mu dać radę—odnosił do domu, za co dychy sypały się do jego kieszeni. Do południa uzbierał całe cztery złote, które, gdy zliczył, aż mu się gorąco zrobiło z radości. Boże! co on za to nakupi!... i jak do domu doniesie... Matulę zostawił bardzo chorą, ale ona pewnie na gwiazdkę wyzdrowieje, podniesie się, by zrobić porządek w stancyjce, oblec czystą bieliznę, małej Hance zgotować barszcz z kartoflami do śledzia. Więc dla niej kupi trochę cukru i herbaty, a dla Hanki co? A, prawda, ma orzechy. — Z temi orzechami to znowu była taka historia. Gdy wciśnięty między choinki liczył swoje pieniądze, przychodzi jakaś pani i wybiera

największą sosenkę i bez targu kupuje. A tak przy tem szeleści, że Janek wciąż ją ogląda dokoła, bo pewnie przyczepił się jej jaki papier do spódnicy. Gdy trzeba było drzewko zabierać, Janek zaraz skalkulował, że będzie potrzebna doróżka, więc poskoczył prędko, by ją zawołać i gdy podjechała, zaczął się borykać z sosenką, by ją z szeregu wydostać. Piękna pani miała kilka małych paczek w ręku. Wtem, przypadkiem, zaczęła jedną z nich o drzewko i Janek widzi na śniegu toczące się prawdziwe srebrne i złote orzechy!... Zaczyna je zbierać, by oddać. „To już dla ciebie”—mówi piękna pani i nadto wciska mu czterdziestkę w rękę. Więc jakże Janek nie ma lecieć lotem ptaka do domu, kiedy do samego wieczora tak mu się szczęściło, że nalapał dużo dych, musi pewnie z rubla, on się na tem zna. Więc po drodze kupił jeszcze małą strucelkę i paczkę pierników, a gdyby było potrzeba, to i na japtkę miał pieniądze. Więc biegnie prędko, spieszy się, i tylko patrzy w górę czy gwiazdka już nie świeci. Nie, on się nie spóźni, będzie na czas. Ścisną pod pachą węzelek, w którym prócz strucli i pierników jest jeszcze herbata i cukier dla matki i myśli sobie: „To będzie pańska Wilja, co się zowie”. Już niedaleko do Powiśla, widzi w niektórych oknach małych domków pozapalane choinki, i staje jak wryty. Boże! a świeczki?... Ale te pewnie drogo kosztują... Lecz w tem przypomina sobie, że roku przeszłego matula schowali na piccu trochę stoczka, mówiąc: „Daj Boże do przyszłego roku!”, więc rodość powraca i przyspiesza jeszcze kroku. Już niedaleko, tylko domów parę. Przebiega dziedziniec, wpada na trzeszczące schody małego domku, stojącego w głębi. Jest już pod drzwiami... Jakos cicho... Wchodzi.

Przy bladym świetle lampki widzi matkę, leżącą na łóżku, tak jak ją rano zostawił, ale jakże strasznie zmieniona! Mała Hanka śpi w łóżeczku. Jakaś złowroga groza i cisza okala wszystko... i jego od razu przejmują...

Przysuwa się do łóżka ze strachem... Chora otwiera oczy...

Dzięki Bogu, żyje!...

— Ach! to ty Janek—mówi z wysiłkiem zmienionym głosem,—przyszedłeś... Doczekałam się ciebie...

— Matulu, co wam jest? Może doktora. Przyniosłem dla was cukru, herbaty i na japtkę mam pieniądze. Bądźcie zdrowi, matulu!...

— Dobre dziecko... błogosławię cię...

On przypada do łóżka bliżej i osuwa się na kolana...

— Matulu, matulu będziecie żyli i zdrowi, lecę po doktora...

Kobieta drżącą ręką kładzie mu na głowie... i szepce urywanym głosem:

— Był... tu tatulo... by mnie wziąć... Bóg miłosierny nad sierotami!... Pamiętaj tylko... dziecko moje, żyj ucziwie!...

Urywa... Słów jej brak... Twarz jej przybiera woskową barwę... On czuje, że się dzieje coś strasznego i wybucha płaczem!...

— Cicho... dziecko... Hanke obudzisz. Wola Boska!... On nad wami opieką!...

Chwila strasznej ciszy...

— Ja lecę do japtki—mówi Janek przez łzy, i podrywa się, by iść.

— Daj pokój... dobre dziecko... to już niepotrzebne! Błogosławię was oboje... Wołają mnie tam!...

Milczenie...

Nagle robi bezsilny ruch, jakby się chciała poderwać z pościeli...

— Widzisz... widzisz Janek...

Twarz jej rozpromienia się nagle... oczy błyszczą dziwnym blaskiem... a usta szepcą urywanie:

— Tam, niedaleko... patrz... jaka piękna, jasna świeci, zbliża się do nas... drży... blask jej gasi wszystko. Patrz... patrz... Niebo się otwiera... To Bóg!...

.....

Była to gwiazda nieśmiertelności.

ADAMOWA HR. RONIKIEROWA.

NAJLEPSZA OPIEKA

Płakała matka, że musi odejść z tego świata i zostawić małą córeczkę sierotę, lecz Anioł-Stróż dziecinny pochylił się nad umierającą i pocieszał ją temi słowy:

„Nie płacz, niebogo, żalem nie zatruwaj ostatnich chwil na ziemi. Ty wprawdzie odchodzisz, ale ja zostaję i czuwać będę nad twoją dziewczynką. Nie trwoż się, ja usunę z jej drogi ostre kolce i ciernie, a jeżeli brzemię życia będzie dla niej zbyt ciężkie, to ja go nieść pomogę.

„Bądź spokojna o jej duszę: ja nie dopuszczę, żeby chwasty i kłakole zagłuszyły w niej dobre ziarno, białymi skrzydłami osłonię przed palącym powiewem namiętności, nad brzegiem przepaści powstrzymam.

„Utul się biedna i pomnij, że sieroty są szczególnie umiłowane przez Boga i ludzi“.

Matka łzy otarła, ostatnim pocałunkiem pożegnała dziecinę i duch jej uspokojony odleciał w strefy niebieskie.

ZOFJA SOKOŁOWSKA.

Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA

„... *Deus in adiutorium meum intende!*...“

Po nierównym, ostrym bruku, przez zaułki zamieszkiwane przez nędzarzów, śpieszy ksiądz, szeptać urywane słowa modlitwy.

— ...*In adiutorium...* i gdzie to może być?... *meum...* — noga księdza potrafiła o jakiś łachman wstrętny, — *intende!*... na prawo, czy na lewo?

Kapłan posuwa się dalej. Już i ostrych kamieni nierównego bruku zabrakło, gdzie stąpisz, grzązkie, cuchnące błoto. Niekiedy obdartus jaki przejdzie przez drogę, a podniósłszy ku księdzu twarz wynędzniałą, lub od pijaństwa obrzękłą, patrzy nań świecącymi chytrąściami oczyma.

Ksiądz usiłuje przypomnieć sobie:

— Siostra mówiła: na prawo... potem wprost... znów na prawo... na lewo... parkan... ostatni dom, na żółto malowany...

...*In adiutorium meum intende...*

Ksiądz idzie wzdłuż parkanu, kończąc swoją wędrówkę.

W oknach niskiego domku naprzeciwko ukazują się głów kilka; ciekawe spojrzenia gonią za kapłanem.

— Patrzaj, Magda, ksiądz! — woła ktoś głośno.

— Gdzie?

— A dyć idzie...

— Do kogo?

— Musi, do Błazeja...

Ksiądz tymczasem wypytuje napotkaną babinę, która mu się mniej odrażającą wydała, o ostateczne wskazówki.

— Jak? Ogarek? nieznam... Błazej? a, już wiem!.. to ten z krzywą gębą... tędy, proszę dobrodzieja, w tej sieni na lewo... ostatnie drzwi, takie niziutkie, w samym kącie...

— Dziękuję.

— O, niema za co...

* * *

Ksiądz puka do drzwi wskazanych przez babinę i nie czekając zezwolenia, otwiera je. Wchodzi za próg, drzwi zamyka za sobą, atoli w tejże chwili cofa się. Uderza go tak ciężka, przesycona złością wyziewami atmosfera, że go o zawrót głowy przyprawia, więc pozostawia drzwi otwarte.

— Drzwi zamykać! drzwi zamykać! — odzywa się gniewnie chrapliwy głos z kąta.

Na żelaznym, kulawym łóżku pod ścianą, zasłanym łachmanami, otulony w brudne szmaty, leży człowiek bardziej do szkieletu, niż do żyjącego człowieka podobny.

Gdy kaszle, pierś jego wznosi się, wzdyma niepomiernie, zda się pęknąć musi, poczem zapada z rżeniem straszliwym.

— Czy bardzo cierpicie? — pyta ksiądz z współczuciem, zbliżając się do łóżka.

Suchotnik obrzuca kapłana niechętnym spojrzeniem i próbuje unieść się na rękę. I on jęczy i łósko pod nim wtóruje mu żałośnie, jakby i ono dość już miało wysiłków ciągłych.

Ksiądz przysuwa sobie jedyne, połamane krzesło, siada jak najbliżej chorego, mimowiednym ruchem unosi sutannę i poczyną mówić.

O, dobry to człowiek, ten ksiądz, a taki jeszcze młody. Szybko przywyka do duszącej go atmosfery i mówi, mówi, tak łagodnie, serdecznie...

Nędzarz zrazu zachnął się kilka razy, odwrócił głowę do ściany i słuchać nie chciał, potem słuchał obojętnie, wreszcie zwolna twarz zwrócił ku mówiącemu i słuchał weń zapatrzony. A ksiądz mówił nieprzerwanie, z jednakim zawsze współczuciem, z jednaką łagodnością.

Skończył, zaległa cisza.

Chory przerwał ją pierwszy:

— Czy wiecie co mnie trapi okrutnie... okrutnie... oto, że ja tam odchodzę w takiej nędzy... nie mam nawet koszuli na grzbiecie... póki tu jestem, mniejsza o to, ale tak odejść... — szarpnął kościstymi rękami pierś wychudłą i z nowym wysiłkiem, nowym buntem w gasnących oczach, rzucił jeszcze: — Czy myślicie, że gdyby naprawdę Bóg był nad nami, pozwoliliby mi tak zdychać... jak psu? bez koszuli? i jakżeż mnie bez niej pochowają?..

Znać myśl o koszuli była ostatnią, upartą myślą, tkwiącą z chorobliwą zaciętością w mózgu umierającego.

— Czy tylko o to wam chodzi? — zapytał ksiądz ze słodkim prawie uśmiechem.

— Jakto, tylko o to?.. Dobrze to mówić komuś, kto nie zapragnął niczego...

Ksiądz nie namyślał się ani sekundy. W jednym mgnieniu oka zamknął drzwi na zasówkę, stanął w głowach łóżka, tak, żeby go chory dojrzeć nie mógł i po chwili... podszedł do niego, podając mu własną swą koszulę.

— Co to... dla mnie... koszula... dla mnie? — wybełkotał suchotnik.

— Zaraz ją włożę... zaraz... nigdy jeszcze nie miałem takiej koszuli w ręku... — mówił gorączkowo, jakby w obawie, żeby mu tego skarbu nie odebrano.

Ksiądz, zapanowawszy nad mimowolną odrazą, dopomógł nędzarzowi włożyć koszulę. Dziecięca radość zajaśniała w oczach suchotnika.

— A widzisz biedaku, — odezwał się kapłan, z łagodną powagą — widzisz, że jest Bóg nad nami... Trzeba się z nim pojednać, przebłagać Go za winy wszelkie. I On był biednym i kochał maluczkich i nędzarzów... Ty cierpisz... masz nędzną izbę, ale zawsze masz choć dach nad głową, On miał tylko krzyż... No, no, opowiedz mi, mój przyjacielu, jakże to tam było... może to i czterdzieści lat minęło od czasu, jakieście po raz ostatni byli u spowiedzi?..



NA FALI

— Czterdzieści dziewięć... — wyszeptał chory po namyśle.

— O, to będziemy mieli dużo do roboty...

W godzinę później, ksiądz powracał krokiem lżejszym aniżeli był przyszedł. Towarzyszyły mu znowu ciekawe spojrzenia, szepty, uwagi głośne, lecz on nie widział ich i nie słyszał. Szedł w skupieniu ducha, szczęśliwy, że jutro powróci tutaj z panem Jezusem, z Olejami Świętymi.

Słońce chyli się ku zachodowi, powietrze wydaje się księdzu mniej duszne, mniej przykre... Mija parkan, mija zapadły domek jeden, drugi, gdy nagle, niewiadomo z kąd, świsnęło coś w powietrzu i stłuczona butelka, napełniona brudną wodą, obryzguje sutannę.

Ksiądz zatrzymuje się zdumiony, wyjmuje chustkę, ociera ubranie i rozgląda się, żeby dociec z kąd mógł pochodzić nieprzewidziany pocisk. W tem pod ścianą narożnego domku, spostrzega wyrostka, może trzynastoletniego, na wpół schowanego za drzwiami odemkniętymi, i schylającego się właśnie po jakiś przedmiot, leżący na ziemi, którym szykował się widocznie cisnąć znowu w księdza.

Krew zakipiała w studze Bożym. Obiema rękami unosi sutannę i puszcza się w pogoń za chłopakiem. Gniew, zwykły gniew człowieka niesłusznie

skrzywdzonego, unosi go i dodaje mu chyżości. Już, już dogania wyrostka, który odrazu zrozumiawszy zamiar księdza umyka co ma siły.

Biegną wzdłuż parkanu, wyrostek dopada wreszcie ostatniego domku, znika w sieni i krzyczy przeraźliwie jakby go zarzynano:

— Ojczel! tatusiu, ksiądz chce mnie bić!

Za chłopcem wbiega kapłan zdyszany, czerwony, z kapeluszem w rękę, z pozlepianymi włosami nad czołem. Przeształ próg, który opuścił przed chwilą.

— Co tam?.. co się dzieje?..

Chory unosi się z wysiłkiem a w oczach jego widnieje śmiertelny przestach.

Ksiądz siada przy łóżku, ociera pot z czoła i mówi łagodnie:

— E, to nic... to tylko wasz syn chciał mi podziękować...

Oczy chłopca spotykają się ze wzrokiem kapłana. Lecz w tym wzroku niema już gniewu, a tylko wielka, bezmierna dobroć i równie wielki smutek.

Chłopiec przez chwilę patrzył z podełba, potem posunął się niezgrabnie i z pokorą pocałował w rękę kapłana.

Ten zaś głowę przytulił do piersi i szepnął mu do ucha:

— Ja tu wrócę jutro...

ZOFIA SEIDLEROWA.

JASNOTKA

OBRAZEK Z ŻYCIA

Promień letniego słońca, przedarłszy się przez zapelniające okno pelargonie i balsaminy, dostał się długą ukośną smugą do wnętrza chaty wiejskiej, zalewając ją jasnością. Biedna to była chata, ciemna, brudna, zadymiona, z powietrzem nasyceniem wyziewami. Ożywiały ją jedynie rozwieszane dokoła ścian, pod sufitem, jaskrawe obrazy Świętych, przystrojone w mniej lub więcej poschle kwiaty. Słońce oświeciło kąt izby, w którym stało proste łóżko, a na niem pod szarą plachtą leżał cień istoty ludzkiej: dogorywające na suchoty złotowłose, modrookie dziewczę.

Rozszerzone cierpieniem i gorączką źrenice chorej błędziły po obrazach, lub gonily za pyłkami, migającymi w świetlanej smudze słońca, to znów szukały wzroku matki, która, pełna wewnętrznego buntu na wyroki boskie, siedziała przy łóżku ukochanej córki z wyrazem złym i zaciętym, obojętna na szczebiot i pieśczoły młodszej dziewczynki.

Nikt ze wsi nie odwiedzał osamotnionych kobiet, bo pomimo iż chora Marysia, Jasnotką przezywana, lubiana była przez wszystkich, od matki, kobiety złej i klótlivej, stronili sąsiedzi i znajomi. Smutek więc tylko i cisza panowały wokół nich.

— Matulu — szepnęła Jasnotka — nie smućcie się, mnie już dobrze, dziś mię nic nie boli i niczego nie potrzebuję, bo niedługo już mnie ziemia święta przytuli. Jeno was mi żal, że już wam ani w polu, ani w izbie nie pomogę, i do dworu na zarobek nie pójdę. I żal mi tego słonka dobrego, że go już oglądać oczy moje nie będą. Weźcie mnie, matulu, przed chatę, tak dawno leżę tu na posłaniu, nic nie widzę przez okienko, a czuję, że na świecie tak ładnie, taką piękną dał Pan Jezus pogodę na moje z tego świata odejście. Weźcie mnie przed chatę, bo mi tu w tej ciemnej izbie straszno umierać.



Wieśniaczka, choć niezupełnie świadoma przyczyny podobnego żądania, zadosyć uczyniła prośbie chorej: położyła przed chatą garść słomy, poduszkę, zaslala plachtę i przeniosła tam, lekką jak dziecko Jasnotkę, tak wynędzniałą, że jedynie jej grube płowe warkoczki ciężyły.

Ułożona przed chatą Jasnotka, zrazu spieszniej oddychać zaczęła, lecz po chwili pod wpływem blasku promieni słonecznych, drogich jej drzew wiśniowych i kwitnących malw, odetchnęła lżej; ogarnął ją spokój wielki, i obok miłości dla matki swej i siostry, poczuła nagle w sercu wielkie kochanie dla matki-przyrody, spostrzegając to, czego nigdy dawniej nie widziała.

— O, matulu — zawołała — Bóg ci zapłać, żeś mnie tu wyniosła! Świat taki piękny, a ja go muszę żegnać, choć się nim jeszcze nie nacieszyłam. Słonko nasze codzień świeci, codzień grzeje, a ja tyle dni go już nie widziałam. Chmurki spieszą gdzieś jedna za drugą, biegną, płyną, a ja bez sił leżeć muszę, i tylko dusza moja, jak one chmurki, uleci niedługo daleko od ciebie. Ptaszka wszystkie wyśpiewują Panu Jezusowi na chwałę, tylko ja biedna już nie będę pieśni mych śpiewać ni w kościele przy modlitwie, ni w polu, ni w domu przy pracy. I listki, matulu, szeleszczą, zielenią się, a choć na jesień zginą, z wiosną znów wrócą, dla mnie tylko wiosna już nie wróci, nie zakwitną lica moje, nie będzie już dla mnie ni wiosny, ni pól zieloności, ni ptaków śpiewania, ni słońca świtania. Oj, matulu moja, żal słońca, żal ptaszek, żal kwiatków, żal ciebie, matulu, bo ci już nikt w pracy nie pomoże, nikt z pańskiego zarobku nie przyniesie. Jam była twoja jedyna pomoc, a porzucić cię muszę. A co ja ci zostawię po sobie? Nijakiego nie mam dziedzictwa; jedno co mam, to ci oddam. Weź, matko, utnij moją jasną kosę, co mi się z głowy zwiesza, co mi była ozdoba, gdy z dziewczętami do kościoła, czy w pole chodziła, ona mi na tamtym świecie nie będzie potrzebna. Weź, utnij ją i sprzedaj. Masz dziecko w chacie, robotnicę ci ziemia zabiera, rady innej nie dasz, weź, utnij tę moją kosę i sprzedaj.

Blagalnie wyciągnęła do matki przejrzyste swe ręce, z których długa choroba starła już ślady pracy i słońca, i tak mówiąc, ukojona pięknem przyrody i zajęta troską o los ukochanych, w przecuciu innej szczęśliwości, zapomniała, że cierpi, że drogie życie żegnać musi... Gdy wyczerpana, przymknęła w końcu powieki, marzyła jeszcze o niebie, o słońcu, o chmurach, i zdawało jej się, że śpiew ptaszek i szum liści do snu ją kołyszą.

I tak ukołysane zasnęło dziewczę snem wiecznym u progu chaty, u stóp matki swojej, w objęciu — Matki-Przyrody.

MARJA SOBOLEWSKA.

MAMUT

OBRAZEK Z ŻYCIA WIEJSKIEGO



Wcale okolicy nazywali go mamutem. Nie gniewał się o to wcale, z lagodnym i smętnym nieco uśmiechem odpowiadał dawnym sąsiadom, którzy mu przy powitaniu z lekko rubaszną dobroduszością dawali to przezwisko.

— Jak się masz stary mamucie? — mówili, wstrząsając serdecznie, z pewnym politowaniem, rękę pana Stanisława, dziś ekonoma małego folwarku, dawniej właściciela i zamożnego obywatela.

Czy zasługiwał na ten złośliwy przydomek? Czy rzeczywiście tak się różnił od teraźniejszych ludzi, że przywodził na myśl przedpotopowe zwierzę i dlatego zwracano uwagę na człowieka tak podrzędne zajmującego stanowisko? Wieś wprawdzie nie obfituje w często zmieniające się wrażenia, przedmiotów godnych obserwacji jest nie wiele, a wspólna praca przy roli łączy ludzi i brata bogatych z ubogimi; stary zaś pomocnik gospodarczy (przez grzeczność nie nazywano go ekonomem) nie zawsze zajmował obecne, skromne stanowisko. Znali go tutaj wszyscy, a starzy ludzie pamiętali, jaki to był dostatek w domu jego rodziców i jak stopniowo upadała można rodzina z dawna w tych stronach osiadła.

Folwark za folwarkiem odpadał od dóbr, niegdys rozległych, aż przysła chwila, kiedy ostatnią wioskę zabrali wierzyciele.

Pan Stanisław, ocaliwszy zaledwie maleńki kapitałik, zapewnił nim byt siostrze, starej pannie, mieszkającej przy rodzinie w mieście, sam zaś, przyjął obowiązek ekonoma, w tej samej wiosce, której był dotąd właścicielem.

Nie świetne i nie intratne było to stanowisko. Pięćdziesiąt rubli rocznej pensji, stół i mieszkanie. Ale nasz stary mamut nie wielkie miał potrzeby; buty i kozuch na zimę, kitel płócienny na lato, bielizna i trochę tytoniu, oto wszystko, co mu było nieodzownem.

Nowy właściciel Plewki nabył ją za ostatni grosz na licytacji, nagłące tylko pospłacawszy długi, z reszty ciężarów obiecując sobie „wyrobić się“, oszczędzał więc, skąpił prawie sobie i domownikom. Stół we dworze mało co się różnił od czeladniego, ale pan Stanisław nie skarżył się, nie dbał o dobre jadlo; kluski, zsiadłe mleko, kartofle wybornie zaspakajały głód, a świeże powietrze i praca dodawały apetytu i czyniły smaczne, najskromniejsze potrawy. Tym, którzy się dziwili, jak może wyżyć w warunkach nieodpowiednich swemu wychowaniu i przyzwyczajeniom odpowiadał wesolo, że jeżeli pensja i wikt zostawiały nieco do życzenia, mieszkanie za to miał

wspaniałe, „w pałacu“, jak miejscowi mieszkańcy nazywali ruderę w głębi ogrodu.

Było podanie, że w tym starym, modrzewiowym dworze nocował Karol XII, w tej właśnie wielkiej sali, zajmowanej obecnie przez pana Stanisława. Resztki spróchniałej posadzki i jakieś sztukaterie na suficie przypominały dawną świetność, a owe wspomnienia musiały najzupełniej zadawałniać obecnego lokatora, bo nie skarżył się nigdy ani na drzwi odmykające się z trudem i w ziemię zapadłe, ani na wiatr dostający się licznymi szczelinami, ani na łasice plądrujące w wydętych ścianach.

Urządził się w tej wielkiej izbie jak najwygodniej, każdemu jej kątowni inne dając przeznaczenie. Łóżko z zawieszoną nad nim torbą, dubeltówką i rogiem do prochu, stół założony najrozmaitszemi rupieciami, kilka stołków i stara, włosienią kryta kanapa, stanowiły właściwe mieszkanie, reszta zajęta była na składy.

Paki z instrumentami muzycznymi stały przy piecu, bo pan Stanisław choć nie znał ani jednej nutki, grał, a co więcej, wyrabiał i naprawiał skrzypce, flety, bębni, na wiosnę zaś wycinał przesliczne fajarki, któremi obdarzał wiejską dźwiatwę.

Obok leżały narzędzia gospodarskie, sierpy, noże ogrodnicze, oselki, nożyce a nad tem wszystkim wisiała półka z rękopisami. Taką nazwę nosiły zeszyty starannie poprawiane, pełne wierszy a nawet całych poematów, przepisanych z pożyczonych książek. Pan Stanisław bowiem lubił namiętnie poezyę, umiał na pamięć i deklamował wszystkie swojskie najcelniejsze utwory a wiejskie dzieci wyuczał sielanek Lenartowicza i pieśni Pola. Najważniejszym jednak jego zajęciem, w chwilach wolnych od pracy, zajęciem, któremu oddawał się z szczególniejszem zamiłowaniem w święta i zimowe wieczory, było przyrządzanie lekarstw. Przez całe lato zbierał i suszył ziola, za pułapem, na rozpostartych matach, na oknach porozkładane były umiejętnie: kwiat lipowy, tysiącznik, żywokost, ślaz, dziewanna, rozchodnik, polna ostróżka; napelniały one izbę mdłym i dusznym aromatem. Od Wielkiej Nocy do Wszystkich Świętych znosił z okolicznych gór i lasów „badyle“ a w zimie tarł, mieszał i preparował leki, snać pomocne, bo mieszkańcy wszystkich okolicznych wiosek schodzili się do niego po poradę. On wszystkich znał, z wieloma był pokumany, starym nawet gospodarzom mówił po imieniu, dzieciom rozdawał suszone owoce, a gospodarzy częstował papierosami. Papierosy też miewał specyalnie dobre z tytoniu własnego wyrobu, któremu polna róża i wysuszone na słońcu bławatki dodawały szczególniejszego smaku i zapachu. Nikt jednak ze wsi całej nie miał u dawnego pana ta-

kiego zachowania, jak stary Pakuła; dla niego i jego dzieci łaska pana Stanisława była niewyczerpana. Uczył młodych czytać i katechizmu a starszym służył radą i interesował się wszystkim, co tylko odnosiło się do rodziny wieśniaka.

Już to nad dziwactwami pana Stanisława nie raz wzruszali ramionami sąsiedzi, „prawdziwy stary mamut”, powtarzali sobie; nie dość, że za jakąś przysługę, obdarzył Tomasza, służącego wówczas we dworze za karbowego włóką dobrego gruntu, nie posiadając nic już dla siebie, jeszcze się ciągle uważał za jego dłużnika. Mawiał, że mu Pakuła życie ocalił; miał też za co być wdzięczny, za życie wołu roboczego zaprzęgniętego do jarzma.

Inaczej przecież, niż cała okolica zapatrywał się pan Stanisław na swoją dolę. Nie skarżył się nigdy, był owszem wesół, zadowolony, cieszył się, że może żyć wśród tych, z którymi wzrósł i pracował na kawałku ziemi, który kochał nie samolubnie i uprawiał bez względu na to, czy jemu, czy innym, byle swoim, plon niosła w darze.

Nigdy, za nic ze stron rodzinnych oddalić się nie chciał. Kiedy ostatnią wioskę zabrali mu wierzyciele, krewni wystarali się dla niego o miejsce nadzorcy przy plancie kolei. Była to posada odpowiednia jego usposobieniu i zamiłowaniu do wsi; nie przyjął jej przecież mówiąc, że nie wyżyłby z dala od stron rodzinnych, od Wisły, a szczególnie od zamku janowieckiego, do którego miał przywiązanie, graniczące z maniactwem.

W zimie pracował nad modelem, odtwarzającym zamek w dawniejszej jego postaci; miękki kredowy kamień użyty w tym celu, poddawał się łatwo ciągłym przeróbkom niewprawnego i ciężką, spracowaną ręką kierującego zwykłym nożykiem artysty. Z wiosną zarzucał wszelkie domowe prace dla braku czasu, a natomiast rozpoczynał świąteczne po ziola w pola i na górę janowiecką wycieczki. Wszystkie małe żydowskie dzieciaki z miasteczka знаły go i wiedziały, że ten szczupły, drobny jegomość w białym kitlu, z grubą w końcu okutą łaską, to dawny dziedzic Plewki idący na górę.

Każdej niedzieli po południu z kajetem wierzchy w kieszeni ubrania i pękiem ziół zebranych po drodze, żwawym krokiem wspinał się po stromej ścieżce, rozpoczynał zwykłą po zamczysku wędrówkę. Znał tam każdy kamień, wszystkie przejścia i zaułki, rozpatrywał widoczne jeszcze gdzieś niedziele freski, odnajdywał miejsca, gdzie mogły być zamurowane skarby, zwiedzał podziemia ciągnące się, jak utrzymywał, korytarzem pod Wisłą aż do Kaźmierowskiego zamku, próbując oczyścić drogę z gruzu i ziemi. Baszta Franciszki Krasieńskiej, najlepiej zachowana, przyciągała żywo staro samotnika i można było często z dołu widzieć jego sylwetkę w pustej jamie okna. Zwrócony w stronę zachodnią, patrzył w dal, na odłamy rozsypującego się muru, sterczące na sąsiednich wzgórzach. Jedyna to pozostałość z myśliwskiego zameczku, wzniesionego, jak głosi podanie ludu, w ciągu jednej nocy, przez rozkochanego królewicza.

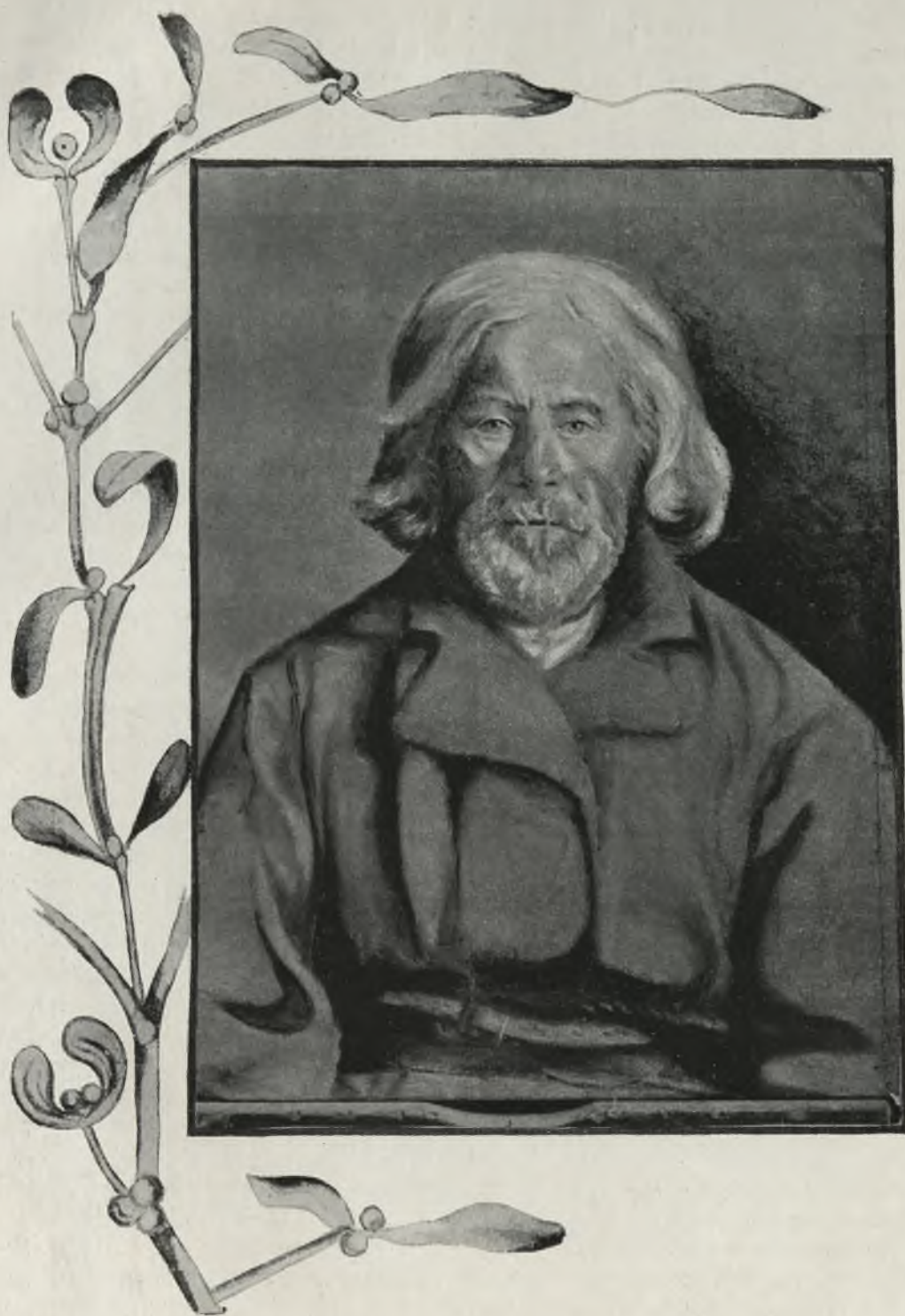
Przed zadumanemi oczyma pana Stanisława, widma przeszłości stawały jak żywe. Wążką, wijącą się wśród zarośli drogą, na spienionym rumaku pędził dostojny młodzian spoglądając z utęsknieniem na wysoko wzniesioną basztę i na rękę niewieścią, która mu z okien białą, rozpostartą chusteczką, dawała znaki, że ukochana czuwa i czeka.

Pogrążony w marzeniu o miłości i szczęściu, stary romantyk nie czuł chłodu i nie słyszał jęczenia wicherów panujących teraz wszechwładnie w odartej z okien i drzwi komnacie. Jeśli noc była piękna, nie wracał do domu, miał upatrzone dogodne miejsce na krużganku rycerskim, otaczającym obszerny dziedziniec, przeznaczony niegdyś na turnieje. Na tym krużganku lubił deklamować, gdy był pewnym, że jest sam i nikt go usłyszeć nie może, recytował z pamięci ulubionego Konrada Wallenroda albo „cóż mi po ludziach, czem śpiewak dla ludzi“ a wtedy drobna jego figurka podnosiła się, zdawała rosnać, głos potężniał a w oczach błyszczał ogień zapalu. Przed udaniem się na spoczynek obchodził całą górę, jak czujny właściciel swoją posiadłość i rozglądał się po okolicy. Dziwnie piękny widok roztaczał się wtedy przed nim.

U samych stóp miasteczka, mającego starożytny kościół w pośrodku, szeroko rozlana Wisła, odbijająca w sobie czerwoną tarczę księżyca, a obok w lewo pasmo gór niknące we mgle wieczornej. Z prawej znów strony, po za wstęgą wiślaną, stara Osmalicha, jakby siwowłosa matrona, rozsiadła się poważnie. Pokład jej kredowy nie daje życia najsłabszej nawet roślinie, grzbiet swój nagi i zgrzybiały opiera o wieńce iglastych lasów, czerniejących długą smugą na skraju widnokregu. Między cichym, jakby drzemiącym lasem a górami, na podgórzu, amfiteatralnie przysiadł starożytny Kaźmierz, z widną z dala, nawet przy księżycu, basztą strażniczą. Na baszcie czuwają duchy i obejmują znów w posiadanie dziedzinę Kaźmierzową; pilnie strzegą zamku, śpichrzów i Wisły królowej, a gdy na jej szerokim łonie, drogą od Krakowa, ukażą się zbożem ładowne galary, zadną radośnie w rogi, budząc z odrętwienia cały brzeg rzeki, aż do samego Gdańska.

Po spędzonej na zamku nocy, „pomocnik gospodarczy” wracał do domu przed wschodem słońca, otrząsał się z marzeń i smutku, energiczny, żwawy brał się do roboty; wydawał obroki, dysponował parobkom zajęcia, pilnował dojenia krów, pogodny i uśmiechnięty.

Ale od pewnego czasu, spokój umysłu pana Stanisława zaczął ustępować zafrasowaniu. Martwiły go co raz gorsze interesy właściciela wioski, który nietylko, że się nie wyrobił, ale przeciwnie, coraz więcej podupadał. Kilkakrotny wylew Wisły zniszczył zbiory i zmusił go do zaciągnięcia długu powiększając dawne ciężary. Nic nie pomogła oszczędność posunięta do najwyższego stopnia, wysilek i praca; borykanie się z biedą



STUDYUM

WANDA NAŁĘCZ CICHOCKA

było coraz trudniejsze, a pewność utrzymania się przy majątku coraz mniejsza.

Trzeba było wtedy widzieć pana Stanisława, jak wyęźzał umysł dla wynalezienia deski ratunku, i dzięki tylko jego szczęśliwym pomysłom, udało się zapłacić nie jeden naglący procent, wytargować nie jedną zwłokę. Przedłużyło to na czas jakiś egzystencję ale nie odwróciło ruiny.

Przyszła nareszcie czarna godzina, nie było czym zapłacić raty Towarzystwa i majątek uległ sprzedaży. Na szczęście Plewki nie kupił ani żyd, ani Niemiec ale jakiś doktor z Warszawy, szukający pięknej, zdrowotnej miejscowości na letnie mieszkanie dla żony i dzieci.

To wlało otuchę w serce pana Stanisława; ufał, że jego gorliwa praca będzie należycie ocenioną przez nowonabywcę, i że miejsce ekonomy nadal zatrzyma.

Przez zimę wszystko było po dawnemu. Nowy właściciel zostawił czas poprzedniemu na wyszukanie dzierżawy lub innego sposobu do życia. Z wiosną dotychczasowy jej pan opuścił Plewkę, a pan Stanisław porobiwszy porządki w ogrodach i gumnie, oczekiwał z niepokojem nowego dziedzica.

Przyjazd ów nastąpił nareszcie. Jednego z pierwszych dni kwietnia, zajechała przed dwór dorożka z Puław, ale z niej wysiadł nie dziedzic,

tylko młody agronom, na rządcę przyjęty. Po obejrzeniu gospodarstwa, przybyły oświadczył, z wielką co prawda delikatnością, że jest ono bardzo zacofane, że potrzebuje jaknajwiększej, najradykałniejszej reformy, i że nowy dziedzic życzy sobie mieć w obowiązku ludzi postępowych, zdolnych poprawić błędy dotychczasowych posiadaczy Plewki, którą ze względu na zdrowie i malownicze położenie, ma zamiar zmienić w istne cacko. Dalej rozglądał z zajęciem tak zwany pałac nadmienając, że pani doktorowa słyszała o jego oryginalności i przywiązanych do jego starych komnat podaniach; życzy sobie bardzo, ażeby jeszcze w tym roku mógł być wyrestaurowany, z zachowaniem, o ile możliwości, dawnej struktury, chce bowiem go zamieszkać tu w czasie letniego na wsi pobytu; dwór zaś, dotąd zajmowany przez dziedzica, przeznaczony jest na mieszkanie dla pana rządcy.

Mrok już zapadał, kiedy biedny pomocnik gospodarczy wrócił do siebie, do sali, w której kiedyś miał nocować Karol XII. Rzucił czapkę na łóżko, zapalił lampkę i przy jej słabym świetle, począł rozglądać się w okolo.

Gdzie podzieje stare graty, jedyne bogactwo, jakie wyniósł po stracie majątku? A paki z narzędziami, przybory do przyrządzania lekarstw, stare książki i z taką pracą zdobyte rękopisy?

Teraz, gdy się zestarzał, gdy w spracowanej ręce nie utrzymałby pióra, ma iść w świat, szukać kawałka chleba, starać się o jaką posiadłość w mieście, on, który tak się zrosł z tym kawałkiem ziemi, że nie umiałby już żyć gdzieindziej?.. Chwycił znów za czapkę i wyszedł, kierując się w stronę osady włościańskiej.

Wieczór był pogodny ale chłodny; nagie jeszcze drzewa przypominały tylko co przebytą zimę. Ciężko w taki czas tym, którzy nie mają dachu nad głową.

Stary Pakuła mieszkał w należącem niegdyś do Plewki a dziś rozkolonizowanym Borowcu. Chałupa jego stała nieco na uboczu i odznaczała się obszarem, porządniejszą budową i większymi oknami. Choć Tomasz i w obecnych czasach liczył się do zamożniejszych we wsi gospodarzy, nie było przecież wielkiego dostatku w jego chacie. Rodzina rozmnożona bardzo, siedziała na kupie a rola wyjałowiona ciągłą pracą nie mogła gąb tyłu wyżywić.

Zgody też osobliwej między dziećmi i wnukami starego Pakuły nie było, a posłuch dla starego i schorowanego dziada, prawie żaden. Zdawna już za głowę rodu poczęto uważać Antoniego, pięćdziesięcioletniego najstarszego syna Tomasza, w domu też rządziła Antkowa leciwa już, dorosłe dzieci mająca niewiasta. Energiczna była i pracowita ale swarliwa i cheiwa na grosz i wszelkie dobro niepomiernie.

Warzyła właśnie wieczorną strawę chmurna i milcząca, rzucając od czasu do czasu spojrzenie na wypoczywającego na ławie przy oknie męża. Krup i mąki w komorze miała niewiele, czekała

więc tylko sposobności, ażeby wybuchnąć żalem na swoją biedę i niezaradność gospodarza, który nie pomyślał o wystaraniu się o trochę brakującego już zboża. Ale gospodarz milczał też zawzięcie, przeczuwając snąc burzę, i cierpliwie wyczekując na dogotowanie się kartofli, które dziś już trzeci raz miał dostać do jedzenia. Właśnie zaczęły perkotać wesoło, jak zwykle, gdy już mają dosyć, i Antkowa ostrym głosem wezwwała dziewczynę, ażeby jej pomogła zdjąć ciężki sagan z komina, kiedy drzwi otworzyły się z wolna i ukazał się w nich pan Stanisław.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków — odpowiedziały liczne głosy.

Wszyscy zebrani poczęli go witać, a dzieci gromadką wbiegły za nim do izby, zaczepiając go szczebiotem, śmiechem, spinając się do kieszeni, w których znajdowały zwykle jakieś podarki, to białą bulkę, to kawałek piernika, to kozik z jarmarku. Ale pan Stanisław dzieci łagodnym ruchem odsunął, małą Marysię, płaczącą mu się u nóg podniósł, a ucałowawszy, oddał matce i podszedł wprost do starego Pakuły, leżącego w łóżku w kącie przy kominie. Wyciągnął do niego przyjaźnie rękę, którą wieśniak z serdecznością uściśnął.

— Jakże się macie Tomasz, czy gorzkie ziółka pomogły, czy mniej was w nocy zimno trzęsło?

— Bóg zapłać panu, a jakże, pomogły! Zimnicy nie było, całą noc przespalem dobrze, alem okrutnie słaby, i zwlec się z pościeli nie mogę; zwyczajnie zresztą, jak stary; toć to staremu śmierć nie wesele. Ale co tam ze mną, dość się już człowiek nabiedował na świecie, czas młodszym ustąpić miejsca, nie ma i o czym gadać, ot powiedzcie mi lepiej panie, jakże tam we dworze, słyszałem, że nowy dziedzic przyjechał, no, i jakże?..

Tu stary począł niespokojnie patrzeć w oczy panu.

— Dziedzic na stałe wcale nie przyjedzie, to nowy rządca, który całe gospodarstwo prowadzić będzie.

Stary usiadł na łóżku.

— Jak to całe gospodarstwo, czy to niema was, panie, czyście to źle gospodarowali?

— Pewnie, że źle mój Tomasz i skutki tego mojego gospodarstwa wcale nieosobliwe—uśmiechnął się smutnie i spojrzął na swoje stare pokrzywione buty i zniszczoną odzież.

— Nie bluźnilibyście panie, czy to wasza wina, czy to zresztą nie wasza własna rola? Oddaliście ludziom, coście byli winni słusznie lub niesłusznie, ogolociliście się ze wszystkiego, innych, jak nieprzymierzając mnie, zrobiliście panami, a dziś sam... — Tu zapłakał stary, ale wnet się uspokoił. — To nie do wiary, ażeby was skrzywdzić mieli, rządca będzie sobie za interesami patrzył a my za rolą, jak dotąd bywało, i jak dotąd w waszym pałacu ziola warzyć i książki przepisywać będziecie.

— Pałac restaurować będą i na dwór zamienią, pani dziedziczka mieszkać w nim będzie a rządcą w terażniejszym dworze—a ja, ja...

Tu długo tłumione łkanie podniosło pierś pana Stanisława.

— Chyba o żebranym chlebie w świat ruszę.

— Nie może to być i nie będzie, pókim ja żyw i moje dzieci. Bogu niech będzie chwala, że przyszła chwila, w której choć trochę, za doznane dobrodziejstwa wypłacić się mogę. To ja przez tyle lat chleb jadłem, wszelkiego dobra używałem, panem gospodarzem byłem z waszej łaski, a dziś miałbym wam kąta i łyżki strawy żalować? Dziś się panisko przespicie w komorze, a jutro raniusko, Antek do woza zaprzęże i oba z Wojtkiem chudobę waszą zwozić zaczną, tymczasem Kachna ochędoży świetlicę i łóżko naładuje.

Na te słowa zerwała się siedząca dotąd w milczeniu u komina kobieta.

— A jużci, zara, a sama kaj się z dzieciskami podzieję, może wygnam z komory Wojtkową, co leży w połogu, albo pójdę do sieni, albo do obory między bydłętą? Takiście to pan z łaski wielmożnego pana? To se panu swego kąta ustąpcie, bo ja ta nie od nikogo nie dostałam i z ojcowskiej chałupy do was przyszłam nie nato, żebym, jak ten pies, poniewierać się miała. Nie mówię ja, żeby wielmożnemu panu była krzywda, ale czy to pan niema bogatych krewnych, co go w biedzie ratować mogą i czy to u nas mało gąb do jadła?

Stary Pakuła zerwał się z łóżka na równe nogi.

— A będziesz ty cicho ty zatracona, to ja cię prawie w jednej koszuli do chaty wzięłem, szanowałem jak co dobrego, ustępowałem, jak nieprzyjemniejając, gadzinie, a ty tera jak ta gadzina, język rozpuściła? Zara mi do nóg wielmożnemu panu, wszyscy, jak tu jesteście, proście jak o łaskę, aby z wami ostał, bo inaczej... — tu zatrząsł się stary, i pięść ściśniętą wzniosł w górę — jak pragnę Boga przy skonaniu, wszystkich was, na cztery wiatry rozgonię!

Antkowa uderzyła w płacz, ujął się za nią mąż i córki, powstała kłótnia i gwar zmieszanych

głosów, bo i Wojtkowa cienkim, bolejącym głosem dopomagała z alkierza.

Stary, zmęczony wysiłkiem, upadł bezwładny na ławę i oczy lez pełne, obu rękami zasłonił.

Pan Stanisław tymczasem wymknął się z chałupy idąc spiesznie przed siebie, znaną od tylu lat drogą. Nie skręcił do dworu doszedłszy do Plewki, minął bramę dziedzińca, minął zabudowania gospodarskie, ogród, wieś, a za nią cmentarz. Przeszedł szybko żydowskie, uspięne już miasteczko, i zręcznie, mimo nocy, zaczął wspinać się pod górę. Przy blasku wschodzącego właśnie księżyca, wyglądał z daleka, jak pajak przyczepiony do stromej ściany wapiennej góry.

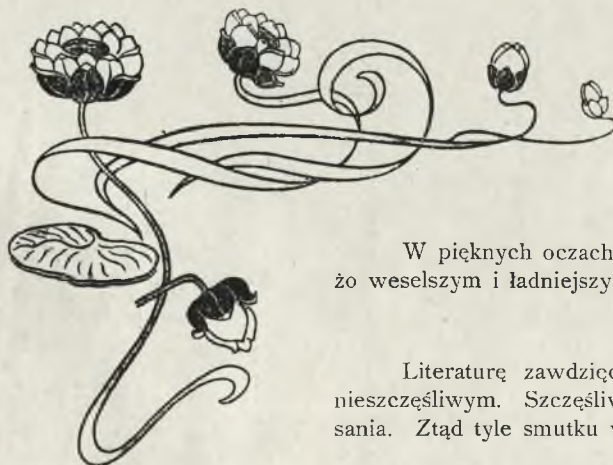
Ból i rozpacz gnały go do ruin, uciekał przed żywymi między duchy przodków, które mu jedynie wiernymi zostały. Dążył do nich po ukojenie, po balsam na rany życiem zadane. Bo czyż nie między umarłymi powinien znajdować się już od dawna? Bo cóż dzisiejsi ludzie wiedzą o nim, o jego poświęceniu dla kraju, o pracy bezowocnej, o miłości dla siebie?

Czyż nie jest on już tylko wspomnieniem, echem jakichś innych głosów przebrzmiałych dawno, hasel niezrozumiałych i nieznanych, duszą pokutującą wśród żywych?

Kiedy nazajutrz powrócił do pałacu i położył się z dreszczami i gorączką do łóżka, mówili ludzie, że się zaziębił nocną w czas wilgotny, zimny, na zamek wycieczką. A gdy po kilku dniach choroby, przyszła śmierć miłosierna, aby skołać ciałą przytulić, ludzie włożyli go w ostatnią domowinę i oddali matce ziemi. Tam znalazł przystań bezpieczną i pewność, że nigdy zagonu ojczystego nie opuści.

Młodzi sąsiedzi wyprawili mu pogrzeb przystojny, i na własnych barkach ponieśli trumnę do grobu, starsi stawili się prawie wszyscy, przypomniawszy dawne przyjazne stosunki; chłopcy wzdychali nad dolą pocziwego paniska, ale lży nikt nie uronił, rzucając garść żółtego piasku na trumnę ze zwłokami ostatniego romantyka. Wszyscy powrócili spokojnie do swoich zajęć, niektórzy tylko szeptali litościwie: „biedny stary mamut“...

MARYA SZCZEPAŃSKA.



W pięknych oczach świat się inaczej odbija — jest dużo weselszym i ładniejszym.



Literaturę zawdzięczamy po większej części ludziom nieszczęśliwym. Szczęśliwi ludzie nie uczuwają potrzeby pisanania. Ztąd tyle smutku w utworach.

SARJUSZ
(Zofja Cieszkowska.)

BŁĘDNE OGNIKI

W Zabaszewiczach zgasło ostatnie światełko, wioska cała pogrążyła się we śnie.

Noc głucha, ale pogodna, jasna, ciepła, iście lipcowa.

Gwiazd miliony; droga mleczna—jak poszarpana z krepki białej wstęga—w całym blasku i majestacie. Gdzie zajrzy—czary sieje.

Na zapadłych chatach—zgniłe na pół dranie złotem błyszczą; wielkie kałuże po drogach—jakgdyby srebrem nalane; nogietki i maki w ogródkach, rozrzucone na tle zielonym, to rubiny i topazy, wielkie, świetne—na jakie nie stać i najmniejszych tego świata.

Na polach też istne dziwy: po łanach żyta burztynowe fale płyną i płyną; kwitnąca gryka kalkucykami perły pokryta, a żdźbła owsa, rosą obciążone, chwieją się, trzęsą w powiewie leciuchnego wiatru i dyamentami migocą...

Tylko na moczarach za wioską, na owych wielkich, kępiastych moczarach, po lewej stronie drogi, wiodącej z Zabaszewicz do Zabaszewki, jakos pusto, dziko, ponuro, strasznie.

Cieniami nocy pokryte—czarne, szerokie, długie,—wyglądają—niby tajemnic pełne, niezgłębione morze, na które wielka cisza padła...

Tak—cisza. Najzupełniejsza dookoła cisza... Ani zwierz przemknie, ani nietoperz przeleci, ani sowa zahuczy, ani lelek się odezwie...

Poszarpany obłoczek — biały jak pianka, lekki jak pušek, zakrył na chwilę księżyc. Bagna wydają się jeszcze ciemniejsze. Jakiś strach od nich leci—niby od głębin morskich przed burzą... Czy te bagniska tak bezdenne, jak toń oceanu? Czy i one chłonęły i chłonać mogą ofiary liczne? A może już teraz drzemią syte zdobywcy?..

Pokryte runią zieloną, nęcą oko w dzień biały, a tylko w nocy ponurą straszą pustką.

Lecz cóż to? Księżyc za obłokiem a na moczarach światełek blaski? Migocą się, kręcą, rosna, wydłużają... To wyskakują—gdyby języki ogniste, to wiją się—jak z niebieskawych płomyków wstęgi!

Ukazują się—to tu! to tam! To tam, to tu! gonia, łączą, zapadają w bagno, znikają—aby znów w innym wyskoczyć miejscu... Naraz zbiegły się razem, zamigotały jaśniej, i strzeliły wyżej jednym dłuższym płomieniem! Ale wnet płomień się kurczy, w świecąca kulę zlewa i głowa ognista po moczarach skacze...

Tak, wyraźnie głowa—w kapeluszu trójgraniastym... Już i rysy się uwydatniają: na twarzy wygolonej—nos prosty, usta zaciśnięte, podłożna bródka na czole...

Aż nadto znany ten profil. To zarania XIX-go wieku cesarz! ów bóg wojny, zwycięzca świata!

Morze krwi wylał, miłości własnej nie zaspokoił...

„Co tu robisz, cesarzu, na moczarach o północy? Jużes zniknął! Już cię niema!”

Kula ognista maleje, potem pęka i rozpryskuje w płomyki liczne a drobne. Płyną one jak wstęgi niebieskawe to tu! to tam! Wiją się, kręcą, migocą... Naraz nikną, przepadają gdzieś w ziemi głęboko, a moczary znów senne, ciemne, ponure...

Te ogniki błędne—to szatańskie harce! To cząstkę skarbów małego Kaprała, palą dyabli na moczarach...

Według podania — zatoneła tam kasa wojska w czasie wiekopomnego przejścia przez Berezynę...

JADWIGA WARŃKÓWNA.



CZEMU?

Czemu tyle wysiłków, czemu tyle pracy, czemu tak mało bywa z niej wyników?

Zabiegi się gorliwie czynią i nic nie przynoszą duszom krom zmęczenia!

To pasowanie się, częstokroć bezplodne, jest atoli potrzebne, bo wyrabia siłę.

Na razie pożytku nie osiągamy, ale duch się hartuje, i jeżeli z tej szermierki, naprózno prowadzonej, potrafimy wysnuć naukę, wstaniemy po przegranych potyczkach z czołem jaśniejszym, bo

sumienie będzie świadczyło nam, że zabiegliwość dokonała, co tylko było w jej mocy, a Bóg nie dał zwycięstwa, bo pragnął, aby korona zasługi uwita była z liścia cierpliwości.

Boże! daj mi ufność; ufność, to czyn wiary, to wiara w czyn wcielona, to rodzicielka miłości! Ufność, to port uniemożliwiający rozbicie się o skałę rozpacz. O ufność proście, bo to złote wrota do szczęścia!

MARYA HR. WALEWSKA.



STUDYUM

EWA ASZER

URYWEK Z FRAGMENTU POWIEŚCIOWEGO

p. t. „PAN WOJEWODZIC SANDOMIERSKI”



Lubiczu, u pana Stanisława Koniecpolskiego, hetmana polnego koronnego, przy stole suto zastawionym złotem i kryształowemi naczyniami, siedzieli oprócz gospodarstwa, najbliżsi krewni domu i przyjaciele.

Muzyka grała, jak zwykle w Lubiczu przy biesiadach, ukryta za przepysznemi krzewami, zagłuszana chwilami gwarem rozmów, lub wybuchająca jak lkanie wśród złotogłowiem obitych ścian.

Przez twarze biesiadników przechodziła chmura czasami...

I nie dziw. Od kresów i państw sultańskich, oni wiedzieli, że idzie olbrzymią lawą potęga, nie mająca sobie równej w świecie, że idą ku nim całe zastępy ludów o oczach skośnych z zawojami na głowach i bez zawojów, z kołczanami i spisami, piechoty regularne i luźne czambuły—jak stado panter, gotowych do skoku. Warszawa nie wierzyła w ich pochód, ale oni wiedzieli i musieli wierzyć. Od pewnego czasu Rzeczpospolita była jakoby tarczą, do której Moskwa, Wołoszczyzna, Turcyja i nawet własne dzieci z luków mierzyły, że jednak ta fala, która obecnie zalaniem groziła, była straszniejszą od innych, prawie żywiołową, więc nie dziw, że posępniały twarze, zwłaszcza w tym domu, w którym zięć wielkiego hetmana Żółkiewskiego, jedynego dzisiaj pogromiciela połańców, był panem i jakby przypomnieniem owej burzy od wschodu idącej.

Powoli jednak wracała szlachcie zwykła jej, lekkomyślna wesołość.

Śmiechy rozlegały się, toasty i dowcipy, tylko jeden siedział pomiędzy nimi ciągle błądy i milczący: Adam Żółkiewski, bratanek wielkiego hetmana.

Ten nie mówił nic, a jeśli czegoś słuchał, to jedynie muzyki.

Przypominał sobie w tej chwili, co słyszał o pierwszym spotkaniu wojewodzica sandomierskiego, Jerzego Ossolińskiego z nią... z tą dziewczyną o fiołkowych oczach i cerze jak mleko białej i włosach złotych.

Otóż mówiono, że im także muzyka grała w pierwszy wieczór spotkania.

Długo słuchał teraz tych dźwięków cichych i stłumionych i miał uczucie chwilami wyraźne, że serce rozdziera mu się w piersi na dwoje, pod wpływem rozpamiętywania i tych tonów miękich, kołyszących się w powietrzu.

Ludzie stali się jemu obcy oddawna, ale nigdy nie byli tak dziwnie obojętni, tak dziwnie dalecy, jak w tej chwili.

On ich obecności poprostu nie czuł, ich twarzą nie widział, ich rozmów nie słyszał.

Był tylko szum jakiś naokoło, niewypowiedziane męczący, ale nie mógł sobie zdać sprawy, co to tak szumi.

Wracała mu świadomość tylko wówczas, kiedy muzyka brała górę nad wrzawą, ale świadomość przychodziła w parze z bólem tak strasznym, a tak zbliżonym do bólu fizycznego, że pytał samego siebie: czy to ona umarła dla niego i ztąd cierpienie, czy też nawlekają go poprostu na pal?

Chciał jęczeć, ale nie miał sił, nie mógł wydobyć głosu z zaciśniętego gardła, więc opierał głowę o poręcz wysoką i—przechodził z wolna do pół świadomości.

Nagle uderzyło go jakieś imię, wymówione przez czyjeś usta, więc otworzył oczy i wpatrzył się w hetmana.

— Wiecie panowie, co mi donoszą z Warszawy?—mówił Koniecpolski, nachylony nad listami świeżo przyniesionymi.—Oto siódmego Januariusza odbyły się zrękowiny... ani przypuszczacie czyje...

— Pana wojewodzica lubelskiego z Chodkiewiczówną... co? nie zgadłem?—spytał starosta Rubieszowski.

— Nie zgadłeś, panie Janie... Nazajutrz po Trzech Królach odbyły się zrękowiny—Jerzego Ossolińskiego z panną podskarbianką Daniłowiczówną. Twarda sztuka ten Ossoliński! Nalegał, prosił, jeździł, arbuzy polykał—no, ale zdobył pannę!...

— Bo też miał co zdobywać!...—mruknął starosta Rubieszowski chmurnie, gdyż niedawno kochał się sam na zabój w tej dziewczynie.

Wiadomość, udzielona przez hetmana, zajęła wszystkich żywo, bo jak Rzeczpospolita długa i szeroka, tak młodzież dobijała się o rękę Daniłowiczówny i pierwsze domy próbowały ją wywalczyć dla synów, wnuków, lub siostrzeńców.

To też goście Koniecpolskiego opowiadali kolejno, jedni z pewną goryczą, drudzy z entuzjazmem o dziwnym szczęściu i uroku tej panny.

Muzyka grać nie przestawała, gwar rósł i nikt nie zauważył nawet, że po chwili wstał Adam Żółkiewski i podszedł do okna. Ruchy jego były zmęczone i takie jednostajne, jak u ludzi chorych. Przy oknie zatrzymał się z rękoma złożonemi na piersiach.

Noc była zimowa, widna, pełna gwiazd rozsypanych na błękitcie i pełna łagodnego blasku, który zdawał się bić od obszarów białych, a nie od nieba.

Wiatr szedł gdzieś od Czyrkas i Perejasławia, ale równie łagodny, jak te wszystkie blaski księżycy, śniegu i gwiazd.

Zółkiewski patrzył bez ruchu przez wielkie, podłużne tafle i nie wiadomo z kąd przyszło mu na myśl, że Daniłowiczówna patrzy teraz również na rozgwieżdżony błękit.

I czuł ją prawie przy sobie, z fioletowemi oczyma, podniesionami ku gwiazdom.

Słodycz zimowej nocy zaczęła mu się udzielać. Po chwili zbudził go gwar rozmów, więc ją mrużąc powiekami i zwolna źrenice jego rozszerzały się, jakby z nagłego przerażenia i zdziwienia.

— Coś ty uczyniła ze mną?!... Coś ty uczyniła?!...—rzekł cicho, ręce wyciągając przed siebie.

I po kolei zaczęły się przesuwać w jego pamięci obrazy dawne, cała młodość, zmarnowana dla jednej kobiety... całe życie rozbite... całe szczęście stracone...

Gdy jednak myślą dochodził do końca tych dziejów, zmrużył oczy, bo ujrzał raptem ją, opartą na łokciach, w wielkiej framudze okiennej w Uchaniu, a przy niej... Jerzego Ossolińskiego.

I zrozumiał nagle, że wobec tego, co się stało, to, wszystko z czego się życie ludzkie składa, roz-

warło się pod jego nogami i... że dalej pójść nie może z tej młodości chmurnej i gorzkiej, z tego koliska niedościgłych widziadeł i męki długiej, jak wiek...

Nie... dalej nie pójdzie.

Bez huku, bez loskotu zamknęła się księga jego życia, na kartach pierwszych, które nie wiedzieć dlaczego los poszarpał.

.....

W tej chwili do szyby przyłgnął ptak jakiś czarny i jął tłuc skrzydłami o ramy i szkło z taką rozpaczliwą siłą, że głowy biesiadników zwróciły się mimowoli w tę stronę.

— Zła wróżba!...—rzekł któryś z gości.

— W Imię Ojca i Syna!... — odparła Koniecpolska. — Ktoś z rodziny umrze!...

I rzeczywiście w tej godzinie śmierć zatrzymała się o krok od nich... cicha, posępna i złowroga...

MARYA COLONNA WALEWSKA
(Hr. Wielopolska)

Jeśli każde zetknięcie się ze złem wywołuje dreszcz zgrozy i bólu, cóż dopiero czuć musi kobieta, w której wzroku po raz pierwszy odbije się świadomość: on podły!

W każdym grzechu jest więcej nieszczęścia, niż winy, a w każdej winie tkwi dużo głupoty. Czy plotka jest dowodem złości ludzkiej? Nie, najczęściej płytkiego umysłu, który niczem poważniejszym zająć się nie potrafi.

Ludzie nerwowi podlegają ciągłym przypływom i odpływom energii i woli. Ale czas między przypływem a odpływem tak krótki, że najczęściej na akt czynu nie starczy. A zarówno ta martwota jak i ten prąd galwanizujący — męczą...

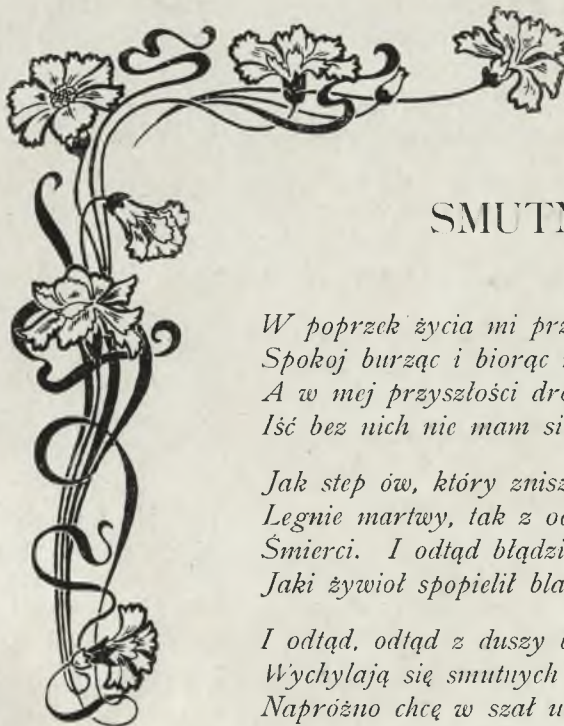
Pieniądz, uroda, powodzenie, sława, to są tylko szczeble, o które walczy kobieta tylko dlatego, aby się po nich pewniej i łatwiej dostać — do rajsu miłości. Im bogaciej obdarzona, im więcej sił w walce tej stargala, tem goręcej tego wyidealizowanego serca, w imię którego walczyła — pożąda. Lecz jeśli na swej duchowej wyżynie ujrzy się samotną i obcą, jeśli nikt jej nie podtrzyma, nie ukocha, wówczas im wyżej stała, tem głębiej i boleśniej się łamie.

SARJUSZ
(Zofja Cieszkowska).

Najniebezpiecznym przymiotem kompozytorów bywa pamięć.

Niektórzy pamiętają dobrze cudze pomysły, tylko je od swoich własnych odróżnić zapominają.

ALEKSANDROWA RAJCHMANOWA.



SMUTNE OCZY

*W poprzek życia mi przeszło oczu smutnych dwoje,
Spokoj burząc i biorąc na zawsze odemnie.
A w mej przyszłości drogi szukając tajemnie,
Iść bez nich nie mam siły, za niemi... się boję...*

*Jak step ów, który zniszczą pożary okrutne,
Legnie martwy, tak z oczu wionęły otchłanie
Śmierci. I odtąd błądzi w mem sercu pytanie,
Jaki żywioł spopielił blade oczy smutne?*

*I odtąd, odtąd z duszy bezdenne mroku,
Wychylają się smutnych ócz tragiczne cienie —
Naprawdę chcę w szat uciech zagubić się tłumny:*

*Niezapomnę, com w smutnem zobaczyła oku.
Więc przeklinam tę mare, choć wiem, że spojrzenie
Tych bladych, smutnych oczu, zabiorę do trumny.*

HELENA ZAKRZEWSKA.

WARUNKI SZCZĘŚCIA



Mężczyźni lubią z kobiet urabiać sobie niewolnice; biada tej, która zapomniawszy swego „ja“, całą duszę pragnie w miłość włożyć. Mężczyźni miłość — to kaprys. Dobrze, jeśli ten kaprys przechodzi w nawyk. Kobiety zadaniem winno być unikanie walki, jaka się zawsze następuje przy zetknięciu z mężczyzną. Uległość i łagodność, połączone z silną wolą, są koniecznym warunkiem szczęścia dla kobiety. Kobieta powinna zawsze panować nad sobą, nie dać oswładnąć się chwili i dla tej chwili nie zapominać swego „ja“. Kobiety obdarzone bystrzejszym umysłem nie powinny dać tego uczuć mężczyźnie, owszem — pozornie ulegając zwyciężać. Stosuje się to do kobiet, obdarzonych wzniosłym, szlachetnym charakterem — w razie przeciwnym ze strony mężczyzny powinna być przewaga. Szczęścia w życiu małżeńskim nie stanowią rzędy jednej lub drugiej strony wyłącznie, ale zobopólne godzenie się na wspólne zapatrywania. Częste nieporozumienia wynikają z próżności, z jaką obie strony starają się narzucić swoje „ja“.

Mężczyźni i kobiecie bezwarunkowo potrzebną jest do szczęścia delikatność. Matki, wychowując swoje dzieci, powinny zwracać baczną uwagę na wyrobienie łagodności.

Chłopcy mają wrodzoną brutalność — powinno się ją ścierać przy wychowaniu. Źle, gdy się młodej żonie dostanie mężczyzna brutalny, pokona go tylko łagodnością i delikatnością.

Nic tak nie ośmiela do zrzucenia maski z przywar własnych, jak dostrzeżenie tychże u drugiej strony.

Strzedz się wtedy własnej gwałtowności i wyrabiać cierpliwość. Odwieczna prawda: „uciekaj — gonić cię będzie, goń — uciekać będzie“, powinna być kobiecie zawsze na pamięci. Nie zasadać swego szczęścia na naganie postępowania, choć by się nam ono bardzo niepodobało — czekać chwili stosownej i wykazać logicznie niestosowność.

O własnej doświadczonej przykrości jaknajmniej wspominać — czasem to rozrzewnia, często zraża.

Wogóle do wytworzenia szczęścia więcej warunków posiadają kobiety, powinny więc niedostatek ten wybaczać mężczyźnie i zastępować braki swojemi przymiotami.

Od mężczyzn nie żądać aniołów i z góry przypuszczać w każdym najzwyczajszego śmiertelnika — nie będzie przykrych rozczarowań.

Kobieta powinna być aniołem, a przynajmniej za taką w oczach męża uchodzić.

Reasumując: do szczęścia potrzebni są mężczyzna kobiecie, kobieta — mężczyźnie.

Zrobiwszy wybór, powiedziec sobie: „kismet“ i albo stosować się do wyżej wskazanych warunków, albo rządzić się li tylko sercem — co, kto wie, czy nie najlepiej kwestyę rozwiązuje.

ZOFIA Z PUSTELNIKA.
(Zofia Witkowska.)

NIEPOROZUMIENIE

FRAGMENT Z NIEZNANEJ DOTĄD SZTUKI W CZTERECH AKTACH

(AKT II, SCENA VI)

(Gabinet Korskiego — nie wykwiintny — meble obciążone skórą — biurko duże adwokackie, fotel przy nim i z boku krzesło dla klienta. Na ścianie parę premii Towarzystwa Zachęty sztuk pięknych — na oknie jakiś kwiat zeschnięty w doniczce — przez firanki ukośnie wpadają promienie zachodzącego słońca).

KORSKI

(mężczyzna lat trzydziestu, trochę zaniedbany, jakby koniecznością życia znużony, czasem tylko rozweselają mu twarz błyski resztek temperamentu. Po wyjściu Rózi bierze z podstawki papierosa, zapala go i zaczyna machinalnie przewracać papiery leżące na biurku).

(Po chwili słychać nieśmiało pukanie do drzwi)

KORSKI *(przez zęby)*

Znowu ona?! *(z niechęcią)* proszę wejść!

Cicho i z wolna rozchyła się portyera i na tle ciemnoniebieskiej draperyi staje Jadwiga. Jest ubrana szaro, bardzo skromnie lecz kształtnie. Wzruszenie widać na jej twarzy. Korski słysząc szelest sukni, sądzi, że to powróciła Rózia, nie patrząc rzuca przez zęby:

KORSKI

No i czego? niemożesz dostać dorożki? mówiłem ci przecież, jedź w aleje!

(milczenie).

No...

(Korski podnosi głowę, spostrzega Jadwigę; zdziwiony upuszcza papiery).

Pani tu? u mnie?..

JADWIGA

Tak... ja przyszedłam, pan daruje, siadę.

JANINA BETLEYÓWNA



FANTAZYA

KORSKI

O proszę, tu fotel znacznie wygodniejszy. Ten jest przeznaczony dla moich klientów.

JADWIGA

Pan pozwoli więc, że na nim usiądę.

KORSKI

Pani... jako klientka? cóż to za żarty.

JADWIGA (*z wahaniem*)

To nie żarty, to prawda (*ciszej*) smutna prawda!

KORSKI

Intryguje mnie pani! Gdybym nie widział, jak bardzo jesteś „seryo”—przypuszczałbym, że to mała mistyfikacja.

(*Jadwiga milczy*).

KORSKI

No... o cóż chodzi? Czy mam pani dopomódz?

JADWIGA

Przynajmniej—nie utrudniaj mi pan.

KORSKI

Ja? utrudniam? wytłumacz się pani jaśniej.

JADWIGA

Utrudniasz mi pan bo nie jesteś... takim jak wczoraj.

KORSKI

W czym różnica?..

JADWIGA

(*po chwili podnosząc na niego oczy*)

Nie mogę wyczuć tej łączności pomiędzy nami, o której wczoraj mi pan mówiłeś.

KORSKI

A!.. o to chodzi? (*przysuwa się do niej*) Temu winno oświetlenie słoneczne. Wierz mi pani, przy świetle dziennem wszystko się inaczej wydaje!.. Jaka pani mizerna! Znów przemknęły się pod skórą pani płomienie. Czy to uraza do mnie?.. Widzę, że pani jesteś smutniejsza niż zwykle... Miejże pani do mnie zaufanie... Co? Teraz ja nie mogę wyczuć tej łączności, o którą pani przedtem chodziło...

(*Jadwiga mimowoli spogląda w okno.*)

KORSKI

A!.. słońce!.. Zaraz je zgasimy! (*idzie do okna, zapuszcza storę, robi się w pokoju ciemno.*) Tak, stworzymy sobie sztuczną atmosferę łączności—może wczorajszy nastrój wróci. (*wracając*) A!.. jakże pani ma śliczne perfumy.

JADWIGA (*prosto*)

Ja się nie perfumuję. Ale to pewnie mydło czeremchowe, którym się myję.

KORSKI

Tak czeremcha... i młodość pani...

(*Jadwiga patrzy chwilę na niego zdziwiona, wreszcie mięsza się i mówi prawie bełkocząc*)

JADWIGA

Takie tanie.

KORSKI (*roztargniony poprzednim wrażeniem*)

Co?

JADWIGA

To czeremcha...

KORSKI

(*siada, patrzy na Jadwigę w milczeniu.*)

A!.. (*po chwili*) No... i po co pani właściwie przyszła?

JADWIGA

Pan jesteś temu winien, że przyszła.

KORSKI (*z nagłym ruchem*)

Ja?

JADWIGA

Całą noc dziś nie spałam. Nie mogłam. Byłam jak obłąkana. Przebudziłam się pod wpływem słów pańskich. Ocknęłam się duchowo.

KORSKI

Cóż ja mówiłem takiego?..

JADWIGA

Pan żartujesz? Pan byś nie pamiętał? O! Pan umyślnie tak mówisz, ażeby zbadać, czy cię zrozu-

miałam. Ale ja nie tylko cię rozumiałam, ale przeżyłam, wchłonęłam w siebie to wszystko coś mówił. Ja nie umiem się tak wyrazić... ale gdybyś pan wiedział, co się we mnie dzieje — co się od wczoraj we mnie dzieje...

KORSKI

Czy to Ruskin przytoczony przezemnie tak na panią oddziałal? Wszakże godziłem się tylko z panią.

JADWIGA (*szybko*)

Nie panie—to nie to! Tak... piękno... to wszystko coś o niem mówił, wielkie ma znaczenie w życiu, ale tu stało się coś innego, coś ważniejszego. Ten wieczór wczorajszy był przełomową chwilą w mem życiu. Zdawało mi się, że ktoś wyłamał kraty więzienia, w którym byłam już na zawsze zamknięta, i wskazał na słońce, świat — życie!.. I to pan uczyniłeś! pan!..

KORSKI

Ja?..

JADWIGA (*z egzaltacją nerwową*)

Tak. Powiedziałeś — kobieta powinna mieć poczucie własnej wartości i znajomość siły, jaką ma każda jednostka w społeczeństwie. Tak pan powiedziałeś... i przez tę jedną noc, ja przyszłam do poznania mej siły. Ja nie chcę być więcej tem, czem byłam dotąd.

KORSKI

(*wstaje z krzesła i w milczeniu chodzi chwilę po gabinecie*)

Proszę... proszę... więc ja to powiedziałem.

JADWIGA

Tak—i wiele innych rzeczy, które po prostu szarpały moją biedną, uszpioną duszę. Z początku to mi było straszno, jak pan zacząłeś to wszystko mówić — ale powoli ośmieliłam się (*po chwili cicho*) Zaczęłam wypytywać pana niby to o moją przyjaciółkę, która jest nieszczęśliwą w pożyciu z mężem—ale—to nie była żadna przyjaciółka—to byłam (*z wysiłkiem*) ja!

KORSKI (*staje przed nią i patrzy na nią badawczo*)

Pani jesteś nieszczęśliwa? pani się nigdy nie skarżyłaś!

JADWIGA

Tak—bo się wstydziłam. Widzi pan — mama uczyła nas zawsze, że nieszczęście, to trzeba tak ukrywać jak ubóstwo—dlatego się kryłam.

KORSKI (*patrzy na nią zamysłony*)

A!—więc pani jesteś w pożyciu z mężem nieszczęśliwa? To dziwne, że ja się tego nie domyśliłem.

JADWIGA

Ani pan — ani nikt. Lecz ja bylam bardzo smutna — to pan zauważyłeś. Nazwałeś to nawet moim wdziękiem. Nie przeczuwałeś, że to właśnie była moja skarga.

KORSKI

(zainteresowany patrzy na nią uważnie)

Tak, ten smutek pani, działał na mnie nadzwyczaj przyjemnie, był jak ta woń, która płynie od pani — słodka a świeża.

JADWIGA

A przecież ten smutek był tylko zasłoną tego, co się w mej duszy działo i dzieje.

KORSKI

(tonem zmienionym, trochę lekkim, pomimo, że usiłuje nadać sobie cechę poważną)

No... i cóż się w tej duszy dzieje? No... niechże się dowiem.

(milczenie, ściemnia się prawie zupełnie)

KORSKI

(odsuwając ręce, któremi Jadwiga zasłania twarz)

No... no... więc w tej duszy dzieje się...

JADWIGA *(głucho)*

Bunt!

KORSKI

Przeciw mężowi?

JADWIGA

Przeciw wszystkiemu. Przeciw tej tragedii, która się dokoła mnie roztacza. Pana to dziwi? Pan się uśmiecha?

KORSKI

Cóż znowu? to złudzenie cieni.

JADWIGA

Przepraszam pana — sądziłam... Ale ja jestem bardzo rozdrażniona. Całe trzy lata, całe trzy lata mego tajonego domowego nieszczęścia złożyło się na tę chwilę.

KORSKI

Jakto? trzy lata? więc...

JADWIGA

Tak! od pierwszej chwili — trwa pomiędzy mną a nim to straszne i ciągle nieporozumienie. Z początku była to walka, walka straszna, w której czułam, że ja uleż muszę. Jakiemi wysiłkami ocaliłam swoją siebie duchową od niego — o! to wiem ja i chyba Bóg... może... Jemu się zdawało, że razem z ciałem to już wziął i mnie całą w wie-

czyste posiadanie. Ale zdołałam się odosobnić, zdołałam się wyodrębnić i tego mi ten człowiek nie może darować. I... gdybym czuła, że on jest odemnie doskonalszy, byłabym z rozkoszą poddała się jego władzy. A przecież... jest inaczej... on mnie chciał ściągnąć z tego ogrodu, w którym żyję na płaską przestrzeń, w której on przebywa... *(po chwili)* Czy pan mnie rozumie?

KORSKI *(zmienionym głosem, gryząc wargi)*

Tak... mów pani dalej!

JADWIGA *(coraz więcej zdenerwowana)*

O! tak... wiem — do pana nie mówię napróżno. Jak to dobrze, że już ciemno.

KORSKI *(stłumionym głosem)*

Dobrze... pani powiedziała dobrze?

JADWIGA

Tak — słyszy pan mój głos — niewidzi pan mej twarzy. Wstydę się mej nędzy — i czuję, że gdyby mnie pan widział, nie mogłabym nic powiedzieć dalej.

KORSKI

(opierając ręce o biurko i zasłaniając oczy)

Mów pani dalej... ja słucham!..

JADWIGA

Gdy zrozumiałam, kim jest mój mąż, co jest w nim na dzień... odsunęłam się od niego. Och! o tyle, o ile mi prawo na to pozwalało, odsunęłam się duchowo... Staralam się dookoła siebie stworzyć moje własne życie, do którego wracałam, ilekroć ciało przeszło torturę... torturę... *(ciszej)* niewolnicy! Tam pielęgnowałam ten kwiat wielkiego spokoju, o którym pan mówiłeś mi wczoraj. Lecz panie — od pewnego czasu ten człowiek wyczuł we mnie ten zakątek mej duszy. On tam się wdiera, on drwi z niego — depce mi kwiaty, które sobie w wizjach wytwarzam. Ja nie mam nic! nic! swego nic... ani fizycznie ani moralnie! Ciało moje zbezczeszczone, dusza moja zraniona... nic mego!.. nic mego!..

(Korski powstaje, idzie do okna i opiera się o szybę.)

JADWIGA *(zmienionym głosem)*

Wczoraj wieczorem... nagle... zacząłeś pan ze mną mówić w tej kwestyi i to było dla mnie uderzeniem piorunu. Sądziłam, że dla mnie niema wyjścia, chyba skonać w tej męce. I — oto pan mówisz, że taka kobieta może i powinna wydostać się z tej przepaści. Mówisz, że ja mam obowiązek ratować swą duszę... me ciało... siebie całą... I obudziła się we mnie siła, ja chcę! ja chcę!.. siebie ocalić — i przyszłam, przyszłam do pana, ażebyś mi dopomógł, ażebyś mi zginąć nie pozwolił.

KORSKI

(odrywa się od okna, jest zmieniony, twarz jego ma wszelkie cechy zmysłowego szalu, podchodzi szybko ku Jadwidze i porywa ją w swe objęcia, mówiąc chrapliwym i namiętnym głosem)

Uspokój się... będzie ci teraz lżej... inaczey...
(wyciska na jej ustach brutalny pocałunek)

(Jadwiga wyrzywa się z jego objęć i stoi chwilę blada i nieruchoma, Po chwili zasłania oczy, kieruje się ku drzwiom).

KORSKI *(cicho—urywanym głosem)*

Gdzie idziesz? po co? w domu niema nikogo. On był tu przed godziną — mówił, że idzie do restauracyi. Zostaniesz u mnie—potem cię odwożę.

(Jadwiga nie mówi nic, tylko odchodzi do drzwi. Korski biegnie za nią — chwytą ją i odwraca, ukazuje się twarz Jadwigi cała łzami zalana, Korski na ten widok cofa się zdziwiony).

KORSKI

Jadwigo!.. Pani!.. cóż to znaczy?..

(milczenie).

KORSKI

Po co pani tu przysłaś?

JADWIGA *(zrozumiawszy)*

Więc pan sądziłeś... że... o!.. o!.. *(zanosi się cichym płaczem).*

KORSKI *(zmieniony, zły i podrażniony)*

O!.. proszę... nie płacz pani... przecież się jeszcze nic nie stało.

JADWIGA

(przez łzy — patrzy na niego przez chwilę — potem ociera oczy i mówi)

Tak... pan ma rację... nie powinnam była tu przychodzić—żegnam pana!

KORSKI *(jak wyżej)*

Widzę, że pani jest taką samą zagadką jak inne kobiety — a daruj!.. sądziłem cię szczerzą... Pani jesteś na bardzo złej drodze... pani zaczynasz kokietować swoim nieszczęściem. Wierz mi pani, to jest zła gra. Dlaczego pani tak na mnie patrzy?... Przykro ci, że mówię prawdę.

(Jadwiga patrzy na niego, nieruchomie oparta o ścianę.)

KORSKI

No... odpowiedz że pani co? broń się! usprawiedliw, dla czego od godziny drażnisz mnie swoim smutkiem, zapachem twych sukien i swoją obecnością... Skarżysz się na męża... a więc...

JADWIGA *(wolno i dobitnie)*

A więc—chciałam odzyskać wolność, ale nie chciałam pozyskać... kochanka!

(wysuwa się z cicha, za nią spada portyera.)

(Korski patrzy przez chwilę za nią, wzrusza ramionami—zapala papierosa i kładzie się na otomanie).

SCENA VII.

Korski—Rózia.

(Rózia ubrana w aksamitną suknię, kołt karakulowy i kapelusz, wpada do gabinetu.)

RÓZIA

Ciemno? Cóż u dyabła, czemu nie zaświecone?

KORSKI

(drgnął—nie rusza się z miejsca)

Proszę cię! nie krzycz... głowa mnie boli.

RÓZIA

E!.. głupi jesteś! *(chodzi po gabinecie)* Ta pani, co ją spotkałam na schodach, to ztąd wyszła? co?

KORSKI

Ztąd.

RÓZIA

Czego tu chciała?

(Milczenie).

RÓZIA

I tak siedzieliście po ciemku? Ładnie!!! Chciałam zobaczyć, kto to, ale na schodach było ciemno... E!.. to musi być coś porządnego!

KORSKI

Milcz!

RÓZIA

E!.. co mi tam do tego! Myślisz, że tak bardzo o ciebie dbam! Pewnie to była jaka nieszczęśliwa mężatka, co przyszła po pocieszenie...

KORSKI *(zrywa się)*

Ach! jakie to głupie i bezczelne co ty mówisz!.. *(zamysła się, chodzi po gabinecie)* Tak... rzeczywiście, to brzmi bezczelnie! *(Trze ręką czoło).* A!.. *(uderza ręką w biurko i siada na fotelu. Rózia siedzi na sofie).*

RÓZIA

Nie pytasz mnie nawet, co było w alejach. Wszyscy byli—miałam dobrą dorózkę... wiesz—ten Błażej z Teatralnego placu... liberya powiadam ci szyk...

A. NOWIŃSKA



NEAPOLITAŃCZYK

(Korski siedzi ciągle zamyślony, Różia wstaje i podchodzi ku niemu).

RÓZIA

Dalam mu trzy ruble i pół rubla na piwo, a on mi powiada, dziękuję jaśnie pani... jak Boga kocham — powiedział mi jaśnie pani — myślałam, że pękne.

(Jest zupełnie blisko niego).

KORSKI *(chwytając ją)*

Ty... pachniesz... czeremchą!

RÓZIA

Ale — jabym się takim czemś perfumowała! To nie ja... to ten kolet... Kupiłam go od jednej pani, co naprzeciwno mnie mieszka — sługa mi ją nastreczyła. Byłam u niej wieczorem. Taka wiesz — uczciwa mężatka — ale tam musi być z nią krucho — bo mi sprzedała kolet za psie pieniądze.

KORSKI

Mężatka? naprzeciwno ciebie? na Hożej?..

ROZIA

No — tak! Mogłam była i za połowę kupić, bo to zbiedzona... nieszczęśliwa podobno naprawdę... I taka chuda!..

KORSKI

(tuląc twarz do koletu w zamyśleniu)

Nieszczęśliwa... naprawdę!..

RÓZIA

(wysuwając kolet — rzuca go na biurko)

Co będziemy robili? Masz jakie wino? pošlemy po ciastka! *(szuka w szafie gwiżdżąc).*

KORSKI

(powoli — przyciskając kolet — opiera głowę o to futro)

Jak chcesz... tylko nie skrzecz...

RÓZIA

Głowa cię boli! *(zbliża się i chce mu wyciągnąć kolet z pod głowy).* Daj, zaniosę to do przed-

pokoju. Od tego ordynarnego zapachu głowa cię jeszcze więcej rozboli.

KORSKI

(brutalnie przytrzymując kolet).

Nie rusz!

(Chwilę patrzą na siebie w milczeniu. W oczach Korskiego widnieje wstępną, wreszcie głowa jego znów opada na futro. Róża wzrusza ramionami i wraca do szafy, gdzie przewraca paczki. Słychać jej ładne, przeciągłe i trochę smutne gwizdanie.

ZASŁONA WOLNO SPADA.

GABRYELA ZAPOLSKA.



— S P I S —

POEZJA I PROZA

	Str.
Darwid (Helena Zawadzka) „Wstęp“	7
Konopnicka Marya „Z listów Świętej Katarzyny“	10
Deotyma „Przed Ołtarzem“ (z poematu „Sobieski pod Wiedniem“)	11
Orzeszkowa Eliza „W rocznicę“	14
Arnsztajnowa R. „Pioluny“	16
Bukowiecka Zofia „Z podań Starego Miasta“	17
Bandrowska A. „Nie na lamach srebrem tkanych“ (kolenda), „O! kędy idziesz Mistrzu?“	20
Bęczkowska-Grot Wanda „* * *“	21
Bożymir „Ducha nie gaście“	22
Biernacka-Poraj Celesta „Koronacya cudownej statuy w Laghet“	23
Duchińska Seweryna „Jan z Czarnolasu“	25
Esteja „A będzie wam dane“	30
Hajota „Na drodze“ (bajka)	33
Hartingh baronowa Zofia „* * *“	34
Janowska Natalja „Nie ma szczęścia“	36
Julian z Poradowa „Wy tłumacz...“	37
Krassowska Zofia „Śpij“	37
Liliana „Po moje serce...“	37
„ „W bezseną noc“	38
Mar. Win. „Dwa listy“ (obrazek z początku wieku)	38
„ „Piosenka“	41
Marrené Morzkowska Walerja „Nie sądz“	40
Mellerowa Zofia „Odnośny paragraf“	42
Miles „Dzień dzisiejszy“	43
Morzkowska Antonina „W wiosenny dzień“	44
Neumanowa Anna „Z prześnionych godzin“	44
Orwicz Jerzy „Trzy sztandary“	47
Orsza H. „Popularyzatorki“	47
Parczewska Melanja „Kobieta polska na Górnym Szląsku“	50
Prażmowska Teresa „Missa est...“	51
Rodziewicz Marya „Bajka o głupim Marcinie“	52
Ronikierowa hr. Adamowa „Z fantazyi“	55
Sokołowska Zofia „Najlepsza opieka“	57
Seidlerowa Zofia „Z prawdziwego zdarzenia“	58
Sobolewska Marya „Jasnotka“ (obrazek z życia)	60
Szczepeńska Marya „Mamut“ (obrazek z życia wiejskiego)	61
Warnkówna Jadwiga „Błędne ogniki“	66
Walewska hr. Marya „Czemu?“	66
Walewska Colonna Marya (hr. Wielopolska) „Urywek z fragmentu powieściowego p. t. „Pan Wojewodzie Sandomierski“	68

Str.

Zakrzewska Helena „Smutne oczy“	69
Zofia z Pustelnika (Zofia Witkowska) „Warunki szczęścia“	70
Zapolska Gabryela „Nieporozumienie“ (fragment z nieznannej dotąd sztuki w czterech aktach)	70

AFORYZMY

Eweliny Janowej hr. Lubienieckiej	9
Adamowej hr. Ronikierowej	12, 36
Sarjusza (Zofii Cieszkowskiej)	24, 65, 69
Heleny Gedrus Eydziatowiczowej	29
Maryi Wąsowskiej-Badowskiej	46
Wandy Nałęcz Cichockiej	46
Bronisławy Neufeldówny	46
Aleksandrowy Rajchmanowej	69

RYSUNKI

H. Pürschel, Winieta na okładce.	
M. Słupska, Winieta tytułowa.	
F. Słupski, Portret ks. Jana Gralewskiego	6
Zofia Stankiewiczówna „Mogilki“	11
Laura Siemieńska „Matka“	13
Władysława Piątkowska „Łan“	15
Marya Nostitz Wasilkowska „Studyum“	19
Marya Wiesiołowska „W głębi lasu“	22
A. Poraj-Biernacka, Winieta i tytuł do artykułu „Koronacya cudownej statuy w Laghet“	23
M. Stajewska „Prządka“	27
Natalja Dzierzek „Motyw wiejski“	30
A. Römerówna „Kościół XX. Misyjonarzy w Wilnie“	31
Janina Betleyówna „Studyum“	35
Wanda Machowska „Studyum“	39
M. Walicka „Łopian“	43
Marya Dulembianka „Widok morski“	45
Marya Słupska „Studyum“	49
Laura Siemieńska „Weteran życia“	53
Alfonsa Kanigowska „Zakątek wiejski“	55
Natalja Dzierzek „Na fali“	59
Lola, Rysunek do obrazka z życia p. t. „Jasnotka“	60
Wanda Nałęcz Cichocka „Studyum“	63
Ewa Aszer „Studyum“	67
Janina Betleyówna „Fantazyja“	71
A. Nowińska „Neapolitańczyk“	75

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63



Wydawnictwo „Albumu” składa niniejszem podziękowanie „Towarzystwu akcyjnemu odlewni czcionek, drukarni i litografii S. Orgelbranda Synów,” „Towarzystwu akcyjnemu fabryki papieru w Mirkowie” i „Towarzystwu akcyjnemu fabryki papieru w Soczewce” za bezinteresowny druk książki i równie bezinteresowne dostarczenie papieru na jej wydanie.

Drukiem „Albumu” kierował p. Józef Lenartowicz, zarządzający drukarnią „Towarzystwa S. Orgelbranda Synów,” klisze wykonał p. Lucyan Kochanowski, zarządzający trawiarnią tegoż zakładu, łamał zaś kolumny składacz p. Kajetan Fiedler.

F

24.299